

Historia rzeczników: **od Urbana do Szłapki** • Rozjazd **III Drogi** • Ukradzione **głosy?**
Celebryci **na gazie** • Emerycy **w tropiki** • Terror **dronów** • **Książki** na wakacje

POLITYKA.PL

POLITYKA

LIDER
SPRZEDAŻY
1

TYGODNIK, nr 26 (3520), 25.06–1.07.2025

Cena 13,90 zł (w tym 8% VAT) nr indeksu 369195

Pokój przez siłę?

Czy Izraelowi wolno więcej?



Wydanie w sprzedaży do 1.07.2025

ISSN 0032-3500

26>



9 770032 350503

© RONEN ZVULUN / AFP, YOSSIZELIGER / REUTERS / FORUM

USA 4,60 USD; KANADA 4,69 CAD; WIELKA BRYTANIA 2,50 GBP; SZWECJA 30 SEK; CZECHY 75 CZK; KRAJE STREFY EURO 4,95 EURO

ROZRUSZAJ SZARE KOMÓRKI!

OMNIBUS

Wydanie specjalne nr 4/2025

Cena 11,99 zł (w tym 9% VAT)

POLITYKA

WAKACYJNY

Zagadki
i ćwiczenia
umysłowe



Szarady

Quizy

Rebusy

Krzyżówki

Słupki

Łamańce



Letnie łamanie głowy!

Zagadki logiczne, liczbowe, słowne
i wiedzy – każdy znajdzie coś dla siebie!

Do kupienia w punktach sprzedaży oraz na sklep.polityka.pl



16

Rozchodniaczek

Temat tygodnia

- 8 Łukasz Wójcik
Bliski Wschód w ogniu

Polityka

- 12 Rafał Kalukin **Od Urbana do Szłapki – czyli historia rzeczników rządu**
16 Joanna Sawicka **Kres Trzeciej Drogi**
20 Anna Dąbrowska **Ukradzione głosy**
23 Ewa Siedlecka **Jak teraz przywracać praworządność**

Społeczeństwo

- 26 Marcin Kołodziejczyk **Pielgrzymi Nawrockiego**
29 Katarzyna Kaczorowska **Za kółkiem na podwójnym gazie**
32 Paweł Walewski **Diagnoza: ADHD**
35 Agnieszka Sowa **ODCHODZIĆ PO LUDZKU Emeryci w tropikach**
38 Rozmowa z **Marcinem Wojdakiem** o znikających relikwach PRL

Rynek

- 42 Cezary Kowanda **Latanie coraz mniej tanie**

- 46 **Andrzej Modzelewski** o tym, czy Zielony Ład rzeczywiście jest martwy

Świat

- 48 Paweł Reszka **DONBAS Co mogą drony**
52 Agnieszka Zagner **STREFA GAZY Zapomniany koszmar**
54 Rozmowa z **Rorry Daniels** o tym, czy Pekin przejmie kontrolę nad światem
56 Mariusz Zawadzki **USA Elity na dragach**

Nauka/projektpulsar.pl

- 58 **Rafael Mariano Grossi** o tym, kto ma broń jądrową i może jej użyć
62 Andrzej Hołdys **Co czeka Alpy**

Historia

- 64 Andrzej Krajewski **Karierowicze II RP**
67 **PROSTO Z KSIĄŻKI**
68 Adam Krzemiński **ESEJ Proroczy Tomasz Mann**

Kultura

- 78 **Książki, które warto zabrać ze sobą na wakacje – nasze rekomendacje**

- 82 Rozmowa z **Radkiem Kotarskim** o tym, jak się teraz kolekcjonuje sztukę

- 86 Krzysztof Nowak **Quebonafide: koniec w połowie drogi**

- 88 **MEA PULPA Kuby Wojewódzkiego**

Ludzie i style

- 94–97 • **Motywacje z podcastu**
• **Nowości Apple**
• **Kto i co przekręca**
• **Inne zwiedzanie**
• **Gruzińskie wino**

Stałe rubryki

- **4** Przypisy • **6** Ludzie i wydarzenia
• **72** Afisz • **89** Koziołek • **90** Orliński
• **91** Chutnik i Plebanek
• **92** Mizerski • **93** Do i od redakcji
• **98** To jeszcze nie koniec

DRODZY CZYTELNICY!

Nasz tygodnik możecie teraz też nabyć w sklepach sieci Biedronka.

Polecamy się Państwu uwadze przy codziennych zakupach i zapraszamy do lektury!



Bliska wojna

Jerzy Baczyński

Dziś każda wojna jest również nasza. Po ataku Izraela i Stanów Zjednoczonych na Iran możemy obawiać się skokowego wzrostu cen ropy, zakłóceń w ruchu lotniczym, nowej fali ataków terrorystycznych w Europie. Ale pogarsza się także sytuacja geopolityczna Polski. Donald Trump ma teraz nowy priorytet; wojna w Ukrainie spada na dalszy plan, co pośrednio wzmacnia militarną pozycję Rosji. A Benjamin Netanjahu zapewne zadba o to, aby Ameryka mocno i na długo uwikłała się w wojny Izraela; to zaś byłaby zła informacja dla całego NATO.

Europa, Unia – a Polska szczególnie, ze względu na bolesną pamięć historyczną – mają problem, jak oceniać, komentować politykę prawicowego izraelskiego rządu. Bo z jednej strony był barbarzyński atak Hamasu na bezbronnych obywateli Izraela, ale z drugiej – mamy niehumanitarne, długotrwałe terroryzowanie ludności cywilnej w Gazie („Zapomniany cmentarz” na s. 52). Iran ajatollahów jest sponsorem terroryzmu i (być może?) buduje broń jądrową, ale to Trump z Netanjahu w 2018 r. wysadził w powietrze traktat pokojowy z Iranem. A do tego ta retoryka Netanjahu bez skrupułów wykorzystującego pamięć Holocaustu i hańbę antysemityzmu dla moralnego uzasadniania polityki Państwa Izrael. Premier Izraela sprawnie wykorzystuje narcyzm, próżność i swoisty mistycyzm Donalda Trumpa (nasz okładowy raport na s. 8), aby wreszcie wprowadzić na Bliskim Wschodzie własną wersję „pokoju przez siłę”. Teraz, chcąc nie chcąc, cały tzw. kolektywny Zachód staje się stroną tej wojny, nie mając na nią wpływu.

Zaangażowanie USA na Bliskim Wschodzie oznacza, że my tutaj jesteśmy coraz bardziej sami naprzeciwko Rosji. Szczęśliwie – podczas kończącej się właśnie polskiej prezydentury w Unii Europejskiej – udało się wynegocjować zbiorową zgodę na program SAFE, przewidujący inwestycje 150 mld euro w europejski przemysł obronny, w tym ponad 100 mld zł dla Polski. To duży, choć słabo nagłośniony, sukces ministra ds. europejskich Adama Szałpki, który właśnie został mianowany rzecznikiem rządu (piszemy o tym na s. 12). Na razie mamy dużo pytań nie tyle do, ile o samego rzecznika. Na ile ta nominacja jest akceptowana przez liderów rządowych partii (dodatkowo podzielonych rozpadem Trzeciej Drogi – s. 16)? Nie wiemy, czy Adam Szałpka będzie miał odpowiednie umocowanie polityczne, aby narzucać układowi rządowemu swoje przekazy dnia. Jak zamierza zbudować profesjonalny ogólnorządowy sztab komunikacyjny? Itd. Oczekiwania są ogromne: mówią

że to Szałpka i jego przyszły zespół mieliby przygotować „narrację”, z którą koalicja 15 października pójdzie do następnych wyborów. (Tu można by półzartem podpowiedzieć, że jest do wzięcia zupełnie niezła i mało używana narracja z wyborów w 2023 r.).

Szałpka ma opinię sprawnego organizatora, jednak wielu specjalistów uważa jego urzędnicze i osobiste zalety za wady. Bo w świecie medialnych algorytmów wygrywa dziś radykalizm, zdolność wypowiedzania kłamstw, tworzenia pozorów, inscenizowania obrazków i ról. W tej konkurencji Szałpka nie będzie prymusem.

Ale może na początek ważniejsze niż jak jest to, czy będzie miał o czym opowiadać. Czy oprócz personalnej nastąpi także programowa rekonstrukcja, reset koalicji i rządu? W rozliczeniach po przegranej kampanii Rafała Trzaskowskiego wciąż wraca wątek „pustki komunikacyjnej”, obciążenia kandydata marnym dorobkiem i wizerunkiem rządu. Właściwie, jeśli słuchać tych krytyk, aż dziw, że Trzaskowski przegrał tak nieznacznie. A może nawet jeszcze mniej, niż podano.

Dopiero teraz dowiadujemy się o dziwnych anomaliach i manipulacjach wyborczych, głównie na niekorzyść kandydata KO. Do stworzonej przez PiS Izby Kontroli Nadzwyczajnej Sądu Najwyższego trafiło kilkadziesiąt tysięcy protestów wyborczych (piszemy o tym na s. 20). Cokolwiek teraz orzeknie owa Izba – a zapewne szybko przyklepie wybór Karola Nawrockiego i odrzuci protesty – nie ma znaczenia. Wobec braku atrybutu niezależności SN w praktyce – i tak było w 2023 r. – o wyniku wyborów decyduje obwieszczenie Państwowej Komisji Wyborczej. Po tym, jak PiS zdemolował polski system prawny, nie ma już żadnej wiarygodnej ścieżki kontroli ważności i rzetelności wyborów. Więc Karol Nawrocki będzie prezydentem RP.

Donald Tusk, który wzywał do ponownego przeliczania głosów, sam nie podważał wyboru Nawrockiego. Przeciwnie – po spotkaniu Rady Bezpieczeństwa Narodowego oświadczył, że nowy prezydent i premier muszą współpracować przynajmniej w dwóch kwestiach: bezpieczeństwa i energetyki. (W art. „Jak tu rządzić?” Ewa Siedlecka sugeruje, że trzeba dogadywać się z prezydentem także w kwestii praworządności i rząd ma tu silne narzędzia nacisku). Przyszły prezydent jest kompletnym politycznym amatorem powtarzającym kilka wyuczonych w kampanii propagandowych haseł. Można się domyślać, że w polityce zagranicznej i wojskowej ma zamiar ślepo podążać za Donaldem Trumpem. Problem w tym, że Trumpowi stale się zmieniają deklaracje, priorytety i humory. Zresztą dla Nawrockiego – jak i całej polskiej „judeosceptycznej” prawicy – nie lada kłopotem jest twarde proizraelskie stanowisko Trumpa, nie mówiąc już o jego braku asertywności wobec Putina.

W trudnych sprawach (jak wojna w Ukrainie czy Izrael–Iran) Nawrocki zapewne będzie uciekał się do banałów, maskujących legendarną już frazę z jego kampanii „Ja nic nie sądzę”. A to Karol Nawrocki ma nas reprezentować w NATO. W tym niepewnym, rozchwianym świecie wraz z nowym prezydentem wybraliśmy dodatkową dawkę niepewności.

Królewskie miasta Maroka i relaks w Agadirze

Dołącz do naszej magicznej podróży po starych, królewskich miastach, górach Atlas, piaskach Sahary i zrelaksuj się na plaży w nadmorskim kurorcie Agadir.

Najważniejszymi punktami naszej wycieczki są 4 królewskie miasta Maroka: Fez, Marrakesz, Meknes i wreszcie Rabat, obecna stolica kraju, w których zobaczymy okazałe pałace, meczety i kolorowe targi. Atmosfery jak z bajek 1001 nocy dodamy, nocując w wygodnych namiotach na obrzeżach pustyni Sahara, gdzie z bliska będziemy podziwiać ogromne wydmy oraz zobaczymy jak żyją współcześnie Berberowie. Wycieczkę zakończymy 3 dniami relaksu w hotelu przy plaży w Agadirze.

7 obiadów i 9 kolacji w cenie

12 dni

Wyloty z Warszawy

08/11 2025, 14/03 2026

9.998,-



4,5/5

7 obiadów i 5 kolacji w cenie

Kair i rejs po Nilu

Wyjątkowa wycieczka po największych atrakcjach Egiptu: Kair, piramidy w Gizie, 3-dniowy rejs po Nilu z Asuanu do Luksoru oraz plażowanie nad Morzem Czerwonym.

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot Warszawa – Kair. Dz. 2 Kair. Zwiedzanie Kairu, „Wiszący Kościół”, Cytadela i Khan el-Khalili Bazar. Dz. 3 Kair. Piramidy w Gizie i Muzeum Egipskie. Dz. 4 Przyjazd do Asuanu. Tama Asuańska i Świątynia Izdy w Asuanie. Zapokrętowanie na statek. Dz. 5 Rejs z Asuanu do Esny ze zwiedzaniem Świątyni Kom Ombo i Świątyni Horusa w Edfu. Dz. 6 Rejs z Esny do Luksoru. Świątynia Karnak i Świątynia w Luksorze. Dz. 7 Luksor. Dolina Królów i świątynia królowej Hatszepsut. Dz. 8 Przejazd z Luksoru nad Morze Czerwone. Dz. 9 Makadi Bay. Relaks nad Morzem Czerwonym i wylot do domu. Dz. 10 Przylot do Warszawy.

10 dni | Wyloty z Warszawy 18/11 2025, 24/02 2026 | 9.998,-



5/5

Kapsztad – afrykański raj

Wybierz się do RPA, spróbuj najwspanialszych win i doskonałego jedzenia, rozkoszuj się pięknymi plażami i zobacz pingwiny w pobliżu Przylądka Dobrej Nadziei!

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Kapsztadu. Dz. 2 Kapsztad, zwiedzanie miasta. Dz. 3 Kapsztad. Dzień wolny lub wycieczka na Górę Stołową, rejs statkiem po zatoce, dzielnica Victoria & Alfred Waterfront. Dz. 4 Kapsztad. Dzień wolny lub wycieczka na Przylądek Dobrej Nadziei z lunchem. Dz. 5 Kapsztad. Dzień wolny lub wycieczka do krainy win: Vrede en Lust, Franshoek i Stellenbosch, lunch i degustacja win. Dz. 6 Kapsztad. Dzień wolny lub wycieczka na Wyspę Robben i township. Dz. 7-8 Pobyt w Kapsztadzie. Dz. 9 Wylot do Polski. Dz. 10 Przylot do Polski.

10 dni | Wyloty z Warszawy 22/01, 22/02 2026 | od 7.498,-



Kościół: dość rozliczeń!

Grupy katolików protestowały w ubiegłym tygodniu przed kościelnymi instytucjami w Warszawie, Krakowie i Poznaniu. Powód: odsunięcie przez episkopat prymasa Polski abp. Wojciecha Polaka od prac nad powołaniem niezależnej komisji do zbadania wykorzystywania seksualnego małoletnich. „Zbyt poważnie potraktował to, co Kościół sam obiecał. Był gotów naprawę słuchać. Nie szukał wybiegu prawnego, ale prawdy” – mówiła pod Nuncjaturą Apostolską Maria Rościszewska z warszawskiego Klubu Inteligencji Katolickiej. W miejsce abp. Polaka powołano bp. Sławomira Odera, „człowieka niecieszącego się zaufaniem świeckich w tej sprawie, który wygasił śledztwo w sprawie tuszowania przestępstw

seksualnych za czasów Jana Pawła II” – kontynuowała Rościszewska.

O powołaniu komisji episkopat zdecydował w marcu 2023 r. Jednocześnie jego większość pozostaje niechętna rozliczeniom. Boi się (dalszej) utraty autorytetu i wypłacania odszkodowań. Protestujący oczekują głosu biskupów, którzy nie zgadzają się z tą linią (i w takim tonie wypowiadają się biskupi Damian Muskus, Artur Ważny, Grzegorz Ryś). Mówiąc o wykorzystywaniu, powołują się na słowa Jezusa: „Wszystko, co uczyniliście jednemu z tych braci moich najmniejszych, mnieście uczynili”. Oraz: „Jeśli ci umilkną, kamienie wołać będą”.

Kamyki z tymi zdaniem zostawiają przed kościelnymi urządzeniami.

Co nietypowe, decyzję o odwołaniu abp. Polaka skrytykował prezes Katolickiej Agencji Informacyjnej Marcin Przeciszewski. Powiedział, że jest „niezrozumiała”, że „to policzek wobec osób skrzywdzonych oraz medialna katastrofa”. Powołana przez episkopat w 1993 r. KAI informowała dotąd o życiu Kościoła, budując jego pozytywny wizerunek, ale ciesząc się pewną autonomią. Od miesięcy widać zbliżający się zmierzch agencji w jej dotychczasowym kształcie.

– *Linia obecnego prezydium KEP to chęć budowania „jedności odgórnie sterowanej” bez marginesu swobody dla jakichś odważniejszych pomysłów, co do których większość biskupów nie jest do końca przekonana. Myślę, że w najbliższym czasie podobnego zacieśniania marginesu swobody możemy się spodziewać także na innych polach niż komisja badająca przypadki wykorzystania seksualnego* – mówi Przeciszewski.

Według naszych rozmówców episkopat chce połączyć KAI ze swoim biurem prasowym i portalem Opoka, a na Przeciszewskim wymusza rezygnację. Rzecznik KEP ks. Leszek Gęsiak przekazał tylko, że „nie ma takich informacji”. (JHP)

Filmowcy dalej podzieleni

Kamila Dorbach, od pół roku pełniąca obowiązki dyrektora Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej, wygrała w końcu konkurs i została powołana na to stanowisko. Część środowiska uznała to jednak za porażkę. Ministra kultury Hanna Wróblewska po aferze z niewyjaśnionym do dziś odwołaniem Karoliny Rozwód, zwolnionej po niespełna czterech miesiącach urzędowania, zapowiadała, że chce uniknąć podejrzeń o tzw. ustawkę, więc decyzję o tym, kto ma stać na czele kluczowej dla filmowców instytucji, operującej w skali roku budżetem rządu pół miliarda złotych, powierza środowisku filmowemu. Duża jego część oczekiwała wskazania Magdaleny Sroki, która pełniła już tę funkcję w latach 2015–17.

W wyjątkowo licznym, rozszerzonym do 15 osób składzie komisji konkursowej, poza kilkoma nazwiskami nie znaleźli się jednak znani szerzej artyści ani obdarzone powszechnym zaufaniem autorytety – jak Agnieszka Holland czy Mariusz Włodarski, wytypowani przez gildie. Zamiast nich w komisji zasiadli m.in. początkujący scenarzysta Mateusz Subieta i Stanisław Pieniak, emerytowany dokumentalista, człowiek na co dzień niemający nic wspólnego z PISF, który na dodatek zgłosił się sam.

Za Dorbach głosowało osiem osób. Według Barbary Pawłowskiej, prorektorki ds. studenckich Warszawskiej Szkoły Filmowej i członkini komisji konkursowej, na rzecz tej kandydatki przemawiało to, że udało jej się opanować kryzys w PISF i przekonać do siebie młodych. Jej największą zasługą było stworzenie nowego priorytetu dla debiutów zarówno reżyserskich, jak i producenckich. Uprościła także procedurę składania wniosków do programów operacyjnych oraz zburzyła fortecę, którą z PISF uczynił Radosław Śmigulski, otworzyła tę instytucję dla ludzi.



Jednak zdaniem Grzegorza Łoszewskiego, prezesa Stowarzyszenia Filmowców Polskich, reformy Dorbach nie spełniły oczekiwań. Instytut nie działa lepiej. Przewlekłość postępowania nawet się pogłębiła. W ciągu kilku miesięcy PISF wydał ponad 40 mln zł na same wyżłoki (podwyższenie przyznaných dotacji po urealnieniu kosztów projektów) i odwołania. W ten sposób – jak twierdzi Łoszewski – Dorbach kupowała sobie życliwość niektórych członków komisji, beneficjentów swoich działań. Wystarczy porównać, kto ostatnio otrzymał najwięcej dotacji. Zadaniem szefa PISF jest sklepanie środowiska, docenianie twórczości, bo to największy kapitał kinematografii. Wygląda na to, że zamiast uspokojenia nastrojów wybór Dorbach tylko pogłębił podziały. (JW)

Dowody na taśmie

Anna Siewierska

Profesor Uniwersytetu Rzeszowskiego, politolożka.



Telewizja Republika wyemitowała hucznie zapowiadane „taśmy Tuska”. Strzał faktycznie był głośny, ale tylko dlatego, że naboje okazały się pustakami. Usłyszeliśmy np., że Roman Giertych zwraca się do swojego ojca „tatusiu”, a Donald Tusk ma lekką obsesję na tle poprawności językowej i z ironicznym dystansem podchodzi do zarzutu, że jest Niemcem. Dowiedzieliśmy się także, że jeden z najbogatszych polskich biznesmenów – a to ci zaskoczenie! – był przeciwnikiem podniesienia pensji minimalnej, bo to oznaczało dla niego większe koszty wynagrodzeń dla pracowników. Można by zatem skwitować „afery taśmową” złośliwym uśmiechem i szybko zapomnieć o kompromitacji prawicowych mediów, gdyby nie jeden, fundamentalnie ważny szczegół.

Otóż Republika przypomniała nam, że w czasach rządów Zjednoczonej Prawicy służby wykorzystywały technikę operacyjną przewidzianą do podsłuchiwania terrorystów i najgroźniejszych przestępców do inwigilowania przeciwników politycznych. Większość materiałów udostępnionych przez telewizję Sakiewicza, poza tymi ściągniętymi z konta Giertycha na YouTube – z dorobionym dla niepoznaki szumem – okazała się bowiem nagraniami pozyskanymi za pośrednictwem izraelskiego systemu Pegasus. Jeden z najnowocześniejszych i najdroższych w użytkowaniu programów podsłuchowych wykorzystywano niezgodnie z założeniami,

a prawdopodobnie także niezgodnie z prawem. Paradoksem wydaje się, że niezbitych dowodów na to dostarczyły właśnie media ślepo służące interesom prawicy.

Co więcej, po uzyskaniu pewności, że nagrania z Pegasus-a nie dostarczają dowodów na popełnienie jakiegokolwiek przestępstwa, nie tylko ich nie skasowano, ale przeciwnie – ktoś z ówczesnych służb pozyskał materiały, łącznie z prywatnymi rozmowami, wyniósł na zewnątrz. Trudno o bardziej namacalny dowód na upolitycznienie służb w czasach Zjednoczonej Prawicy. Pozostaje mieć nadzieję, że minister Siemoniak prześwietli do spodu nadzorowany przez siebie resort, żeby zidentyfikować winnych tego procederu. Trudno się przy okazji oprzeć wrażeniu, że tego rodzaju śledztwa powinny się w MSW toczyć już od dawna, a dokładnie od 14 grudnia 2023 r.

Sprawa „afery taśmowej” dowodzi nie tylko politycznej dyspozycyjności służb w latach 2015–23, ale też wskazuje, że instytucje państwa w tamtym okresie nie koncentrowały się na ochronie bezpieczeństwa Polski i Polaków, tylko na wewnętrznych rozgrywkach i walce z ówczesną opozycją. Biorąc pod uwagę ograniczoną liczbę licencji Pegasus-a zakupionych przez polskie służby, można założyć, że skoro część z nich służyła podsłuchiowaniu polityków i aktywistów społecznych, to była jednocześnie wykluczona z inwigilacji potencjalnych wrogów państwa – rosyjskich szpiegów, dywersantów i przestępców. Jeśli spojrzymy na taśmy Republiki z tej perspektywy, sprawa wydaje się już nie tylko zwykłą kompromitacją prawicowych mediów, ale też dowodem na niedopełnienie obowiązków przez osoby nadzorujące służby w czasach PiS, a być może także na zdradę państwa.

Cenzurka Nowackiej

Barbara Nowacka, szefowa resortu Edukacji, została oceniona jako najsłabszy minister w rządzie Donalda Tuska przez uczestników sondażu zleconego przez Onet. Wskazała ją 13,6 proc. pytanym. Jej nazwisko pojawia się też w spekulacjach dotyczących rekonstrukcji rządu. Zasłużyła? Trochę tak. Ale nie do końca.

Ministra podpadła sposobem przeprowadzenia projektu edukacji zdrowotnej. Prawicy – tym, że od września na lekcjach w szkole będzie się pojawiać słowo „seks”, lewicy – tym, że wbrew planom nowy przedmiot nie będzie obowiązkowy. Ponadto – tu znów prawicy i Kościołowi – tym, że okroiła lekcje religii do jednej tygodniowo. Choć i lewica ma pretensje, że ta jedna godzina zostaje.

Trochę mniej kontrowersji budzi drugi nowy przedmiot, czyli edukacja obywatelska. W szkołach ponadpodstawowych zajmie miejsce historii i teraźniejszości, osławionego „dziecka” ministra Przemysława Czarnka. Wielu komentatorów krytykuje tę decyzję, uznając ją za politycznie motywowaną podmiankę.



Większość poglądów, które ostatnio formułuje ministra, można uznać za dość racjonalne i zdroworozsądkowe. Np. zakaz smartfonów w szkole. „Zakaz sprawdza się tam, gdzie rodzice go zaakceptowali; mam doświadczenie, jak działa odgórny zakaz, bez wytłumaczenia go dobrze” – tłumaczy Nowacka, odnosząc się do ubiegłorocznej – krytykowanej – decyzji o ograniczeniu prac domowych w podstawówkach (obecnie konsultowane są zmiany tej regulacji). Zdaniem niektórych „problemem” ministru jest to, że jej podejście jest bardziej uczniowskie niż pronauczyielskie. Krytyka

spotyka ją też m.in. za pomysł dopuszczania pełnoletnich przedstawicieli uczniów w szkołach średnich do komisji wybierających dyrektorów. Ale i tę koncepcję można obronić.

Trudniej idzie natomiast usprawiedliwić nie słabych efektów w zabieganiu o poprawę warunków pracy oraz o pieniądze dla pracowników oświaty. Po ubiegłorocznych 30-procentowych podwyżkach w tym roku nauczyciele dostali ledwie 5 proc. więcej. Frustrują się tym bardziej, że pracownicy niepedagogiczni – osoby sprząające czy woźni – doczekali się 16-procentowego wzrostu wynagrodzeń. I obecnie starabiją więcej niż młodzi nauczyciele. W resorcie toczą się prace nad założeniami reformy oświaty, która ma się ruszyć w 2026 r. Członkowie zespołu spotykają się w tej sprawie z nauczycielami w całej Polsce, ale w komunikacji resortu wyraźnie brakuje strategii i spójności. Poniedziałkowa rezygnacja wiceministry Joanny Muchy (Polska 2050) zrodziła zaskakujące wrażenie – także w samym MEN. Tymczasem nauczycielskie związki zawodowe właśnie zaczęły zapowiadać akcje protestacyjne. (J. CIEŚL.)

Cel nocy letniej

Stany Zjednoczone zaatakowały Iran, realizując – świadomie lub nie – kolejny etap izraelskiej rewolucji na Bliskim Wschodzie. O co w niej chodzi i czy zapewni Izraelowi bezpieczeństwo?

ŁUKASZ WÓJCIK

Wieczorem 21 czerwca premier Izraela Benjamin Netanjahu osiągnął to, czego pragnął – Donald Trump dał zielone światło dla amerykańskiego ataku na Iran. U progu najkrótszej nocy roku bombowce B-2 uderzyły na ośrodek wzbogacania uranu w Natanz, naruszony już podczas wcześniejszych ataków Izraela, oraz na bliźniacze zakłady Fordow umieszczone głęboko pod ziemią. Amerykanie wykorzystali 12 bomb niszczyli bunkrów, które według Białego Domu przebiły się przez kilkadziesiąt metrów litej skały i „całkowicie zniszczyły” nuklearne ambicje Iranu. Jednocześnie amerykańskie okręty podwodne zaatakowały Tomahawkami magazyny materiałów rozszczepialnych na przedmieściach Isfahanu.



Iran, który od 13 czerwca był atakowany przez Izrael, nie potwierdza tak dużej skali zniszczeń. Wcześniej jednak w izraelskich atakach stracił m.in. najwyższych dowódców armii i Korpusu Strażników Rewolucji. Izrael obezwładnił irańskie lotnictwo i obronę powietrzną. Zaatakował również ośrodki zaangażowane w irański program nuklearny. Najważniejsze z nich, jak Fordow, mogły być jednak zniszczone tylko przez bomby, które są w posiadaniu Amerykanów. Netanjahu więc dzwonił, nalegał, a czasem wręcz stawiał Trumpa przed faktami dokonanymi. I w końcu mu się udało. „Jeśli pokój nie nadejdzie szybko – mówił prezydent USA w sobotę wieczorem – Stany Zjednoczone zaatakują inne miejsca, z precyzją, szybkością i umiejętnością”.

Netanjahu dopiął więc swego i wciągnął USA do wojny ze swym arcywrogiem. I co dalej? Jaki jest sens tej regionalnej rewolucji, którą Izrael rozpoczął po bestialskim ataku Hamasu z 7 października 2023 r.? Bliskiego Wschodu, który istniał tamtego dnia, już nie ma. Izrael zniszczył Strefę Gazy i zabił tam co najmniej 55 tys. Palestyńczyków. Potem gwałtownym uderzeniem na Liban unieszkodliwił Hezbollah. A gdy w Syrii upadł reżim Baszara Asada, izraelska armia zniszczyła sprzęt syryjskiej armii, zajmując przy okazji syryjskie tereny.

Netanjahu, korzystając z najlepszego okna możliwości w historii Izraela, otwartego tak szeroko głównie przez Trumpa, postanowił do cna wyzyskać tę sytuację i raz na zawsze zapewnić Izraelowi bezpieczeństwo oraz dominującą pozycję w regionie. Pytanie tylko, czy na dłuższą metę taka absolutyzacja własnego bezpieczeństwa kosztem innych może być trwała? Czy można ją usprawiedliwić prawnie, polityczne i w końcu moralnie?

1 Nie sposób dziś znaleźć eksperta zajmującego się prawem międzynarodowym, który uznałby agresję Izraela na Iran za legalną. Netanjahu przekonuje, że 13 czerwca jego kraj rozpoczął tzw. atak uprzedzający, który miał na celu uratowanie Izraela przed „nuklearnym Holokaustem”. Premier Izraela odwołuje się w ten sposób do ścieżki zawartej w Karcie Narodów Zjednoczonych, która przewiduje legalny atak na inne państwo – w tym przypadku atak mający uchronić Izrael przed grożącym mu bezpośrednio niebezpieczeństwem ze strony Iranu. Jakie to niebezpieczeństwo? Aby uznać atak uprzedzający za legalny, muszą być spełnione dwa warunki. Po pierwsze, potencjalny agresor, na którego kierujemy uprzedzający atak, musi mieć możliwości techniczne, aby nas poważnie skrzywdzić. Po drugie, musi mieć takie intencje.

Czy więc Iran bezpośrednio przed izraelskim atakiem miał „możliwości techniczne”, aby egzystencjalnie zagrozić Izraelowi? Precyzując: czy miał lub wkrótce miał wejść w posiadanie bomby jądrowej? Takie obawy nie są bezpodstawne. Iran przez wiele lat ukrywał swój program nuklearny, a od dwóch lat wzbogacał uran do poziomu niepotrzebnego w cywilnej energetyce jądrowej i niebezpiecznie bliskiego poziomowi „bombowemu”, do którego Iran – według ekspertów Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej (IAEA) – miał przed izraelskim atakiem dwa–trzy tygodnie.

Jednocześnie ci sami eksperci przypominają, że sam wzbogacony uran nie wystarczy do skonstruowania skutecznej bomby. Tu potrzebne są jeszcze trzy elementy: specyficzny zapalnik, umiejętność miniaturyzacji ładunku (tak, aby zmieścił się w nośniku) i właśnie nośnik, czyli np. odpowiednia rakietka. Ani jeden z tych trzech elementów nie był w technicznym zasięgu Irańczyków. Ekspertki mówili więc o kolejnych 6–12 miesiącach potrzebnych na skonstruowanie bomby.

Żadna z międzynarodowych instytucji kontrolnych zaangażowanych w tę sprawę, w tym sama IAEA, nie twierdziła, że Iran jest krok od zdobycia bomby. Co więcej, jeszcze w marcu tego roku szefowa CIA Tulsi Gabbard przekonywała Kongres, że według danych wywiadowczych Iran nie planuje budowy bomby (kilka dni temu po spotkaniu z Trumpem zmieniła zdanie, ale tu akurat nie dane wywiadowcze się zmieniły).

2 Drugi warunek legalności ataku uprzedzającego to intencje potencjalnego agresora. I tu sprawa jest bardziej skomplikowana. Trzema filarami stworzonej przez Ruhollaha Chomeiniego Islamskiej Republiki są do dziś hasła: „Śmierć Ameryce”, „Śmierć Izraelowi” i hidżab. Hidżab coraz bardziej się zsuwa, Ameryka jest daleko, ale Izrael od początku był w zasięgu... Walka z państwem żydowskim przez dekady stanowiła priorytet irańskiej polityki zagranicznej. Izrael musiał być zniszczony albo przynajmniej niszczone, jeśli Iran miał aspirować do pozycji obrońcy uciśnionych, do roli nie tylko strażnika prawdziwego islamu, ale też protektora narodów oczekujących końca zachodniego imperializmu, którego ekspozyturą w regionie ma być właśnie Izrael.

Tyle że – jak twierdzi od lat Ray Takeyh, znany iranista z Uniwersytetu Oksfordzkiego – to mglista retoryka na użytek wewnętrzny, pozwalająca na mobilizację Irańczyków wokół reżimu, który poza nieustającą walką z Izraelem nie ma za bardzo czym się pochwalić. Prawo międzynarodowe wymaga jednak precyzji, a jak dotąd nie było i nie ma znanych oficjalnie irańskich planów nuklearnego ataku na Izrael. Gdyby takie istniały w wersji tajnej, to biorąc pod uwagę interes Izraela w ich ujawnieniu oraz głęboką infiltrację izraelskich służb w Iranie, już dawno byłyby znane.

Powyższe argumenty mogą się wydawać wątpliwe politycznie, ale na razie mówimy o prawnym uzasadnieniu dla ataku uprzedzającego. I z tym wiąże się jednak pewien paradoks: jeśli by uznać, że w obecnych warunkach Izrael miał prawo do ataku, to jednocześnie musielibyśmy uznać, że miał go też np. Hezbollah wobec Izraela po ataku Hamasu z 7 października.

Wówczas zachodni dyplomaci przekonywali przywódców Hezbollahu, aby ograniczyli ataki raketowe na Izrael do minimum. I zapewniali, że powstrzymają Izrael przed pełnoskalową agresją. W efekcie z ponad 100 tys. rakiet pod kontrolą Hezbollahu na Izrael poleciało zaledwie kilkaset. Ale gdy Izrael wstępnie uporał się z Hamasem, ruszył z pełną mocą na Hezbollah, który został zdruzgotany. Czy Hezbollah nie miał więc prawa do ataku uprzedzającego? Wiadomo, Hezbollah to nie państwo. Ale czy z dzisiejszej perspektywy takie samo prawo do ataku uprzedzającego na Izrael przyznalibyśmy Iranowi?

I nie chodzi tu o sprzyjanie organizacji terrorystycznej, za jaką Hezbollah słusznie uważa przytłaczająca większość społeczności międzynarodowej, czy o poparcie dla krwawej teokracji ajatollahów, lecz o zasadę. Jeśli w wyżej opisanych warunkach uznajemy prawo Izraela do ataku uprzedzającego na Iran, to dlaczego nie przyznać takiego prawa Rosji wobec Ukrainy? W końcu Władimir Putin przed atakiem w lutym 2022 r. też mówił, że musi to zrobić, bo Rosja czuje się egzystencjalnie zagrożona ze strony Ukrainy.

I jeszcze jedno: jeśli takie wątpliwości występują wokół izraelskiej agresji na Iran, to wszystkie powinny być spotęgowane, jeśli szukać uzasadnienia dla amerykańskiego ataku z 21 czerwca. Iran nie miał przecież żadnych możliwości technicznych, ►

► aby zaatakować Amerykę. Nie zamierzał też zetrzeć USA z powierzchni ziemi, odnosząc się do intencji.

3 Netanjahu zdołał jednak przekonać Trumpa do ataku. Kilka dni wcześniej wystąpił w amerykańskiej telewizji NBC z „apellem do braci Amerykanów”. Świętą angielszczyzną mówił tam o wieloletnim sojuszu USA i Izraela. O egzystencjalnym zagrożeniu dla swojego kraju. I prosił o pomoc. Ale tak naprawdę mówił do jednego odbiorcy – prezydenta USA. – *Ewidentnie go prowokował – uważa Mohsen Milani, irański politolog pracujący na Uniwersytecie Południowej Florydy. – Mówił między słowami: „Chyba nie jesteś tchórzem. Boisz się uderzyć na Iran? Pokaż, co potrafisz”.*

Tego typu gra na emocjach ze strony Netanjahu najwyraźniej działa na Trumpa i wpływa na jego decyzje, nie tylko w sprawie Iranu. Oczywiście zawsze znajdzie się grono apologetów prezydenta USA, którzy post factum będą wpisywać jego kolejne decyzje w wielki, piękny i przebiegły plan zaprowadzenia pokoju na świecie. Ale przyjrzyjmy się sprawie Iranu.

W pierwszej kadencji Trump wycofał Stany Zjednoczone z umowy nuklearnej, którą w 2015 r. mocarstwa światowe zawarły z Iranem. Umowa ta miała swoje dobre i złe strony, ale Trump zapowiedział, że wynegocjuje lepszą. Słowo „wynegocjuje” jest tu kluczowe, bo Trump w trakcie pierwszej kadencji nie dopuszczał amerykańskiego ataku na Iran. Podczas ostatniej kampanii wielokrotnie podkreślał, że gdy wróci do władzy, na świecie niemal z automatu zapanuje pokój. Że Ameryka pod jego rządami nie weźmie już udziału w żadnej „głupiej wojnie”.

Dziś „tłumacze” Trumpa przekonują, że pięć oficjalnych rund rozmów z Irańczykami (plus wiele spotkań nieformalnych) to była tylko zasłona dymna. Że chodziło o uspokojenie Teheranu, aby z zaskoczenia przeprowadzić atak. Czy aby na pewno?

Steve Witkoff, wysłannik Białego Domu na rozmowy z Irańczykami, naprawdę przerabiał z nimi kolejne punkty porozumienia. A Trump ponoć wielokrotnie w rozmowach prywatnych, a w końcu i publicznie, przestrzegwał Netanjahu przed atakiem na Iran przed zakończeniem rozmów. A gdy ten i tak zaatakował, Trump zapomniał, co mówił kilka dni wcześniej, i niedwuznacznie zaczął sugerować, że to wszystko było uzgodnione z Izraelczykami. Dosłownie dobiegł przed atakiem prezydent USA mówił, że daje Irańczykom dwa tygodnie na powrót do stołu negocjacyjnego.

– *Trump nie chciał tej wojny, bo rozsądza ona fundament jego władzy, czyli sojusz zhołdowanych resztek Partii Republikańskiej i ruchu MAGA – wskazuje Milani. Ta pierwsza grupa to głównie sieroty po dawnym ruchu neokonserwatywnym skłonne każdy problem międzynarodowy rozwiązywać poprzez bombardowanie. Popierają dziś amerykańskie ataki na Iran, usprawiedliwiając je m.in. „opresyjną” naturą reżimu ajatollahów (to swoją drogą kuriozalne, jeśli przypomnieć, jak opresyjny był poprzedni reżim irański, który do ostatniej chwili cieszył się bezwarunkowym poparciem Waszyngtonu).*

Druga grupa, związana z ruchem MAGA i zdominowana przez izolacjonistów, od tygodni ostrzegała Trumpa przed agresją na Iran. Nie dlatego, że lubi ajatollahów, ale dlatego, że obawia się wciągnięcia Ameryki w kolejną bezsensowną i niekończącą się wojnę na końcu świata, która wyczerpie zasoby niezbędne do reformowania Ameryki od środka.

Symboliczna dla tego sporu była rozmowa, jaką w zeszłym tygodniu przeprowadził Tucker Carlson, wpływowy ideolog obozu MAGA, z senatorem Tedem Cruzem, republikańskim



Satelitarne zdjęcie zbombardowanych podziemnych zakładów Fordów

jastrzębiem, zwolennikiem ataku na Iran. Carlson zapytał Cruza, ilu mieszkańców liczy Iran (ok. 92 mln), a gdy nie uzyskał odpowiedzi, dopytał jeszcze o skład etniczny tego kraju i znów odpowiedzią było milczenie. Wtedy wybuchnął: „Czyli niczego nie wiesz o państwie, którego reżim zamierzacie wymienić?!”. A potem zaczął zawodzić: „To tak samo jak Bush junior – on też nie wiedział niczego o Iraku”.

4 Tzw. zmiana reżimu to dziś niewątpliwie najgorętszy temat wokół Iranu. Izraelskie i amerykańskie ataki są może spektakularne i „piękne” dla Trumpa, ale większość ekspertów jest zgodna, że nie da się zbombardować programu nuklearnego. Bo ten kryje się nie tylko w głębokich jaskiniach Fordów, lecz również w głowach irańskich naukowców i w „sercach irańskich przywódców” – jak to określił niedawno Najwyższy Przywódca Iranu Ali Chamenei. Może więc trzeba siłą wymienić Chameneiego i zainstalować nową władzę, która porzuci marzenia o bombie?

W ostatnich dniach, przy niewątpliwym udziale strony izraelskiej, promowane są co najmniej dwie opcje takiej podmiany – jedna gorsza od drugiej. Po pierwsze, jest Reza Pahlawi, syn obalonego w 1979 r. szacha Iranu. Pełno go dziś w mediach nie tylko zachodnich, ale też izraelskich. Nie przypadkiem też Izrael nazwał agresję na Iran operacją „Wschodzący Lew” – ten symbol Pahlawich widniał na irańskiej fladze przed rewolucją.

I mogłoby się wydawać, że taka monarchiczna postać pasuje do roli patrona okresu przejściowego, po ewentualnym obaleniu ajatollahów. Gdyby tylko nie wzbudzała w Iranie drwin. Reza od lat pławi się w luksusie za pieniądze ukradzione Irańczykom przez jego ojca. Ma znikome pojęcie o tym, co się dzieje w jego ojczyźnie. I już w trakcie izraelskich ataków wzywał Irańczyków do obalenia reżimu, co wielu naszych irańskich rozmówców – głównie przeciwników reżimu – odebrało jako wyjątkowy afront.

Jeszcze bardziej kuriozalna wydaje się sugestia powtarzana przez niektóre izraelskie media, że po przewrocie władzę w Iranie mogliby przejąć Ludowi Mudżahedini. To powstała pod koniec lat 70. XX w. organizacja terrorystyczna i skrajnie lewicowa, która ostatecznie przegrała rywalizację z obozem lidera rewolucji Chomeiniego i zagrożona prześladowaniami nowego reżimu musiała się wynieść z Iranu. Gdy w 1980 r. Saddam Husajn zaatakował pogrążony jeszcze w rewolucyjnym chaosie Iran, Ludowi Mudżahedini stanęli po stronie Iraku. – *Trzeba być niespełna rozumem, aby zakładać, że tacy ludzie mogliby przejąć władzę w Iranie*



– twierdzi Vali Nasr z Johns Hopkins University, autor właśnie wydanej książki „Iran’s Grand Strategy” (Wielka strategia Iranu).

Według Nasra najbardziej prawdopodobną opcją po ewentualnym zabiciu Chameneiego jest przejście pełni władzy przez Strażników Rewolucji. Iran mógłby się wówczas zamienić w wojskową dyktaturę o mocno nacjonalistycznym zabarwieniu. A już na pewno nie ma co liczyć na demokratyczną opozycję przetrzebioną po ostatniej fali protestów w 2022 r., która zresztą nie ma nawet wspólnego kierownictwa czy liderów – to akurat świadomy wybór, aby władze nie mogły tego oddolnego ruchu tak łatwo zdekapitować.

5 We wspomnianej książce Vali Nasr przypomina, że przy takich próbach zmiany reżimu obowiązuje zasada niezamierzonych konsekwencji. Rozpaczliwie powoływali się na nią przeciwnicy amerykańskiego ataku na Irak w 2003 r. Brent Scowcroft, były doradca ds. bezpieczeństwa narodowego Geralda Forda i George’a Busha seniora, przekonywał wówczas, że inwazja na Irak odciągnie uwagę Ameryki od głównego celu – dopadnięcia Osamy bin Ladena i eliminacji Al-Kaidy, odpowiedzialnej za ataki z 11 września 2001 r. Poza tym zmiana reżimu oznaczałaby „okupację arabskiej ziemi, wrogiej arabskiej ziemi”. Nie przez miesiące, ale przez lata.

Z dzisiejszej perspektywy Scowcroft miał rację. Amerykanie ugrzęźli w Iraku, potem wybuchło tam szybkie powstanie, które jeszcze później dało początek tzw. Państwu Islamskiemu. Amerykanie zmienili w Iraku reżim i rozpętał się chaos. Podobnie w Afganistanie, gdzie 20-letni proces tzw. budowania narodu (*nation building*) załamał się w ciągu 11 dni, po czym do władzy wrócili talibowie. I w Libii, gdzie próba podmianny Muammara Kaddafiego zakończyła się kolejną katastrofą.

Dziś, atakując Iran, Ameryka w sojuszu z Izraelem zdaje się popełniać ten sam błąd. Tylko na dużo większą skalę, w kilkakrotnie większym państwie, dużo bardziej skomplikowanym politycznie i etnicznie. I to w dodatku, jak się zdaje, bez żadnego planu i pomysłu na przyszłość.

6 Iran to nie Irak. Nie jest to sztuczny twór, którego granice przy linii narysowali europejscy koloniałści. Chociaż już starożytni Grecy nazywali Iran Persją, Persowie stanowią jedynie niewielką większość jego mieszkańców. Jedna czwarta to Azerowie lub Turcy (Azerem z pochodzenia jest Chamenei). Mieszkają

tam również Kurdowie, Beludżowie, Arabowie i mniejsze grupy Żydów, Asyryjczyków i Ormian.

Znów – irańskość to nie to samo co irackość. Wszystkie te powyższe grupy w znacznie większym stopniu mają poczucie wspólnoty i rzadko traktują swoje własne tożsamości jako sprzeczne z tożsamością irańską. Porewolucyjny Iran nigdy nie był jednak dla nich kochającą matką i trudno przewidzieć, jak zachowają się najpotężniejsze z tych grup, na dodatek mające oparcie w państwach ościennych, czyli przede wszystkim Azerowie i Kurdowie.

Wojna domowa wywołana przez takie ruchy odśrodkowe byłaby katastrofą dla całego regionu – dla Iraku, Turcji, Azerbejdżanu, Pakistanu. A w efekcie również dla Stanów Zjednoczonych, które we wszystkich tych państwach mają swoje interesy, oraz dla Europy, bo masowa migracja wywołana przez wojnę domową w Syrii wobec perspektywy ewentualnego kryzysu irańskiego mogłaby się okazać niewinnym przetarciem. Nikt nie wie – również Izrael – jak zachowają się Irańczycy bez państwa.

7 Z klasycznie pojmowanym bezpieczeństwem jest trochę jak z wolnością – powinna być ograniczona, aby uszanować bezpieczeństwo innych. Nie z powodów moralnych – choć to też ważny aspekt – ale czysto racjonalnych: ostatecznie przecież musimy jakoś obok siebie żyć. Izraelskie elity polityczne wywracają dziś to rozumowanie, absolutyzując własne bezpieczeństwo – jeśli Izrael ma się czuć bezpiecznie, ze Strefy Gazy nie może zostać kamień na kamieniu, a Iran trzeba zbombardować i przy okazji wymienić Irańczykom władzę na lepszą.

Tu wpadamy w paradoks odpowiedzialności zbiorowej. Izrael zdaje się przyjmować, że w zasadzie wszyscy mieszkańcy Strefy Gazy są co najmniej moralnie współodpowiedzialni za atak Hamasu z 7 października, dlatego ich przesiedlenia czy zabójstwa są w pewnym stopniu usprawiedliwione. Podobnie Irańczycy, którzy giną „przy okazji” izraelskich ataków na wille szefostwa irańskiej armii czy posiadłości Strażników Rewolucji.

Żeby była jasność – nie sposób moralnie porównać Państwa Izrael do Strefy Gazy rządzonej przez Hamas czy do Iranu ajatollahów. W tym pierwszym przypadku mówimy o demokracji działającej wciąż na modłę zachodnią, z uczciwymi wyborami, wolnością osobistą jednostek itd. I choć ostatnie lata rządów Netanjahu mocno nadszarpnęły ten wizerunek, to po drugiej stronie mamy m.in. autorytarną teokrację, która urządza niewiele znaczące głosowania imitujące wybory, która arbitralnie ogranicza wolność swoich obywateli (szczególnie kobiet) i która systematycznie morduje przeciwników politycznych.

Tylko że z tej moralnej przepaści między Izraelem i Iranem wynika również przepaść w odpowiedzialności za działania swojego rządu. Jeśli Izrael wszystkich mieszkańców Strefy Gazy traktuje jak komбатantów, czyli uprawniony cel, choć przecież mieli niewielki wpływ na brutalne rządy Hamasu – tak jak Irańczycy na reżim ajatollahów – to o ile większą odpowiedzialność ponoszą Izraelczycy za działania wybranego przez siebie rządu Netanjahu w Strefie Gazy, które dla wielu ekspertów przekroczyły już barierę ludobójstwa?

Izrael w rewolucyjnym stylu buduje dziś nowy system bezpieczeństwa na Bliskim Wschodzie, oparty na fundamentalnej nierównowadze – tylko mieszkańcy Izraela mogą się czuć w nim bezpiecznie. Tym samym zasiewa już ziarna kontrrewolucji.

ŁUKASZ WÓJCİK

Zausznicy i zderzaki

Z nowym rzecznikiem w nowe otwarcie. Powołanie **Adama Szłapki** to sygnał, że rząd będzie teraz bardziej dbał o komunikację. Tylko czy w szalonych czasach wielokanałowej polityki 24/7 to stanowisko coś jeszcze może znaczyć?

RAFAŁ KALUKIN



Rząd Donalda Tuska był pierwszym od dekad, który obywatel się bez rzecznika. Wzbraniał się przed tym sam premier, który wolał komunikować się z opinią publiczną bez pośredników. Ku utrapieniu koalicjantów mających pretensje do Tuska, że „prywatyzuje” rządowe projekty, również wychodzące z ich resortów. Po ostatnich wyborach wykorzystali więc słabnącą pozycję szefa i wymogli powołanie rzecznika, który miałby odciążyć Tuska i usystematyzować kulejącą politykę informacyjną, z uwzględnieniem potrzeb wszystkich partnerów.

Pewnie więc entuzjazm premiera był nieco udawany, kiedy prezentował w piątek swojego wybrańca. Niemniej, przebiegając w kandydatach, Tusk bez wątplenia zadbał o to, żeby wybrać możliwie najbardziej lojalnego. Nawet jeśli zdecydował się na szefa sprzymierzonej Nowoczesnej, skądinąd grającego w nieformalnym teamie Rafała Trzaskowskiego. Adama Szłapkę zdążył jednak lepiej poznać jako ministra ds. UE, koordynującego kończącą się polską prezydenturę.

40-latek z Kościana (Wielkopolskie) w dosyć równym tempie zalicza kolejne szczeble politycznej kariery. Zdobył dyplom z politologii, a później jeszcze stosunków międzynarodowych. Terminował w młodzieżówce Unii Wolności, działał w organizacjach pozarządowych, był radnym. Poważnej polityki po raz pierwszy dotknął w kancelarii prezydenta Bronisława Komorowskiego, w której został zatrudniony jako ekspert. W 2015 r. związał się z powstającą wtedy Nowoczesną, której był sekretarzem generalnym, a cztery lata później stanął na czele tej partii, dziś już jednak pozbawionej realnego znaczenia.

Na oko spełnia obiektywne kryteria dobrego rzecznika: jest poukładany, precyzyjny, nie ulega emocjom. W środowisku dziennikarskim raczej lubiany, co też ma znaczenie. Debiutując w nowej roli, obiecał, że będzie dostępny przez całą dobę, co jeszcze tego samego dnia chciała ośmieszyć prawicowa stacja wPolsce24. W nadawanym przed północą programie Magdalena Ogórek wykreśliła numer Szłapki i ku własnemu zdziwieniu udało jej się porozmawiać z nim na antenie.

Na zapleczu gabinetu Tuska po chwilowym załamaniu nastroju wraca powoli nadzieja, że nastąpi przełom i wyborcy zaczną kojarzyć rządzącą ekipę z osiągnięciami, a nie tylko niezrealizowanymi obietnicami.



Jerzy Urban, znienawidzony, choć masowo oglądany, rzecznik ekipy stanu wojennego, i Ewa Wachowicz, Miss Polonia z rządu Waldemara Pawlaka.

Pierwszy po tej stronie Łaby rzecznik prasowy rządu objawił się ponad pół wieku temu w Polsce Ludowej. Dostyc nieoczekiwanie, gdyż w bloku komunistycznym nie istniało coś takiego jak polityka informacyjna. Tę rolę odgrywała partyjna propaganda w realiach monopolu medialnego i cenzury. Pierwszego rzecznika Włodzimierza Janiurka pewnie mało kto pamięta. Był działaczem PZPR ze Śląska, którego Gierek ściągnął do Warszawy i podsunął premierowi Piotrowi Jaroszewiczowi. Był początek 1971 r., tuż po grudniowej masakrze na Wybrzeżu. Nowa ekipa szukała sposobu na odbudowanie zaufania do systemu.

Janiurek wspominał, że był ostentacyjnie ignorowany w bratnich stolicach, a do Moskwy nigdy go nie zaproszono. Na początku pełen dobrych chęci, za swoje największe osiągnięcie uważał zaproszenie na kilka posiedzeń rządu dziennikarza POLITYKI Daniela Passenta. Czego efektem był reportaż zza kulis ze stycznia 1972 r., w którym autor na koniec sam wyjawiał intencję rządzących, czyli: „informowanie obywateli, otwieranie drzwi dotychczas zamkniętych, rozliczanie się z własnej pracy, odzieranie władzy z niepotrzebnej tajemniczości i niedostępności”.

Otwartość szybko się jednak skończyła i przyszło – jak pisał pierwszy rzecznik we wspomnieniach – „siedem lat jałowej szarpaniny, kiedy każdą konferencję prasową, wypowiedź i informację trzeba było wywalczyć i okupić nerwami”. Janiurek wytrwał całą dekadę, aż do upadku Gierka, pod względem

długowieczności pozostaje więc do dziś rekordzistą. Po nim w latach 1980–81 pełnił tę funkcję Józef Barecki. Jednak rzecznikiem ikonicznym okaże się dopiero jego następcą.

„Moje konferencje prasowe były najlepszym politycznym show, jaki kiedykolwiek miała telewizja PRL” – chełpił się po latach Jerzy Urban. Odbywały się co wtorek w południe, a wieczorem można było obejrzeć na szklanym ekranie obszerny skrót. I chociaż rzecznik ekipy stanu wojennego był figurą znienawidzoną, to zarazem masowo go oglądano. Bo – jak potem tłumaczył – pilnował, żeby na każdą konferencję „przynieść żer”. To tutaj zaczyna się historia nowoczesnego politycznego marketingu. Urban nie był od informowania, lecz od prowadzenia informacyjnej wojny. Od czasu Solidarności władza nie miała już monopolu na kształtowanie opinii, a solą w jej oku stali się zachodni korespondenci, którzy dzięki kontaktom z opozycją uzyskali dostęp do niezależnej informacji. Ich doniesienia o łamaniu wolności politycznych oraz katastrofalnym stanie gospodarki za pośrednictwem Radia Wolna Europy wracały następnie do polskich domów. Chodziło więc o podważenie zaufania do korespondentów, którzy stanowili klientelę wtorkowych konferencji. Zadawali pytania, które w krajowym obiegu nie przeszłyby przez sito cenzury, a inteligentny manipulator Urban próbował rozbrajać informacyjną „dywersję”.

Stał się twarzą reżimu Jaruzelskiego i *enfant terrible* swojej epoki. Nie tylko zresztą z powodu beczelnych bon motów ▶

► w rodzaju „rząd się sam wyżywi”, ale bardziej z powodu kolportowania esbeckich kłamstw w sprawie śmierci Grzegorza Przemyska i ks. Jerzego Popiełuszki, jak również oskarżenia Bronisława Geremka o szpiegostwo. Po latach tłumaczył, że sam został zmanipulowany przez bezpiekę.

W nowe czasy z nowym rzecznikiem, a właściwie rzeczniczką. Tadeusz Mazowiecki od początku wiedział, że – jak pisał bliski mu Waldemar Kuczyński – „na łysinę i odstające uszy Urbana należy odpowiedzieć kobiecą urodą”. Zjawiskowa Małgorzata Niezabitowska niewątpliwie spełniała kryteria. Była eteryczną blondynką o nienagannej figurze i oryginalnym stylu ubierania się. Mówiono o niej „pierwsza elegantka rządu”, chociaż nie to było akurat najważniejsze.

Poznała Mazowieckiego dekadę wcześniej, kiedy dołączyła do kierowanej przez niego redakcji „Tygodnika Solidarność”. Była dziennikarką krnąbrną, przysparzającą naczelnemu zmarłom krytycznymi reportażami o cieniach solidarnościowej rewolucji. „Panie Tadeuszu, czemu ja?” – zapytała po otrzymaniu propozycji rzecznikowania. „Pani Małgosiu, a dlaczego ja?” – odparł premier. I już na pierwszej konferencji musiała się tłumaczyć z tragicznej sytuacji, bo w budżecie właśnie skończyły się pieniądze i nie było na wypłatę emerytur.

Na swój sposób też odkreśliła przeszłość grubą kreską, zapowiadając, że rząd nie będzie prowadził polityki informacyjnej, tylko informować o swojej polityce. Reżim regularnych konferencji został zachowany. Niezabitowska często była stremowana i brakowało jej luzu, chociaż na tle nieco mrukliwego szefa prezentowała się o niebo lepiej. Dla dziennikarzy była głównym kontaktem, gdyż w tamtej epoce ministrowie nie chodzili jeszcze do mediów. Z wyjątkiem ministra pracy Jacka Kuronia, który prowadził nieszablonowe telewizyjne pogadanki o reformie ekonomicznej.

Niezabitowska stworzyła wzorzec rzecznika, który później stopniowo się wykruszał. Była nie tylko twarzą rządu, ale też należała do nieformalnego zaplecza Mazowieckiego, z którym premier konsultował najważniejsze decyzje. Dzięki temu знаła ogólny kontekst jego polityki, co usprawniało komunikację. Chociaż zaliczyła też wpadkę, pogardliwie nazywając Lecha Wałęsę „przyspieszaczem z siekierą”. Trwała już kampania prezydencka, którą jej szef przegrał z kretesem i w efekcie podał rząd do dymisji. A gabinet po Niezabitowskiej przypadł Andrzejowi Zarębskiemu, który towarzyszył kolejnemu premierowi Janowi Krzysztofowi Bieleckiemu. Był ważną postacią w środowisku gdańskich liberałów, chociaż rzecznikiem został trochę przy okazji, bo głównie doradzał szefowi. Ale dziennikarze cenili go za inteligencję i poczucie humoru. To zresztą Zarębski przez niecały rok urzędowania zbudował zręby profesjonalnej służby prasowej.

Później bywało już gorzej. „Tylko dziennikarze uznani za wiarygodnych będą zapraszani na rzadkie konferencje prasowe” – oświadczył Marcin Gugulski, kiedy pod koniec 1991 r. został rzecznikiem w rządzie Jana Olszewskiego. Tamta ekipa funkcjonowała w oblężonej twierdzy. Zamiast ocieplać wizerunek, głównie kombinowano, jak przejąć bezpośrednią kontrolę nad publicznymi mediami. Sam Gugulski zasłynął komentarzem o „najbardziej atakowanym rządzie od tysiąca lat”, przez co nabawił się przydomku „rzecznika tysiąclecia”. Wypowiadał się jednak rzadko, przeważnie „nie potwierdzając i nie zaprzeczając”.

W rządzie Hanny Suchockiej stanowisko rzecznika zdewaluowało się również formalnie. Pełniący tę funkcję Zdobysław

Milewski nominalnie był już tylko sekretarzem prasowym, czyli nie miał prawa do samodzielnego wypowiedzania się w imieniu rządu. Zawdzięczał posadę ekspansywnemu szefowi Urzędu Rady Ministrów Janowi Rokicie, który najczęściej sam wychodził do mediów.

„Premierowi się nie odmawia” – oświadczyła Ewa Wachowicz po odebraniu nominacji na rzeczniczkę rządu Waldemara Pawlaka. Była studentką Wyższej Szkoły Rolniczej, ale Polacy znali ją jako Miss Polonię. „Tygodniki ilustrowane pisały o niej jako o pięknej pannie na traktorze. Wiedzieliśmy, że jest inteligentna, nie ukrywa swojego wiejskiego pochodzenia. (...) Liczyliśmy, że młodzi ludzie odczytają tę nominację jako sygnał, że PSL może być dla dwudziestolatków odskocznią do polityki” – wspominał ówczesny szef URM Michał Strąk.

Był 1993 r. i zaczynał się już zmieniać rynek mediów. Polityka właśnie zagościła w codziennych serwisach komercyjnych rozgłośni radiowych, które wyrastały jak grzyby do deszczu. Ewoluuował również styl informowania, pojawiły się luźniejsze formy. Wachowicz była wizerunkowym eksperymentem, pionierskim w tamtych czasach. Tylko że nieudany, gdyż sam Pawlak gardził mediami, a rzuconej na głęboką wodę rzeczniczce brakowało wiedzy i doświadczenia.

Dużo lepiej poszło za to Aleksandrze Jakubowskiej, którą w 1995 r. wciągnął do swojego rządu Józef Oleksy. Chciał odbudować rangę rzecznika i oczekiwał spektakularnych konferencji, o których będzie głośno. Jakubowska nie miała politycznego doświadczenia, ale nadrabiała to tupetem. Wcześniej była twarzą „Wiadomości” TVP, chociaż najbardziej zasłynęła zabranieniem torebki z telewizyjnego studia. Był to z jej strony protest przeciwko upolitycznieniu telewizji publicznej.

Jako rzeczniczka też skupiała uwagę i budziła kontrowersje. Jednych drażniąc kusymi spódniczkami, innych – niewyparzoną językiem. Awanturowała się, kiedy jej szef został w TVP niewłaściwie jej zdaniem pokazany. Słała skargi do KRRiT, zasypywała redakcje listami. Potrafiła jadowicie ukąsić wicepremiera Grzegorza Kołodkę, kiedy ten niezapowiedziany wprowadził na jej konferencję. A kiedy kolejny raz przeszarżowała i premier publicznie ją skarcił, zrobiła mu awanturę i wymogła odszczekanie reprimendy. Bo Oleksy miał do niej słabość, zresztą jak Jakubowska wymyśliła mu słynne zdanie „odchodzę, bo jestem niewinny”, którym uzasadnił własną dymisję po aferze Olina. Pozostała na stanowisku w kolejnym rządzie Włodzimierza Cimoszewicza i była ostatnim klasycznym rzecznikiem rządu. Później wiodło jej się już dużo gorzej. Umoczone w aferę Rywina, za kolejny korupcyjny skandal zapłaciła nawet pobyt w więzieniu, dzisiaj znów pracuje w mediach. Tyle że prawniczych.

Od przełomu stuleci zaczyna się trwać już upadek znaczenia i prestiżu rzecznika. Za AWS (1997–2001) była to już głównie odskocznia do dalszych karier. Pierwszym rzecznikiem w rządzie Jerzego Buzka był Tomasz Tywonek, który katapultował się do zarządu TP SA, a po nim przyszedł dziennikarz Jarosław Sellin, skąd trafił do KRRiT (dziś jest posłem PiS). Dokończył zaś kadencję Krzysztof Luft, wcześniej aktor i prezenter, który

deficyt politycznego znaczenia nadrabiał bezpośrednio i poczuciem humoru. Zapytany o kwestię dotyczącą bezpieczeństwa narodowego, potrafił odparować, że przygotował się tylko z buraka cukrowego. Ogólnie był to czas informacyjnej katastrofy.



Od lewej: Włodzimierz Janiurek, pierwszy rzecznik jeszcze z PRL. Małgorzata Niezabitowska, wzorcowa rzeczniczka Tadeusza Mazowieckiego. Marcin Gugulski z rządu Jana Olszewskiego, zwany „rzecznikiem tysiąclecia”. Aleksandra Jakubowska z rządu Józefa Oleksego, „Iwica lewicy” – dziś mocno prawniczka.

Ekipa Buzka rozgrzebała państwo wielkimi reformami, których nie umiała opowiedzieć.

W rządzie Leszka Millera rzecznikiem został młody polityk Michał Tober, który nawet budził sympatię, ale szybko się zmianerował, po czym odszedł z powodu wypalenia. O jego następcach Marcinie Kaszubie i Dariuszu Jadowskim (to już rząd Marka Belki) można powiedzieć tyle, że byli. Tymczasem rynek medialny zmieniał się już w szalonym tempie.

Na początek pojawiły się internetowe portale. Później wystartował TVN24, otwierając telewizyjne studio dla politycznych harcówników ze wszystkich stron sceny. Zaczynała się epoka spektaklu, polityki całodobowej, wielkiego bujania emocjami. Obrazu dopełniały tabloidy, które opisywały polityków jak celebrytów. W nowej scenarii nawet wyrazistemu rzecznikowi rządu trudno byłoby się przebić.

Świetnie zrozumiał to niespełna 30-letni Konrad Ciesiołkiewicz, którego jesienią 2005 r. powołał na rzecznika Kazimierz Marcinkiewicz. I był w tej roli bardzo sprawny, chociaż przeszedł do historii jako przecierający nowe szlaki marketingowiec. Obsługiwał nie tyle rząd, ile samego premiera. Niepozorny polityk z Gorzowa nagle objawił się jako medialna bestia, którą niemal każdego dnia można było zobaczyć w nietypowej sytuacji. Jak lepi bałwana, kupuje choinkę, gra w piłkę, kibicuje na meczu, świętuje urodziny. Osobista popularność Marcinkiewicza eksplodowała tak bardzo, że Jarosław Kaczyński wolał ukatrupić dobrze oceniany rząd, niż pozwolić rosnąć premierowi. Po czym sam stanął na czele rządu, biorąc sobie na rzecznika też młodego, ale mającego bardziej tradycyjne podejście Jana Dziędziczaka.

Donald Tusk już za swoich pierwszych rządów uważał, że sam będzie najlepszym rzecznikiem. Zatrudnił więc głównie formalnych. Najpierw wynajął do zbudowania biura prasowego Agnieszkę Liszkę, która nie miała z polityką nic wspólnego, a następnie zastąpił ją swoim zausznikiem Pawłem Grasiem. Ten jednak nie miał serca do tej roboty i znany był głównie z tego, że nie odbierał telefonów od dziennikarzy. Publicznie występował sporadycznie, ale i tak ciągle coś mu się plątało. Żartowano więc, że to Tusk musi się tłumaczyć z wpadek Grasia, chociaż powinno być na odwrót. Tusk był jednak wyrozumiały i trzymał współpracownika na stanowisku przez prawie pięć lat, co jest rekordem w III RP. Zmieniła go na koniec Małgorzata Kidawa-Błońska, która okazała się akurat świetnym wyborem, tyle że był to już schyłek rządów Platformy i elegancka rzeczniczka przeważnie musiała robić dobrą minę

do złej gry. Później powróci w tej samej roli jeszcze w gabinecie Ewy Kopacz.

Prawdziwa rewolucja komunikacyjna wydarzyła się jednak po 2015 r. Chociaż w jakimś sensie Kaczyński zarazem cofnął się do epoki sprzed Janiurka, gdyż politykę informacyjną ponownie zastąpiła propaganda. Złotousty socjolog Andrzej Zybertowicz opatentował to jako „maszynę bezpieczeństwa narracyjnego”, mając na myśli profesjonalne orkiestrowanie jednolitego przekazu poprzez wszystkie dostępne kanały medialne, łącznie z nabierającymi w czasach rządów PiS ogromnego znaczenia mediami społecznościowymi. Kolejni rzecznicy – czyli kolejno: Elżbieta Witek, Rafał Bochenek, Joanna Kopcińska i Piotr Müller – byli tylko trybikami w owej maszynie. Średnio zresztą istotnymi.

Trudno oczywiście oczekiwać, żeby obecna ekipa konstruowała własną „mabenę”. Ale mimo wszystko kontrast pomiędzy niedawnym komunikacyjnym przeregulowaniem i dzisiejszą deregulacją nie świadczy dobrze o zdolnościach koalicji. I sam rzecznik pewnie niewiele tutaj zaradzi, jeśli nie otrzyma wsparcia.

Stanowisko rzecznika łączy się zresztą z wieloma obowiązkami, bo nie chodzi tylko o codzienne informowanie, ale też o pracę nad wizerunkiem, reagowanie kryzysowe, wreszcie koordynację całej polityki informacyjnej. Idealny rzecznik powinien być po trochu politykiem, specjalistą piaru i menedżerem.

W praktyce trudno to pogodzić, szczególnie w skomplikowanych układach, takich jak wielopartyjna koalicja. Adam Szałpka bardziej chyba więc będzie rzecznikiem premiera niż całego rządu, chociaż rachuby koalicjantów akurat były odmienne. Niemniej to nie podział zasług jest głównym problemem tego gabinetu, lecz brak jednoczącej opowieści o jego celach. Czego nie wyczaruje z kapelusza nawet najlepszy rzecznik. W jakimś sensie nadmierne nadzieje lokowane w Szałpce można więc uznać za próbę ucieczki koalicyjnych elit od własnej odpowiedzialności, co nowego rzecznika ustawia w niewdzięcznej roli zderzaka. Gdyby jednak w ślad za jego powołaniem miała nastąpić poważna korekta modelu rządzenia, być może niewątpliwie zdolnemu politykowi uda się dopisać istotny rozdział w dogorywającej historii rządowych rzeczników.

RAFAŁ KALUKIN

Korzystałem m.in. z książki „Rzecznik prasowy rządu. Rola i zadania w polskiej polityce informacyjnej po 1989 r.” autorstwa Małgorzaty Gierwazik.



JOANNA SAWICKA

Podróże po

Rozpad Trzeciej Drogi daje ludowcom i Polsce 2050 większą swobodę programową, ale może też spowodować, że trwale spadną pod wyborczy próg. Kłopoty tych partii mogą się też przełożyć na losy całej Koalicji.

To rozstanie nie tak miało wyglądać. O tym, że projekt się kończy, słyhać było od dawna, ale Szymon Hołownia i Władysław Kosiniak-Kamysz, którzy po dwóch latach niełatwej koalicji wciąż się lubią i niezłe dogadują, chcieli ogłosić koniec na wspólnej konferencji i zapewnić, że rozstanie przebiega w zgodzie i według planu. Efekt był inny. Najpierw poszły przecieki w sprawie rozpadu Trzeciej Drogi z obrad Rady Naczelnej PSL 17 czerwca, szybko dementowane przez rzecznika partii Miłosza Motykę. Ale te nieoficjalne informacje podchwycili Hołownia i Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz: nie czekając na oficjalną decyzję Polski 2050 (miała zapaść pod koniec czerwca), wpisami w mediach społecznościowych przyklepali sprawę. Następnie informację potwierdził w Radiu Zet Kosiniak-Kamysz. PSL i Polska 2050 rozeszły się, by samodzielnie powalczyć o wyborców, a także skonfrontować się z trudną sytuacją sondażową – według czerwcowego badania Opinii24 wspólnie mieli 5,1 proc. poparcia. Od teraz badania będą pokazywać ich notowania osobno.

Ich współpraca od początku była trudna. Obie partie zupełnie do siebie nie pasowały – pod względem programu, aspiracji, stylu działania, ludzi, którzy ją tworzą, czy typu elektoratów. W 2023 r. połączyła je słabość sondażowa, wspólnota politycznych celów i trwająca do dziś wzajemna sympatia obu liderów, którzy też są różni, ale punktów wspólnych znaleźli więcej niż ich partie. Obaj relatywnie młodzi, ojcowie małych dzieci, konserwatywni światopoglądowo, i obaj – wówczas, ale w pewnym sensie i teraz – starający się przetrwać pod presją silnego, zagarniającego centrowy elektorat Donalda Tuska.

Po pierwszym zaskakującym sukcesie w wyborach do Sejmu w 2023 r. szybko okazało się, że efekt synergii przestał działać,

bezdrożach

a współpraca bardziej im przeszkadza, niż pomaga. Szczególnie że oprócz szyldu – w czasie kampanii i w Sejmie – nie było realnej współpracy. W kolejnych wspólnych wyborach wyniki były coraz gorsze, czego zwieńczeniem był fatalny rezultat Hołowni w głosowaniu prezydenckim – 4,99 proc. Po ostatniej kampanii obie partie wydają się słabe, poobijane i niegotowe na samodzielne wyzwania wyborcze. Z drugiej strony właśnie nastał czas dwuipółletniej przerwy od wyborów, czyli idealny moment na porządki wewnętrzne, nowe otwarcia i próby odświeżenia wizerunku.

Choć ostatecznie impuls do rozwiązania Trzeciej Drogi wyszedł z PSL, to Polska 2050 silniej do niego dążyła.

Publicznie wzywało do tego wielu jej polityków. Wiceministra edukacji i członkini zarządu Polski 2050 Joanna Mucha mówiła nam niedawno: – *Uważam, że ten projekt się wypalił i teraz z PSL przede wszystkim wzajemnie się blokujemy.* Inny ważny działacz partii przekonywał: – *Chcemy wrócić do samodzielności, naszego logo, odbudować swoją tożsamość. Potrzebujemy tego w komunikacji na zewnątrz, ale i do wewnątrz, do naszych struktur. Chcemy też spróbować sił w sondażach – nasze wewnętrzne badania wskazują, że jesteśmy znacząco mocniejsi niż PSL.* Z kolei Hołownia, informując o zakończeniu koalicji, napisał wręcz: „perspektywa samodzielnego startu w kolejnych wyborach daje nam dziś poczucie szczerej, politycznej radości”.

Radość Polski 2050 z powodu odzyskania politycznej wolności wydaje się szczera, jednak odbudowa tożsamości i poparcia będzie dużym wyzwaniem. W czasie czteroletniego istnienia Polska 2050 wykonała kilka zwrotów. Pierwotnie przedstawiając się jako ugrupowanie skupione na klimacie, zdrowiu i edukacji, po stworzeniu sojuszu z PSL przestawiło się na walkę o przedsiębiorców i elektorat liberalny – co zresztą w 2023 r. znacząco pomogło im przejąć wyborców od Konfederacji i zapewnić sejmową większość koalicji 15 października. Teraz najważniejsze sprawy, które chcą załatwić w rządzie i Sejmie, to: odpartyjnienie spółek ►



► Skarbu Państwa, uchwalenie ustaw o asystencji osobistej, zakazie smartfonów w szkołach oraz ustawa medialna i odblokowanie przez Ministerstwo Finansów pieniędzy na budowę tanich mieszkań.

Wyzwaniem może być też odbudowa wizerunku Hołowni. Lider Polski 2050 zaraz po wyborach do Sejmu stał się jednym z najbardziej popularnych polityków w Polsce, bo jako marszałek zmienił styl i język sejmowej debaty. Kapitał roztrwonił niedługo później, gdy w marcu 2024 r. wdał się w spór dotyczący liberalizacji prawa aborcyjnego. I choć twierdził, że stara się doprowadzić do rzetelnej rozmowy i kompromisowego rozwiązania, to jego działania zostały odebrane jednoznacznie jako blokowanie oczekiwanych przez wyborców zmian.

Był to jeden ze zwrotnych momentów politycznych w historii Trzeciej Drogi. Liberalizację prawa aborcyjnego najbardziej chciał blokować konserwatywny PSL. Ale ludowcy, jak zwykle sprytnie, siedzieli względnie cicho. A Hołownia, który krzyczał w tej sprawie najgłośniej – co mu się w koalicji rządowej zdarza – zapłacił polityczną cenę. Według CBOS zaufanie do niego spadło w tamtym miesiącu o 11 pkt z 61 proc. I już nigdy nie wróciło do tak wysokich rewirów (teraz wynosi 43 proc.). Tracić zaczęła też Trzecia Droga, której notowania w lutym 2024 r. sięgały 15 proc. (wg CBOS), a następnie zaczęły dramatycznie spadać, podczas gdy w siłę rosła Konfederacja.

Polska 2050 przestała być alternatywą dla niezadowolonych z władzy, bo sama jest w rządzie. Nie potrafi jednak skutecznie wymyślić opowieści o sobie w tej sytuacji. Stoi więc w rozkroku, czasem chwając się sukcesami osiągniętymi w gabinecie (najwięcej z nich przywołuje ministra funduszy Pełczyńska-Nałęcz, m.in. sprawnie renegegując warunki wydawania KPO), a czasem przedstawiając się jako wewnętrzna opozycja dla Tuska. Jeśli w rządzie jest jakiś wieczny malkontent, to jest nim zwykle Polska 2050. Nawet jeśli nieraz ma rację, to zawodzi komunikacja, bo wielu wyborców nie rozumie, jak można jednocześnie być w rządzie i tak ostro go krytykować.

Politycy Polski 2050 przekonują, że mają pomysł na odbudowę i samodzielny wzrost ponad bazę wyborców (ok. 1 mln), którzy 18 maja zagłosowali

na Hołownię. – *Mamy ofertę, której nie ma na polskiej scenie politycznej. To jest oferta centrowa skupiona na przyszłości i rozwiązywaniu problemów na lata w przód. Nam chodzi o kwestie najważniejsze, takie jak mieszkalnictwo, jakość życia, dobra polityka publiczna* – mówi POLITYCE Joanna Mucha, która w końcu zrezygnowała z wiceministerialnej posady.

– *Jesteśmy partią, której zależy na rozwoju i przyszłości. I mamy pomysł, jak rozwijać Polskę, również te mniejsze i średnie miasta, czego inni nie potrafią* – tłumaczy doradca Hołowni.

Partię czekają w najbliższym czasie wewnętrzne rozszady. Jak słyszymy, Hołownia raczej utrzyma stanowisko szefa partii, funkcję zachowa też pierwsza wiceprezidentująca Pełczyńska-Nałęcz. Po raz kolejny zmieni się sekretarzyni generalna (obecnie funkcję tę pełni pomorska działaczka Agnieszka Baranowska), co ma pomóc uporządkować i odbudować wątłe partyjne struktury. Ale przede wszystkim Polska 2050 szykuje się do negocjacji w sprawie rekonstrukcji rządu. Naczelnym celem jest utrzymanie funkcji marszałka Sejmu dla Hołowni. Partia liczy się z tym, że to się może nie udać, jednak – nawet jeśli nie – to lider Polski 2050 nie ma ochoty wchodzić do rządu. Z kolei w samym gabinecie najważniejsze z punktu widzenia partii jest utrzymanie silnej pozycji Pełczyńskiej-Nałęcz.

Jesienią Polskę 2050 czeka konfrontacja z rzeczywistością polityczną i sondażową. Te najbliższe miesiące to dla Hołowni czas próby. Jeśli chce udowodnić, że jego narracja o chęci samodzielnego startu do Sejmu ma jakikolwiek sens, musi pokazać wiarygodny program, stabilnie funkcjonujący klub w Sejmie i notowania co najmniej lekko przekraczające 5-procentowy próg wyborczy. W przeciwnym razie trudno wyobrazić sobie inny scenariusz niż powolne wchłanianie Polski 2050 przez KO.

Sytuacja PSL jest inna. To, inaczej niż Polska 2050, partia z wieloletnim stażem i doświadczeniem, rozbudowanymi strukturami, silną pozycją w rządzie, a także – z bardzo niskimi notowaniami. Z jednej strony PSL jest zapewne słabsze od Polski 2050, jeśli chodzi o sondaże, a z drugiej – dzięki doświadczeniu, obrotowości i licznej grupie zaangażowanych działaczy – to im będzie łatwiej przeżyć kolejne lata na scenie politycznej.

Ludowcy prezentują kompletnie inny styl bycia w koalicji niż Polska 2050. Pomimo że to oni programowo najbardziej różnią się od KO – przede wszystkim w sprawach światopoglądowych, ale też w silniejszym liberalizmie gospodarczym – to deklarują zwykle współpracę. Kosiniak-Kamysz do spokoju i zgody wzywa swoich kolegów z partii koalicyjnych regularnie. Choć czasem i jemu zdarzają się wysoki, jak choćby ostatnio, gdy jego resort zablokował możliwość ułatwienia rozwodów małżeństwom bezdzietnym, w których obie strony chcą się rozstać.

Niezależnie od tego to właśnie Kosiniak-Kamysz, spośród partyjnych liderów budujących koalicję, od początku dogadywał się z Tuskiem najlepiej. Znają się od lat, ufają sobie i potrafią współpracować. Pozostali liderzy na różny sposób od początku zaznaczają odrębność, a prezes PSL nawet jak się sprzeciwia, to jednocześnie wzywa do spokoju i zgody. Dobrym relacjom z premierem na pewno pomógł fakt, że Kosiniak-Kamysz nie wystartował w wyborach prezydenckich, przez co – inaczej niż Hołownia – nie miał powodów, żeby odcinać się od rządu. Oczywiście nie wszyscy w PSL są tak ugodowi. Niezawodny Marek Sawicki w mediach często prezentuje własny, inny niż partii, punkt widzenia – ostatnio na przykład proponował, by nowym premierem został Kosiniak-Kamysz. Z kolei wicemarszałek Senatu Michał Kamiński z Unii Europejskich Demokratów (partia współpracująca z ludowcami) wzywał wprost do dymisji Tuska – za co o dziwo nie stracił funkcji w Senacie. Ale te głosy reprezentują raczej poboczne nurty w Stronnictwie.

Nikt też spośród poważnych polityków PSL raczej nie myśli na serio o współpracy z PiS. W partii panuje dość powszechne przekonanie, że dalszy lub bliższy sojusz z KO to dla nich jedyna szansa na przetrwanie. Że już teraz balansują na krawędzi. I że, jak uczy historia, ewentualna współpraca z PiS – nawet jeśli na początku wydawałaby się intratna – to decyzja o politycznej śmierci. Oczywiście w różnych regionach lokalne struktury nie widzą niczego złego w takim pomysle, bo część z nich tworzy koalicje z PiS na niższych szczeblach samorządu. Jednak centralni liderzy wołają do partii Kaczyńskiego trzymać dystans. Czasami natomiast w zawołowany sposób sugerują, że różne scenariusze są w stanie wziąć pod uwagę.

Jako element tej gry nasz rozmówca z PSL wskazuje niedawną ankietę wysłaną przez kierownictwo partii do wszystkich działaczy, a której pytania wyciekły do mediów. Działacze mieli ocenić m.in., czy zgodziliby się na przykład na współpracę z Konfederacją – w dwóch scenariuszach: z PiS albo z KO. Ale pytań było więcej – jeden blok był poświęcony Karolowi Nawrockiemu – jego ocenom i perspektywom dla współpracy z PSL i rządem.

– My takie ankiety dostajemy do wypełnienia dość regularnie – tłumaczy nam działacz PSL z południa Polski. – Potem kierownictwo zachowuje wyniki dla siebie, a zwykli działacze nie dowiadują się, co wyszło z ankiety.

Nasz rozmówca uważa, że jednym z celów ankiety było przypomnienie rządowym koalicjantom, iż w czasach społecznego skreślenia w prawo to PSL jest najbardziej wiarygodną partią dla niepisowskich i nieskrajnie konserwatywnych wyborców. Oraz że jego koalicja z PiS nie jest scenariuszem, który można stuprocentowo wykluczyć. Choć – jak zaznacza – jego prawdopodobieństwo jest bliskie zeru.

Ludowcy, inaczej niż pozostałe partie koalicji rządowej, po wyborach prezydenckich czują się całkiem niezłe. Uważają, że wszyscy koalicjanci osłabli, ale oni akurat niespecjalnie. Jeśli chodzi o rząd, to PSL – na tle innych koalicjantów – miał w nim od początku dużo. Ważny resort obrony narodowej z wicepremierem Kosiniakiem-Kamyszem na czele. Ministerstwo Infrastruktury, z drogami, portami, kolejami, lotnictwem i CPK. Poza tym rolnictwo. I na koniec – najgorzej zarządzane i z największymi problemami (pomimo sporego potencjału) Ministerstwo Rozwoju z ministrem Krzysztofem Paszykiem. Ale nawet jeśli któryś z nich straci stanowisko (najbliższy dymisji wydaje się Paszyk, choć nie jest też pewna sytuacja ministra rolnictwa Czesława Siekierskiego), na tle pozostałych partii tworzących rząd ludowcy raczej pozostaną mocni.

Część działaczy PSL liczy na to, że w ramach rekonstrukcji, oprócz ministerstw, toczyć się będzie rozgrywka o spółki, w której to oni mogą zyskać. Polska 2050 niespecjalnie bierze udział w tej rywalizacji, bo od miesięcy walczy o swoją ustawę, która ma państwowe firmy odpolitycznić. W rozgrywce z KO pozostają więc stosunkowo słaba (choć do stanowisk chętna) Nowa Lewica, no i PSL.

– To, że zdecydowana większość państwowych firm jest nadzorowana przez Ministerstwo Aktywów, nie ma logicznego uzasadnienia. Ten system wprowadził PiS, bo Jacek Sasin był na tyle silnym ministrem, że wszystko przejmował od innych resortów. My chcemy powrotu do starego systemu, który dałby innym ministerstwom więcej kontroli nad spółkami – tłumaczy nam jeden z działaczy związany z Kosiniakiem-Kamyszem.

Ta rozgrywka najdobitniej pokazuje zresztą różnicę między Polską 2050 i PSL. Gdy w 2023 r. ogłosili powstanie wspólnego projektu pod nazwą Trzecia Droga, pierwszą ze spraw, którą chcieli wspólnie załatwić, było usunięcie politycznych nominatów ze spółek i urzędów i zastąpienie ich fachowcami. Dziś PSL tej sprawy wolałoby już nie stawiać. Ta rozgrywka pokazuje też, że najcenniejszym zasobem ludowców są ich – wciąż liczne – struktury. Czyli działacze, którzy w PSL zawsze są głodni stanowisk. Partia może już raczej zapomnieć o czasach, gdy aktywnych członków było ponad 100 tys., ale wciąż według kierownictwa jest ich ok. 80 tys.

W PSL trwa teraz poruszenie związane z wewnętrznymi wyborami – wcześniej w gminach, a teraz w kołach powiatowych. Następną będą struktury regionalne, a w listopadzie – wybory prezesa partii. Kosiniak-Kamysz wydaje się bezpieczny na tym stanowisku. Funkcję tę pełni od 2016 r. Jest lubiany i szanowany, nie zaliczył ostatnio większej wpadki i uchronił partię od klęski w wyborach prezydenckich. To on jest ojcem sukcesu partii w wyborach do Sejmu oraz liderem, który wynegocjował dla swoich atrakcyjne funkcje w rządzie. Poza tym nie ma oczywistego rywala. Sawicki – najgłośniejszy z posłów, który swoje pomysły lubi wygłaszać prosto z mostu – jest politycznym singlem i nie ma większego zaplecza, poza niezbyt liczną frakcją na Mazowszu. Waldemar Pawlak, szef ważnego w PSL ciała statutowego, jakim jest Rada Naczelna, raczej nie wystartuje, bo też ma zbyt wąskie zaplecze. Jego ambicją będzie raczej utrzymanie stanowiska w RN. Wicemarszałek Sejmu Piotr Zgorzelski, który ma w PSL własne ambicje i swoich ludzi, całkiem dobrze dogaduje się z obecnym prezesem i też nic nie wskazuje na to, by miał w ostatniej chwili zmienić front i zdecydować się na pojedynkę z Kosiniakiem-Kamyszem. Jakiegoś rywala obecny prezes będzie musiał mieć,

bo tak przewiduje statut, ale wyniki nie powinny być zaskoczeniem.

Nowy lub ten sam co obecnie prezes będzie musiał po raz kolejny zdecydować o tym, w którą stronę poprowadzić swoją specyficzną partię. Z licznym aktywem, ale bardzo nielicznym elektoratem. Partię, która wciąż, pomimo również licznych zwrotów, ma aspirację reprezentować elektorat wiejski, ale na wsi już dawno nie jest popularna, bo tamtejszych wyborców przejął PiS, a teraz jeszcze popularność zdobyła Konfederacja. Podstawowy plan PSL omawiany na niedawnej Radzie Naczelnej zakłada samodzielny start ludowców do Sejmu. Ten scenariusz – jeszcze bardziej niż w przypadku Polski 2050 – wydaje się niewiarygodny. Ludowcy ostatni raz samodzielnie startowali w 2015 r. i ledwo przekroczyli próg z wynikiem 5,13 proc. Ale PSL ma jeszcze jedną ważną cechę – jest to zdolność koalicyjna. Stronnictwo potrafi dogadać się z różnymi partiami i partyjkami i zawierać sojusze, żeby zawsze skutecznie przekroczyć próg do Sejmu. Właśnie wyruszyli w kolejną podróż.

JOANNA SAWICKA

REKLAMA



Prywatna Klinika Rehabilitacyjna
CHOROBY KRĘGOSŁUPA,
NARZĄDU RUCHU I GŁOWY
Krojanty – Dwór k. Chojnic
tel. (052) 398-56-56
tel. (052) 398-56-57
www.krojanty.com.pl
klinika@krojanty.com.pl

LECZYMY:

rwę kulszową, wypadnięcia dysków,
chroniczne zespoły bólowe
kręgosłupa i głowy, powikłania
choroby zwyrodnieniowej kręgosłupa,
następstwa i powikłania urazów
układu kostnego, więzadeł i stawów,
migrenowe bóle głowy.

PROWADZIMY REHABILITACJĘ:

po wylewach, po operacjach
ortopedycznych, po złamaniach



ZRÓB PREZENT
SWOIM RODZICOM



Ostateczne obliczanie

Wynik wyborów prezydenckich wciąż budzi polityczne emocje. Wielu polityków, ale i ekspertów mówi o konieczności ponownego przeliczenia głosów. Czy to ma sens?

ANNA DĄBROWSKA

Poniedziałek 16 czerwca był ostatnim dniem na składanie do Sądu Najwyższego protestów przeciwko wyborowi prezydenta. Te jednak nadal spływają pocztą. Do poniedziałku w SN zarejestrowano 10,5 tys. protestów, a według szacunków w sumie wpłynęło blisko 50 tys.

Znikające głosy

Najpierw każdy protest rozpoznawany jest przez skład trzech sędziów SN z Izby Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych, w której są sami wadliwie obsadzeni neosędziowie. Także ta izba – ale już w pełnym składzie – stwierdza później, czy wybory były ważne. Uchwała w tej

sprawie zapada na jawnym posiedzeniu w ciągu 30 dni od podania wyników wyborów do publicznej wiadomości. Oznacza to, że ostatnim dniem na podjęcie uchwały jest 2 lipca.

Przypomnijmy: Karol Nawrocki wygrał wybory prezydenckie, dostając 10 606 877 głosów (50,89 proc.). Rafał Trzaskowski miał poparcie 10 237 286 wyborców (49,11 proc.). Do poniedziałku Izba zleciła ponowne liczenie w 13 komisjach obwodowych. Głosy liczą sądy rejonowe z terenu danej komisji obwodowej. Ich wycienienia są niejawne. Jednak Mariuszowi Jałoszewskiemu udało się do nich dotrzeć i w sobotę w OKO.press opublikował efekt ich prac.

„W 11 z 13 komisji zamieniono głosy na niekorzyść Trzaskowskiego. Jego głosy dosypano Nawrockiemu” – czytamy na portalu. „W dziewięciu komisjach wyborczych większościowe głosy oddane na Trzaskowskiego przypisano Nawrockiemu. A w dwóch komisjach w Białym-Białej i Kamiennej Górze głosy oddane na Trzaskowskiego wprost dosypano do worków z głosami na Nawrockiego. Trzaskowski stracił tak 2609 głosów” – pisze Jałoszewski.

W komisji nr 13 w **Mińsku Mazowieckim** podano, że wygrał Nawrocki – 611 głosów; Trzaskowski dostał ich 363. Po powtórny przeliczeniu na polecenie SN okazało się, że jednak wygrał Trzaskowski, a jego głosy przypisano Nawrockiemu.

W komisji nr 17 w **Gdańsku** także pierwotnie wygrał Nawrocki – 585 głosów, a Trzaskowski 346. Po kontrolnym przeliczeniu okazało się, że jednak wygrał Trzaskowski, bo znów jego 585 głosów przypisano Nawrockiemu.

W komisji nr 6 w **Kamiennej Górze** wygrał Nawrocki z 368 głosami, a Trzaskowski dostał 338. Ale naprawdę to Trzaskowski wygrał z wynikiem 428 głosów, a na Nawrockiego zagłosowało ostatecznie 278. Ustalono, że 90 kart z głosami na Trzaskowskiego dosypano do worka z głosami na Nawrockiego.

W komisji nr 95 w **Krakowie** oficjalnie wygrał Nawrocki. W protokole

z głosowania wysłanym w nocy do PKW podano, że dostał 1132 głosy, a Trzaskowski 540. Po powtórny przeliczeniu głosów przez sąd wyszło, że to jednak Trzaskowski dostał 1132 głosy.

W komisji nr 3 w **Oleśnie** Nawrocki dostał 637 głosów, a Trzaskowski 378. Po przeliczeniu przez sąd okazało się jednak, że Trzaskowski dostał 638 głosów, a Nawrocki 377.

W komisji nr 9 w **Strzelcach Opolskich** Nawrockiemu wpisano 416 głosów, Trzaskowskiemu 223. Po przeliczeniu głosów przez sąd wynik okazał się dokładnie odwrotny.

W komisji nr 35 w **Tychach** za Nawrockim było 581 głosów, za Trzaskowskim 347. Po przeliczeniu wynik znów był odwrotny.

W komisji nr 4 w **Więncu** (gmina Brześć Kujawski) Nawrocki dostał 466 głosów, a Trzaskowski 331. I tu też wynik był dokładnie odwrotny.

W komisji numer 25 w **Grudziądzu** znów w wersji protokołu z nocy wyborczej Nawrocki dostał 504 głosy, a Trzaskowski 324. Ale te 504 głosy należały się kandydatowi KO.

W komisji wyborczej nr 61 w **Bielsku-Białej** pierwotnie 1048 głosów oddanych na Trzaskowskiego przypisano Nawrockiemu, który, jak się okazało, dostał ich 771.

W komisji wyborczej nr 30 w **Bielsku-Białej** Nawrockiemu pierwotnie przypisano 610 głosów, a Trzaskowskiemu 349. Okazało się jednak, że 160 głosów tego drugiego wrzucono do worka z głosami na Nawrockiego. Po ponownym przeliczeniu wygrał Trzaskowski. W tej sprawie będzie śledztwo, bo można mówić o fałszerstwie wyborczym.

Normalne anomalie?

Donald Tusk długo nie podejmował tematu uznania ważności wyborów, aż w sobotę 21 czerwca napisał nieco prowokacyjnie na X: „Panowie Andrzej Duda, Karol Nawrocki, Jarosław Kaczyński – nie jesteście tak zwyczajnie po ludzku ciekawi, jakie są prawdziwe wyniki głosowania? Na pewno jesteście. A jak wiadomo, uczciwi nie mają się czego bać”. Politycy rządzącej Koalicji oficjalnie nie podważają wygranej Nawrockiego, ale podkreślają, że trzeba mieć pewność, że głosy wyborców zostały dobrze policzone. To nie zwykle istotne dla zaufania do systemu wyborczego.

Europoseł KO Michał Wawrykiewicz dostarczył do SN protest wyborczy w imieniu komitetu Rafała Trzaskowskiego. Do dokumentu dołączono wniosek o wyłączenie wszystkich sędziów z Izby Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych. Osobiste protesty złożyli także wiceszef MON Cezary Tomczyk i posłanka KO Agnieszka Pomaska. – *Statystycznie ujmując, jest tak duża liczba nieprawidłowości, że może to rodzić uzasadnione podejrzenia, że wybory zostały przeprowadzone w sposób nieprawidłowy, nieuczciwy, nieoddający rzeczywistego wyniku* – mówi Wawrykiewicz. Komitet Trzaskowskiego domaga się ponownego przeliczenia wszystkich głosów, a co najmniej głosów we wszystkich obwodowych komisjach wyborczych, w których występują statystyczne anomalie. O co chodzi z tymi anomaliami?

Komitet przywołuje przykłady: „Niewytłumaczalny wzrost głosów nieważnych z podwójnym znakiem »X« tam, gdzie Trzaskowski wygrał w I turze (149,9 proc.). W komisjach, gdzie wygrał Nawrocki – tylko 44,6 proc. Ponadtrzykrotna różnica. Tych głosów nie da się przypisać »przypadkowi«. To może być efekt masowego unieważniania”. Komitet Trzaskowskiego podnosi też „drastyczny wzrost głosów nieważnych ogółem – z naciskiem na puste karty. W komisjach, gdzie wygrał Trzaskowski – wzrost głosów nieważnych ogółem wyniósł średnio 177,5 proc. W komisjach, gdzie wygrał Nawrocki – tylko 77,9 proc. To ponadczterokrotna różnica w liczbie pustych kart. Statystycznie nie do obrony. Takie skoki wymagają pilnej kontroli”.

Ogółem w II turze było 189 294 głosy nieważne i w stosunku do pierwszej przybyło ich trochę ponad 100 tys., lecz to zjawisko znane z wcześniejszych wyborów. Sporo wyborców uznaje, że należy pójść i zagłosować, lecz oddaje głos protestu przeciw kandydatom. W II turze wyborów prezydenckich w 2020 r. było prawie 178 tys. głosów nieważnych (ale przy niższej frekwencji). Z kolei w 2015 r. głosów nieważnych było aż 250 tys.

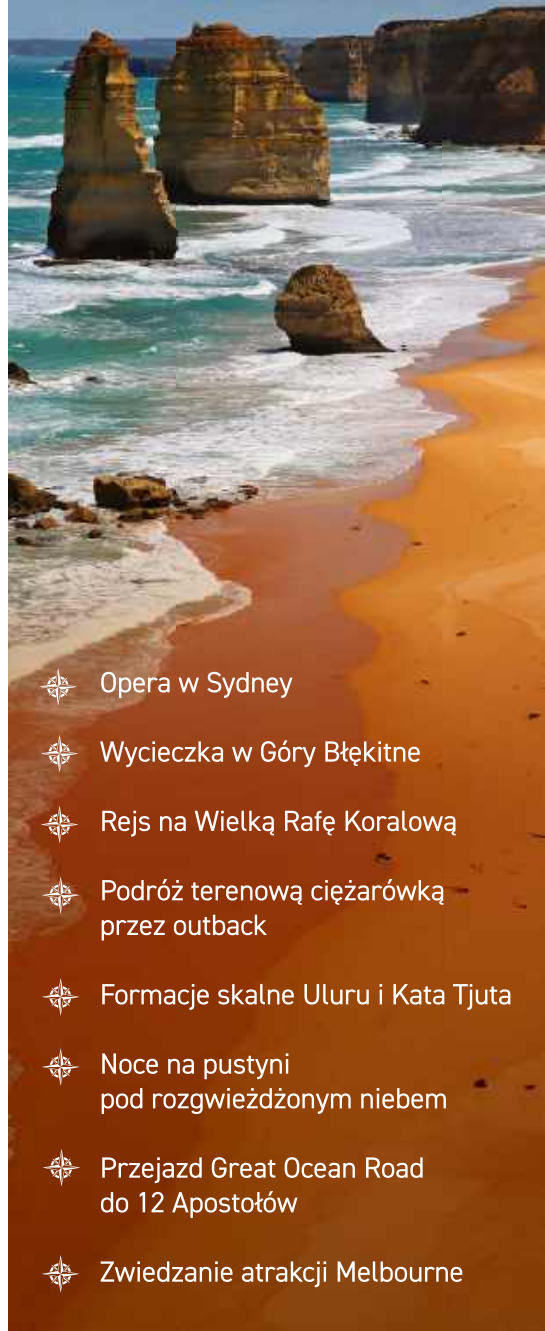
Ponadto według komitetu Trzaskowskiego w 800 komisjach Nawrocki otrzymał co najmniej 33 proc. więcej głosów, niż przewiduje model przepływów elektoratu. „Suma tych nadwyżkowych głosów: ponad 36 tys. Analogiczne przypadki na korzyść RT: 200 komisji, ►

REKLAMA

Przekrojowa podróż
po krainie kangurów

AUSTRALIA

Wyjazdy od listopada do marca



- ✦ Opera w Sydney
- ✦ Wycieczka w Góry Błękitne
- ✦ Rejs na Wielką Rafę Koralową
- ✦ Podróż terenową ciężarówką przez outback
- ✦ Formacje skalne Uluru i Kata Tjuta
- ✦ Noce na pustyni pod rozgwieżdżonym niebem
- ✦ Przejazd Great Ocean Road do 12 Apostołów
- ✦ Zwiedzanie atrakcji Melbourne

SZEROKIE
TORRY
BIURO PODRÓŻY

REZERWACJE

+48 696 989 985

szerokietory.pl

SPRAWDŹ
SZCZEGÓŁY



► 4 tys. głosów. Stosunek 9:1. Zbyt duży, by go zignorować” – przekonywał Cezary Tomczyk.

„Gazeta Wyborcza” opisała z kolei raport dr. Krzysztofa Kontka, związanego z SGH specjalisty od analiz statystycznych, który także przygotował analizę anomalii w wynikach drugiej tury. Zauważa on, że do różnego rodzaju nieprawidłowości mogło dojść w 1482 obwodowych komisjach, co mogło przełożyć się na 315–487 tys. głosów Karola Nawrockiego.

Raport oczywiście nie przesądza, że doszło do oszustw. W uproszczeniu można powiedzieć, że w tych 1482 komisjach pomiędzy pierwszą a drugą turą doszło do czterech typów niepokojących zjawisk. A są to: nadmierne poparcie dla jednego z kandydatów; nienaturalny przyrost liczby głosów między turami; odwrócenie wyniku wbrew lokalnym trendom; niewiarygodny spadek liczby głosów dla kontrkandydata.

W proteście napisano o 800 komisjach z podejrzeniem wysokim wynikiem Nawrockiego, ale nie wskazano, o które konkretnie chodzi, więc SN nie ma możliwości sprawdzić w nich wyników. Wielką akcją składania protestów i postulat powtórnego przeliczenia wszystkich głosów rozkręca poseł PO Roman Giertych. Wiadomo, że do SN trafiło tysiące protestów pisanych wedle wzoru przygotowanego właśnie przez Giertycha.

„Gros protestów przesłanych na podstawie popularnych w internecie formularzy zostanie rozpatrzonych łącznie” – zapowiedział prof. Krzysztof Wiak, który kieruje Izbą KNiSP, w rozmowie z money.pl opublikowanej w sobotę. Wyjaśniał, że „Sąd musi ocenić nie tylko, czy protest jest zasadny, czy niezasadny, ale kolejną kwestią jest ocena, czy ta wada miała wpływ na wynik wyborów”. Podkreślał, z czym zgadza się wielu ekspertów, że w „prawie wyborczym nie ma instytucji takiej jak przeliczanie głosów w całym kraju” i „nie ma przepisów, które by pozwalały na ponowną weryfikację oddanych głosów tam, gdzie nikt nie dostrzegł żadnych nieprawidłowości”.

Według prof. Andrzeja Zolla, byłego prezesa Trybunału Konstytucyjnego, przeliczanie wszystkich głosów z 32 143 obwodowych komisji byłoby trudną logistycznie procedurą, która i tak nie zmieniłaby wyniku wyborów. – Rafał Trzaskowski musiałby nagle zyskać

ok. 180 tys. głosów, czyli połowę z tej przewagi, którą uzyskał Karol Nawrocki – mówi były prezes TK. Sprawa wyglądałaby zdecydowanie inaczej, gdyby Nawrocki wygrał przewagą np. 40 tys. głosów, wówczas pomyłki w komisjach mogłyby zdecydować o zmianie wyniku. – W tym przypadku tak nie będzie. Nie ma tu żadnych podstaw do twierdzenia, że ten wynik uległby zmianie – uważa prof. Zoll. Jego zdaniem powtórne przeliczenie głosów byłoby bardzo wskazane, gdyby okazało się, że przy wyborach działała jakaś grupa przestępcza, która wprowadziła określony system fałszowania.

Ze strony KO słychać jednak argument, że oddano 189 294 głosy nieważne, w tym 101 854 z nich uznano za nieważne z powodu postawienia dwóch znaków X zarówno przy nazwisku Trzaskowskiego, jak i Nawrockiego. Wiadomo, że SN zlecił sądom, by przy powtórnym liczeniu sprawdzali tylko głosy ważne, ale aby sprawdzić te podwójne „iksy”, trzeba by już zaangażować grafologów.

Rozprężenie na finał

O rozwałkę i uspokojenie emocji apelują eksperci od prawa wyborczego. Krzysztof Izdebski, członek zarządu Fundacji Batorego, zwraca uwagę, że z efektów oględzin w komisjach wynika, że te błędy były różnego rodzaju, dlatego nie wygląda to na zorganizowaną akcję, a raczej na bałagan.

Serwis Mam Prawo Wiedzieć publikował analizę statystycznie istotnych anomalii oraz potencjalnych nieprawidłowości na poziomie obwodowych komisji wyborczych, którą przygotował analityk z Uniwersytetu Warszawskiego Dominik Batorski. „Poziom występujących anomalii pokazuje, że nawet jeżeli jakieś się zdarzały, to nie miały istotnego wpływu na wynik wyborów. Ich skala jest znacząco mniejsza niż różnica w liczbie głosów uzyskanych przez obu kandydatów, która wynosi prawie 370 tysięcy” – to główny wniosek Batorskiego. I dalej, że „analiza frekwencji pokazuje, że fałszerstwa polegające na dosypywaniu głosów są mało prawdopodobne”.

W maju pisaliśmy w POLITYCE, że minister Rafał Tkacz, który wygrał konkurs na szefa Krajowego Biura Wyborczego organizującego głosowanie i od marca stoi na jego czele, zwraca uwagę, że o powodzeniu wyborów i ich odbiorze społecznym decyduje 260 tys. członków obwodowych

komisji. W komisjach (liczą od 7 do 13 osób) pracują przede wszystkim osoby zgłoszone przez komitety wyborcze. Ten system patrzenia sobie na ręce przez przedstawicieli kandydatów na prezydenta powinien dać poczucie bezpieczeństwa i uczciwości. Okazuje się, że przewodniczącymi w komisjach, w których już oficjalnie stwierdzono nieprawidłowości, byli przedstawiciele komitetów Stanowskiego, Biejał, Tanajny, Brauna, Hołowni, Nawrockiego, Mentzena, Trzaskowskiego. Nie ma więc tu mowy o jakiejś zorganizowanej akcji jednego komitetu. – Ważne i pewne jest to, że nie doszło do żadnej ingerencji zewnętrznej w system informatyczny. Sprawdziliśmy: to, co zostało wysłane elektronicznie do PKW, zgadza się z wynikami, które wszyscy członkowie komisji podpisali w wersji papierowej. Błędy nastąpiły przy wprowadzaniu danych do systemu elektronicznego – mówi Tkacz.

Według szefa KBW, który pracuje przy wyborach od ponad dwóch dekad, najprawdopodobniej zawiódł czynnik ludzki, co przy tej skali wyborów może się zdarzyć. – Mam wrażenie, że członkowie komisji skupili się w dużym stopniu na pracy w ciągu dnia, aby wszystko przebiegło właściwie, a potem na prawidłowym liczeniu i później nastąpiło rozprężenie – mówi minister Tkacz.

W Brześciu Kujawskim mężami zaufania były osoby zgłoszone przez komitet Trzaskowskiego i Nawrockiego, a do tego obserwator społeczny z KOD, i nikt nie zauważył, że do protokołu wpisano odwrotne wyniki. Można to porównać do dalekiej podróży samochodem, kiedy – jak pokazują statystyki – to właśnie na ostatnim etapie, najbliższej celu, dochodzi do spadku koncentracji, zbytnej pewności kierowców i do wypadków.

Szef KBW podkreśla, że większość komisji pracowała poprawnie, a nieprawidłowości dotyczą mniejszości. Niestety podważają one wiarygodność wyborów. Dlatego minister Tkacz postuluje, aby w przyszłości w jakiś sposób sprofilować działalność osób funkcyjnych w komisjach. – Przewodniczący powinni być szerzej przeszkoleni, być może zdawać jakieś podstawowe egzaminy z procedur wyborczych, a z pewnością jeśli zawiedli już przy wyborach, to nie powinni móc pracować przy kolejnych. Do zmian prawa potrzeba jednak pewnej zgody politycznej, a to jest dziś towar niedostępny.

ANNA DĄBROWSKA



ILUSTRACJA MARTA FREJ

I jak tu rządzić?

EWA SIEDLECKA

Jak teraz przywracać praworządność? Czy to się w ogóle da zrobić bez dobrej woli prezydenta Nawrockiego? A co można bez jego zgody? Trwa dyskusja i pojawiają się pomysły.

„**W** sierpniu prezydenta niechętnego zmianom, jakie proponowaliśmy, zastąpi prezydent co najmniej równie niechętny naszym propozycjom” – stwierdził premier Donald Tusk w sejmowym exposé przed głosowaniem nad wotum zaufania dla rządu.

A tu trzeba zrealizować kamienie milowe, które są warunkiem otrzymania kolejnej transzy unijnych środków na realizację KPO. Rząd bardzo na nie liczy. Polska dostała od Komisji Europejskiej czas do listopada na uzdrowienie Krajowej Rady Sądownictwa, a także na reformę postępowań dyscyplinarnych wobec sędziów i zniesienie przepisów „kagańcowych”, co wymaga zmiany ustawy o Sądzie Najwyższym i o ustroju sądów powszechnych. Projekt zmiany ustawy o SN nie powstał, podobnie jak realizująca ten punkt kamienia milowego zmiana ustawy sądowej. W dodatku w październiku mija termin wykonania wyroku Europejskiego Trybunału Praw Człowieka w sprawie Lecha Wałęsy. A to oznacza konieczność likwidacji Izby Kontroli Nadzwyczajnej SN, zreformowania KRS i uporządkowania statusu neosędziów, w szczególności tych zasiadających w Sądzie Najwyższym.

Przepychanka z prezydentem

Dostaliśmy raz kredyt zaufania i KE odblokowała 6,3 mld euro ze 137 mld unijnego Funduszu Odbudowy. Odblokowano też pieniądze z Funduszu Spójności. Ale ten kredyt zaufania nie może być wieczny. Trzeba Komisji Europejskiej pokazać konkrety.

Ministerstwo Sprawiedliwości przygotowało ustawę regulującą status neosędziów i czeka na opinię Komisji Weneckiej. Jeśli będzie pozytywna, pozostaje problem podpisania ustawy przez prezydenta. A Karol Nawrocki w rozmowie z „Dziennikiem Gazetą Prawną” powiedział, że oburza go kwestionowanie statusu sędziów powołanych przez demokratycznie wybranego prezydenta.

Czy da się przywrócić praworządność bez ustaw? Jak? Decyzjami administracyjnymi – jak zapowiadał Donald Tusk przed wyborami parlamentarnymi w 2023 r.? Co by powiedziała Komisja Europejska na tak oczywiste łamanie zasad praworządności?

Rozmówcy POLITYKI są zgodni: trzeba próbować dogadywać się ►

► z prezydentem. Prof. Ewa Łętowska, sędzia NSA i TK w stanie spoczynku, była RPO: – *Teraz trwa przepychanka. A trzeba ustalić cel i do niego dążyć. Uchwalac ustawy i negocjować z prezydentem ich podpisanie. Jak się nie uda, to przynajmniej będzie co pokazać Komisji Europejskiej, a ona może przymknie oko.*

Karol Nawrocki dopiero zaczyna budować swoją polityczną tożsamość i wizerunek. – *My o prezydencie jeszcze nic nie wiemy, np. na ile będzie skłonny do zawierania kompromisów ponad interesem politycznym, w imię dobra wspólnego* – mówi dr Tomasz Zalasinski, ekspert Fundacji im. Stefana Batorego i członek działającej przy ministrze sprawiedliwości Komisji Kodyfikacyjnej ds. ustroju sądów i prokuratury.

Bez ustawy, sposobem

Rządzący mają już pewną wprawę w rzadzeniu sobie za pomocą innych niż ustawa środków. Prokurator generalny Adam Bodnar bez nowelizowania ustawy o prokuraturze decyzją stwierdził nieważność powołania na urząd prokuratora krajowego Dariusza Barskiego, pozostawionego na straży prokuratury przez Zbigniewa Ziobrę. I powołał (decyzją premiera) na to stanowisko Dariusza Korneluka, którego nie uznaje PiS. Jako minister sprawiedliwości odwołał też niedawno decyzją niesławnego rzecznika dyscyplinarnego dla sędziów Piotra Schaba i jego dwóch zastępców: Przemysława Radzika i Michała Lasotę. Przerwał ich kadencję, wykorzystując niejasność przepisów i powołując się na ich nieetyczne działania.

Od grudnia 2023 r. wyroki Trybunału nieKonstytucyjnego w składzie z dublerami ukazywały się w Dzienniku Ustaw z adnotacją, że „Trybunał Konstytucyjny jest pozbawiony cech trybunału powołanego ustawą, gdy w jego składzie zasiada osoba nieuprawniona”. I z powołaniem się na wyrok ETPCz.

W marcu 2024 r. Sejm przyjął uchwałę stwierdzającą, że wybory dublerów i ich następców w TK „zostały podjęte z rażącym naruszeniem prawa”, a tym samym są pozbawione mocy prawnej i nie wywołały skutków prawnych w nich przewidzianych”. Wcześniej, w grudniu 2023 r., Sejm podjął taką uchwałę dotyczącą Krajowej Rady Sądownictwa. A w grudniu 2024 r. Rada Ministrów, także w uchwale, uznała, że „ogłaszanie w dziennikach urzędowych rozstrzygnięć Trybunału

Konstytucyjnego mogłoby doprowadzić do utrwalenia stanu kryzysu praworządności” i „nie jest dopuszczalne ogłaszanie dokumentów, które zostały wydane przez organ nieuprawniony”. Uchwała ta dotyczyła też aktów wydawanych przez neoKRS i wyroków Sądu Najwyższego wydawanych z udziałem neosędziów. Jednak uchwały nie są źródłem prawa, wiążą jedynie organ, który je wydał, i mogą być wskazówką dla decydentów.

Minister Bodnar zablokował dopływ neosędziów do sądów powszechnych, nie ogłaszając nowych konkursów na zwalniane miejsca. Ale konkursy do Sądu Najwyższego nadal się odbywają, bo ogłasza je prezydent. Rozporządzenia i zarządzenia wykorzystywał minister Bodnar do porządkowania sądów i prokuratury. Jedno z takich rozporządzeń zakwestionował TnK: chodziło o przywrócenie sędziowskiemu członkowi neoKRS, a także sędziom funkcyjnym obowiązku orzekania, z którego PiS nieomal całkowicie ich zwolnił. Ale posługiwanie się rozporządzeniami ma ograniczenia. Dr Tomasz Zalasinski: – *W polskim systemie źródeł prawa rozporządzenie wydaje się tylko na podstawie i w granicach upoważnienia danego w ustawie. Szklany sufit zawieszony jest tu bardzo nisko, nie ma swobody.*

Dr Zalasinski przejrzał System LEX i doszukał się ok. 600 delegacji ustawowych do wydania rozporządzeń przez ministra sprawiedliwości, z czego połowa dotyczy szeroko rozumianego wymiaru sprawiedliwości. – *Teraz ministerstwo i Rządowe Centrum Legislacji powinny przejrzeć te wszystkie rozporządzenia i upoważnienia ustawowe i zobaczyć, co można osiągnąć ich nowelizacją* – uważa.

Prof. Łętowska: – *Na pewno warto przepatrzyć rozporządzenia pod kątem ich potencjału, ale uważając, żeby trzymać się ograniczeń, które rozporządzeniom postawił w orzeczeniach Trybunał Konstytucyjny. Psując ten standard, wpadniemy z deszczu pod rybnę.*

Jacek Czaja, sędzia Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego w Lublinie i podsekretarz stanu w Ministerstwie Sprawiedliwości w pierwszym rządzie Donalda Tuska, uważa za dopuszczalne i konieczne wykorzystanie pozaustawowych narzędzi do usprawnienia pracy sądów. Np. do podniesienia stawek dla biegłych, żeby do wydawania opinii zachęcić szerokie grono kompetentnych specjalistów. I do usprawnienia rozpoznawania

spraw frankowych: można wyznaczyć kilka wydziałów dla całego kraju i zagwarantować im nadzwyczajne dofinansowanie, aby zapewnić jak najlepsze wsparcie sędziów. Pozwoliłoby to sprawnie uporać się z zaległościami w sprawach, które zatkorkowały wiele sądów w Polsce, co jest skutkiem oporu banków. – *Od strony czysto prawnej wszystko jest już wyjaśnione w całej serii orzeczeń TSUE, który stanął po stronie konsumentów* – mówi Czaja.

Krajowa Rada Sądownictwa

Kadencja obecnych sędziowskich członków KRS kończy się w maju przyszłego roku. – *Trzeba przywrócić wybór sędziowskich członków KRS przez środowisko sędziowskie zgodnie z konstytucją. Dlaczego prezydent nie miałby podpisać ustawy, dzięki której to nie dzisiejsza koalicja rządząca, lecz sędziowie wybiorą w przyszłym roku większość składu KRS?* – mówi dr Tomasz Zalasinski.

Sejm przyjął nowelizację samej procedury wyborczej do KRS, ale została posłana do Trybunału nieKonstytucyjnego przez prezydenta Dudę. Głównie dlatego, że nie dopuszczała neosędziów do kandydowania do KRS. Teraz sprawa weryfikacji neosędziów wydaje się przegrana (o czym niżej), więc wyłączenie neosędziów z kandydowania traci sens. Zatem prezydent Nawrocki mógłby podpisać ustawę. I to może nawet szeroko reformującą całą KRS.

Gdyby nie udało się w tej sprawie dogadać z prezydentem, to można wybrać sędziowskich członków KRS w zgodzie z konstytucją i pisowską ustawą. Wystarczy, żeby sejmowa Komisja Sprawiedliwości wskazała, a Sejm wybrał 15 sędziów, którzy dostarczą największą liczbę głosów sędziowskiego poparcia. W ten sposób posłowie oddaliby wybór sędziom, dopełniając obowiązującej procedury.

Neosędziowie

„Chcemy szukać takiego rozwiązania, które pozwoli na to, że każdy sędzia w Polsce będzie mógł być pewny swojego statusu. Nikt z nas nie zdejmie tej odpowiedzialności, która wynika z całego szeregu orzeczeń TSUE i ETPCz” – mówił minister Bodnar pytany przez dziennikarzy o neosędziów.

To można osiągnąć na dwa sposoby: weryfikując neosędziów lub z tego raz na zawsze rezygnując. Po wyborze Karola Nawrockiego wygląda na to, że w sprawie jest już pozamiatane. Byłaby to weryfikacja

po minimum 13 latach ich pojawienia się w systemie sądownictwa (licząc od końca kadencji Nawrockiego w 2030 r.). To destabilizowałyby wymiar sprawiedliwości. Poza tym powiedzmy sobie szczerze: weryfikacji neosędziów chcą dziś przede wszystkim sędziowie, którzy za czasów PiS bronili niezależności sądów i dziś mają z nimi problem natury emocjonalnej oraz moralnej. To absolutnie zrozumiałe, ale nie kosztem destrukcji całego systemu. I nie będzie to sprzeniewierzenie się orzeczeniom TSUE i ETPCz, bo żadne z nich nie zapadło na kanwie skargi na neosędziów sądów powszechnych. Wszystkie dotyczą sędziów Sądu Najwyższego.

W sprawie uregulowania statusu neosędziów broni nie chce składać Jacek Czaja. Jego zdaniem da się to przeprowadzić nawet bez szczególnej ustawy, na podstawie procedury wypracowanej przez odnowioną KRS. Naprawiona KRS, powołując się na wyroki TSUE i ETPCz na temat KRS jako organu niespełniającego warunku niezależności od władzy politycznej, stwierdzałyby nieważność każdego konkursu na stanowisko sędziowskie przeprowadzonego przez neoKRS jako „organ niewłaściwie ukształtowany”. Potem KRS przeprowadzałyby ponownie konkurs i dokonywała wyboru najlepszych kandydatów. Biorąc pod uwagę, że zdecydowana większość sędziów powołanych od 2018 r. miała jednak kwalifikacje do bycia sędziami, tylko niektórzy nie uzyskaliby ponownej nominacji. Jeśli prezydent nie chciałby mianować zwycięzców nowych konkursów, to oznaczałoby przerzucenie na niego odpowiedzialności za stan sądownictwa. Sędziowie niewybrani przez KRS mogliby przed sądem kwestionować wyniki konkursu i skuteczność wygaszenia ich statusu służbowego.

Sąd Najwyższy

Rozmawianie to ma tę słabość, że różne składy sędziowskie mogłyby wydawać sprzeczne orzeczenia i jedni neosędziowie traciliby miejsca służbowe, inni zaś nie. Powstałby chaos. Prof. Ewa Łętowska wskazuje jeszcze inną wadę takiego pomysłu: – *Nie wstrzymuje to, i to przez czas nieoznaczony, produkcji wadliwych orzeczeń wydawanych przez sędziów, których status wymaga sanacji* – mówi.

Ale jest grupa neosędziów, której weryfikację jednak można przeprowadzić. To neosędziowie Sądu Najwyższego. To dziś 78 proc. wszystkich sędziów SN,

wśród nich są I prezes Małgorzata Manowska i prezesi wszystkich czterech Izb SN. Obsadzona jest nimi cała Izba Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych, która decyduje w sprawach najważniejszych politycznie, w tym wyborczych. W wyroku Wałęsa przeciwko Polsce Europejski Trybunał Praw Człowieka stwierdził, że nie jest ona „sądem” w rozumieniu Europejskiej Konwencji Praw Człowieka. A Konwencja jest częścią prawa Unii.

Wszystkie wyroki TSUE i ETPCz podające w wątpliwość status neosędziów dotyczą neosędziów SN. Powodem kwestionowania ich statusu jest nie tylko powołanie z udziałem neoKRS, ale także brak kontrasygnaty premiera na zarządzeniach prezydenta ogłaszających konkursy do SN. Konstytucyjną prerogatywą prezydenta jest jedynie mianowanie sędziów na wniosek KRS. Ogłaszanie przez prezydenta konkursów na sędziów SN to zmiana wniesiona przez PiS. Przedtem konkursy ogłaszał I prezes SN. Przekazanie tych uprawnień prezydentowi nie ma oparcia w konstytucji, a akty prezydenta, które nie są jego konstytucyjną prerogatywą, wymagają – według art. 144 Konstytucji – kontrasygnaty premiera.

Poza tym mianowanie 27 neosędziów nominowanych do SN w sierpniu 2018 r. wstrzymał NSA, rozpatrując odwołania od wyników konkursów do SN, a prezydent mianował ich, ignorując to orzeczenie, a więc łamiąc konstytucję.

Wobec neosędziów SN – jest ich 60 – można zastosować metodę zaproponowaną przez sędziego Czaję: nowo wybrana KRS mogłaby, na podstawie wyroków TSUE i ETPCz, orzec nieważność ich nominacji (każdą sprawę rozpatrując z osobna). Na tej podstawie minister sprawiedliwości mógłby ich odsunąć od orzekania.

Ale bez prezydenta nie da się ani ogłosić nowych konkursów, ani mianować osób nominowanych na miejsca po neosędziach. I zostałyby w SN tylko 37 sędziów i trzy Izby, bo zniknęłaby Izba Dyscyplinarna, której obowiązki przejmie Karna, i Izba Kontroli Nadzwyczajnej. Przed reformą PiS w SN były właśnie trzy izby i ok. 80 sędziów. Być może przy lepszej organizacji pracy na jakiś czas 37 sędziów wystarczy...

Trybunał Konstytucyjny

Trybunału niekonstytucyjnego nie ma jak ruszyć inaczej niż zmianą konstytucji. Dwie ustawy, które prezydent Duda posłał do TnK (nie ma wyroku, podobnie

jak w sprawie reformy wyborów do KRS) reformowały Trybunał, ale nie mogły, bez złamania konstytucji, usunąć z niego prawidłowo wybranych sędziów. Dlatego uzupełnia je trzecia ustawa: o zmianie konstytucji właśnie. Ale nikt się nie spodziewa uzyskania dla niej teraz ani w przewidywalnej przyszłości większości konstytucyjnej 2/3 głosów co najmniej połowy posłów.

Wspomniana uchwała Sejmu nie może być podstawą do wyzerowania Trybunału. Ani do niepublikowania wyroków TnK wydanych w prawidłowym składzie, co robi premier Donald Tusk, idąc w ślady premierów Beaty Szydło i Mateusza Morawieckiego. Wszyscy nasi rozmówcy krytykują niepublikowanie tych wyroków. Prof. Łętowska: – *To jest po prostu nieważne. Nie ma po temu podstawy prawnej. Jedyne, co można robić, to opatrywać stosowną informacją wyroki wydane przez dublerów, jak robiono na początku.*

Koalicja rządząca usiłuje sparaliżować pracę TnK, nie powołując sędziów na zwalniane się miejsca: ani posłowie, ani marszałek Sejmu, ani Prezydium Sejmu nie zgłaszają kandydatów na zwolnione cztery miejsca. Możliwe, że Koalicja „chomikuje” sobie te miejsca, by tuż przed wyborami w 2027 r. obsadzić je hurtem i zapewnić im odleglejszy koniec kadencji. Prof. Łętowska: – *Opinia Komisji Weneckiej dotycząca rządowych ustaw o TK przestrzega przed pokusą obsadzania przez jedną opcję polityczną większości miejsc w Trybunale.*

Ale czy prezydent Nawrocki, kontynuując świecką tradycję prezydenta Dudy, nie odmówi zaprzysiężenia nowych sędziów, choćby właśnie z uzasadnieniem, że taka przewaga jednej opcji byłaby niekonstytucyjna? I czy nie mielibyśmy *déjà vu*, z unieważnianiem uchwał Sejmu i powoływaniem dublerów?

Zresztą większość w TK niczego nie załatwi, bo w Trybunale carską władzę ma – według pisowskiej ustawy – prezes, m.in. ustalając składy sądzące, a kadencja Bogdana Świączkowskiego kończy się w 2031 r.

Rząd więc nie będzie miał lekko, jeśli będzie działał w granicach prawa. Jeśli je przekroczy – może odciąć Polskę od unijnych środków i da pretekst PiS – jak wtedy, gdy w 2015 r. powołał do TK sędziów „na zapas” – do tym bardziej bezprawnych działań.

EWA SIEDLECKA



Karol z bożej łaski

Obowiązujący tytuł wydarzenia brzmi: „Narodowa Pielgrzymka Dzięczynna z okazji Wyboru Karola Nawrockiego na Prezydenta RP do **Sanktuarium Matki Bożej Łaskawej w Krzeszowie**”.

MARCIN KOŁODZIEJCZYK

Na sanktuarijnym parkingu pielgrzymi wsiadają z autokarów i formują się w pochód. Czoło niesie wielki transparent, na którym złożono w jeden kontekst wizerunki Karola Nawrockiego i Matki Boskiej Łaskawej.

Jest także wizerunek samego Nawrockiego z łopocącą flagą narodową w tle i napisem „Dziękujemy za Karola”. Profesjonalna robota graficzna z udziałem AI, prezydent elekt przypomina hollywoodzkiego aktora ery westernów.

Niedziela 15 czerwca, słoneczny dzień. W drodze z parkingu do bram sanktuarium (ok. 200 m) pielgrzymi śpiewają pełnymi głosami: „Ave, ave, ave Maryja!”.

*

W program Narodowej Pielgrzymki Dzięczynnej wpisano: mszę świętą dzięczynną, „zwiedzanie Sanktuarium połączone z lekcją historii księstwa Świdnicko-Jaworskiego” i „rozmowy przy grillu o Polsce”. Kto wpisał, nie wiadomo, ponieważ nie wiadomo także, kto pielgrzymkę organizuje. Zaproszenie pojawiło się w internecie 10 dni wcześniej – dobrze zakomponowana pocztówka, na której uśmiechnięty Karol Nawrocki góruje nad Sanktuarium Matki Bożej Łaskawej w Krzeszowie (koło Wałbrzycha).

Ślady prowadzą do posła PiS ze Świebodzic Ireneusza Zyski oraz krzeszowskiego proboszcza, a zarazem kustosa sanktuarium Łukasza Langenfelda. W rozmowie z portalem naTemat obaj zaprzeczają – ksiądz jest narodową pielgrzymką zadziwiony,

a poseł mówi: „Jedziemy, żeby się pomodlić, podziękować Bogu i Matce Bożej Łaskawej za dar wyboru Karola Nawrockiego”. Poseł PiS organizuje jedynie świebodzicką gałąź wydarzenia, dwa autokary ludzi. Pielgrzymka do Krzeszowa rodzi ożywienie w sieci. Zawiadamiają o niej tacy posłowie PiS jak Przemysław Czarnek i zainteresowani pielgrzymi. Zaproszenie (nieznanego autorstwa) żyje własnym życiem, które poseł Ireneusz Zyska przedstawia jako masowy spontaniczny ruch oddolny.

*

– Serdecznie dziękuję, że państwo odpowiedzieli na wezwanie, że jesteśmy tutaj jako przedstawiciele narodu polskiego – przemawia poseł Zyska do pielgrzymów na placu przed bazyliką. – Przed wyborami odbywały się tutaj modlitwy, były odprawiane msze święte w intencji wyboru Karola Nawrockiego na prezydenta. Zatem teraz mamy za co dziękować Matce Bożej Łaskawej.

Pielgrzymów jest ok. 70 – zorganizowani i przybyli na własną rękę. Głównie schludnie ubrane starsze panie, niektóre z mężami. Poseł Ireneusz Zyska (56 lat) wydaje się najmłodszy w towarzystwie. Są panie w biało-czerwonych wiankach, w bluzkach z orłem białym. Kilku panów nosi garderobę z żołnierzami wyklętymi, a jeden firmową koszulkę PiS. Wszyscy są bardzo mili, choć niektórzy panowie – zwłaszcza nosiciele transparentów – prezentują pasujące do okoliczności marsowe miny.

Pielgrzymi z Nawrockim na transparentach fotografują się grupowo z kościołem w tle.

– Do góry transparenty! – upominają się nawzajem. – Żeby było widać!

*

Natychmiast ożywają sklepiki przy sanktuarium MB Łaskawej: lody, piwo, kiełbasa. Ekspedientka od piwa mówi, że wszystko jedno, co za pielgrzymka – liczy się człowiek (klient). Dziś pielgrzymki są dwie, bo oprócz narodowej-dziękczynnej jest też coroczna i oficjalna pielgrzymka NSZZ Solidarność Górników Zagłębia Miedziowego regionów wałbrzyskiego i jeleniogórskiego. Ludzie w galowych mundurach trzymają wartę przy transparentach związkowych. Stoją u wejścia do bazyliki, bo są tu legalnie.

Pielgrzymka w intencji Karola (o elekcje mówią per Karol), nieco wycofana i niepewna, ponieważ oficjalnie niezapowiedziana, zajmuje miejsce pośredniejsze – na trawniku. Starsi państwo spoglądają na Zyskę z ufnością – na pewno zaraz wyjaśni z księdzem rangę ich przyjazdu. Tymczasem poseł PiS ze Świebodzić krzepi ducha zebranych zapewnieniami, że ich pielgrzymka jest prawdziwie narodowa. Bywają w jego mowie do pielgrzymów momenty, w których zdaje się naśladować osobę duchowną.

– Przychodzimy tutaj wszyscy jako ludzie wierzący, żeby podziękować i pomodlić się o błogosławieństwo – przemawia. – O dary

Ducha Świętego, o potrzebne łaski na drodze służby dla Polski i narodu polskiego dla przyszłego prezydenta Karola Nawrockiego.

*

Pół wolnej godziny pozostałej do rozpoczęcia mszy Ireneusz Zyska z PiS zapowiada pielgrzymom słowami: – Myślę, że państwo mogą spędzić ten czas, przygotowując się do najświętszej eucharystii.

Sam nawiązuje pobieżny i przelotny kontakt z proboszczem Langenfeldem, który akurat biegnie w kierunku ołtarza. Nie słyhać, o czym panowie mówią, ale proboszcz kręci głową odmownie.

Stanowisko wobec Narodowej Pielgrzymki Dziękczynnej ks. Łukasz jasno wyraził w rozmowie z portalem naTemat ponad tydzień wcześniej. Biuro poselskie posła Zyski zamówiło w krzeszowskiej bazylice „intencję dziękczynną za ojczyznę i za wybory”, ale pod warunkiem że nie padną nazwiska polityków. Proboszcz pełni swoją funkcję od roku i dba, by nie łączyć intencji mszalnych z politycznymi. Gdy zobaczył w internecie zaproszenie na pielgrzymkę do sanktuarium z okazji wyboru Karola Nawrockiego na prezydenta, skontaktował się z posem Ireneuszem. Chodziło o politycznie określony cel pielgrzymki, jak również o samo słowo „pielgrzymka” – kwestia większej skali mszalnej wymaga, jak się zdaje, dodatkowych ustaleń z duszpasterzem.

*

Czytanie z listu prezydenta elekta do pielgrzymów na dziedzińcu kościoła przed mszą świętą (pismem, ujętym w eleganckie twarde okładki, dysponuje i odczytuje je publicznie przez przenośny głośnik poseł Zyska): – Szanowni Państwo, uczestnicy Narodowej Pielgrzymki Dziękczynnej do Sanktuarium Matki Bożej Łaskawej w Krzeszowie – w nagle zapadłej ciszy poseł cytuje pielgrzymom Nawrockiego. – Z całego szczęścia dziękuję za państwa zaangażowanie w drodze do zwycięstwa. Państwa rola była nieoceniona, a troska o przyszłość Polski jest wzorem dla wszystkich patriotów. Dziękuję, że spotykając się dziś w Sanktuarium Matki Bożej Łaskawej, zawierzają państwo przyszłość naszej ojczyzny w ręce Najświętszej Matki.

Invokacja trwa dość długo. W dalszych słowach elekt dziękuje za wsparcie i modlitwę za siebie i za przyszłości Polski. Za to, że jego wyborcy byli z nim na dobre i złe, nigdy w niego nie zwątpili. Że „nie dali się zwieść kłamstwu”.

– Niech Bóg błogosławi Polsce – kończy Karol Nawrocki list do pielgrzymów.

*

Mszę celebrować trzech księży, co podkreśla jej doniosłość. Bazylika pełna wiernych, pielgrzymi z górniczej Solidarności zajmują pierwsze ławy od ołtarza, prezentują stare sztandary kopalniane, na których wypisano „Bóg, Honor, Ojczyzna”.



► Pielgrzymi narodowi w intencji wyboru Karola swoje transparenty pochowali. Tylko ten siwy starszy pan, który nosi portret prezydenta „Dziękujemy za Karola” (dwustronny), oparł go o stół z katolicką prasą i uczynił widocznym. Pielgrzym jest poruszony listem od Karola. Zanim wchodzi do bazyliki, odważnie prezentuje swój transparent u wejścia, wraz ze związkowymi. Chętni mogą sobie zrobić zdjęcie z tym panem, transparentem i posłem Zyską. Na mszy panuje przyjazna atmosfera. Niestety bardzo się marznie, bo wewnątrz kamienne, barokowe. Pielgrzymi związkowi dzielą się więc z narodowymi chustami z symbolami Zagłębia Miedziowego i wizerunkiem ks. Popiełuszki. Trzej księża rzucają z ołtarza mocne zdania, a ludzie kiwają głowami na znak zgody:

– *Nie ma prawdziwego Polaka bez Boga* – mówią księża. – *Zawsze wygrywa Bóg i solidarność* – mówią. – *Wszyscy jesteśmy pielgrzymami* – mówią też. Ks. proboszcz Łukasz Langenfeld wymienia z ołtarza intencje mszy. Najpierw modlitwa za górników miedziowych. Potem za Ojczyznę, Polaków i Polskę. A także (głośno i wyraźnie) „za wybór prezydenta elekta, pana Karola Nawrockiego”.

*

Punkt „Narodowej Pielgrzymki Dzięczynnej z okazji Wyboru Karola Nawrockiego na Prezydenta RP do Sanktuarium Matki Bożej Łaskawej w Krzeszowie” nazwany przez organizatorów „rozmowami przy grillu o Polsce” zdradza – jak na dramatyczne rozdarcie społeczeństwa, o którym się tyle mówi – niebывałą zgodność opinii i kulturę wymiany opinii. Wszyscy są dla siebie mili, uśmiechnięci oraz, jak podkreślają, „zjednoczeni, aż miło”. Dialogi o polityce i życiu – co tutaj na jedno wychodzi – toczą się w sanktuaryjnej stołówce na świeżym powietrzu, czyli, jak mawiają: „pod wiatą”. Wiaty stoi tuż obok kościoła, kuchnia serwuje pielgrzymom grochówkę, kiełbasę, chleb, kawę i herbatę. Niewielka porcja kiełbasy z grillu kosztuje 15 zł.

Pani 1: – *Ja od razu mam wysokie ciśnienie, jak się zdenerwuję. Mąż mówi: ty się przez te nerwy kiedyś wykończysz. Ale jak podali wieczorem, że wygrał Trzaskowski, to mi skoczyło ponad 200.*

Pani 2 (sentencjonalnie): – *Chcieli nam wyrwać Polskę...*

Pani 1: – *No ale rano patrzę, że wygrał Karol, i mówię: „Dzięki ci, Boże”. Ja wam powiem jedno: gdyby nie Telewizja Republika, to Nawrocki by nie wygrał tych wyborów.*

Zgadza się duża część stołu biesiadnego. Według tej części stołu wszystkie inne media kłamią, bo finansuje je niepolski kapitał, który chce okraść Polskę. Ale Karol – zgadzają się pielgrzymi narodowi i kilku związkowców – to wojownik. Karol da radę Tusko wi. W ogólnym rozumieniu pielgrzymów Tusk i Trzaskowski są jak jeden zły człowiek.

Pani 3 (miłym głosem, kiwając głową z niedowierzaniem): – *Patrzcie, panie, tyle jest wkoło dobrych Polaków, katolików, no mądrych ludzi. To powiedzcie mi panie: skąd taki Trzaskowski dostał aż tyle głosów w Polsce.*

Pani 1 (która wodzi prym): – *Nie dostał. Oszukiwali w wyborach i tyle.*

*

Przychodzi pod wiatę ksiądz proboszcz Łukasz Langenfeld, też na kiełbasę. Kilka osób mu dziękuje za piękną mszę. Jaki ten ksiądz skromny – mówią potem oczarowani, wracając do stołu. W dalszych częściach wiaty rozmawia się o pośle Zysce: że zdolny, rozumie „zwykłego człowieka”; jeszcze pokaże, co potrafi. Poseł wszedł do Sejmu z listy Kukiz’15, potem przystał do partii Kornela Morawieckiego, ale w 2018 r. rozsądnie przeniósł się do PiS i tylko

z tego faktu znają go pielgrzymi. Był wiceministrem, mówią, ale muszą sprawdzić w telefonie od czego – okazuje się, że od klimatu.

Związkowiec 1: – *Nawrocki go teraz weźmie do siebie. Wspomnienie moje słowa.*

Nikt nie polemizuje. Cały średni stół życzy posłowi Ireneuszowi powodzenia. Pada nawet znana z kampanii fraza o „odpowiednim formacie”, który posła ze Świebodzic predestynuje do Pałacu Prezydenckiego.

*

Czasami rozmowa schodzi na codzienność. W przypadku związkowców to opowieści o kopalniach, które Niemiec chce zamknąć – Niemiec jest umowny, chodzi raczej o wroga polskości z UE, który ma polskie bogactwo węglowe za nic. Nie rozumie, że to u nas święta tradycja, od której łapy precz.

Panie z pielgrzymki narodowej wspominają także pamiętny wyjazd pod koniec maja do Warszawy na dwumarsz.

Pani 3: – *Sluchajcie, panie, ja wchodzę do autokaru, a oni tak patrzą i mówią: pani się chyba pomyliła, bo my na Rafała. To ja wybiegłam i uciekam. A oni za mną: może się pani zdecydować, zapraszamy!*

Pani 1 (zniżając głos nad stołem): – *Ale nawet teraz w naszym autokarze jest taka baba w czerwonych koralach. Czy taka baba w ogóle wie, gdzie jedzie na pielgrzymkę? Już prawie jej powiedziałam: pani toto zdejmie, bo nie wypada.*

Chodzi o czerwone korale jako symbol polityczny kojarzony ostatnio z lewicą i prezydencką kandydatką Joanną Senyszyn. Z czerwonych koralu panie przy grillu wysnuwają zgodny wniosek: – *Szatan jest wszędzie, powiedział Kaczyński, żeby się modlić.* Chodzi o ostatnią miesięcznicę smoleńską. Jarosław Kaczyński zapowiedział modlitwę za nawrócenie ludzi protestujących przeciw comiesięcznym manifestom urządzanym przez partię PiS w przestrzeni publicznej Warszawy.

*

Związkowiec 2 pyta przy stole, czy wszyscy już słyszeli najnowsze „taśmy Tuska”, które wczoraj (sobota 14 czerwca) wyemitowała TV Republika. Tak, wszyscy słyszeli. Kiwają głowami z niedowierzaniem. Donald Tusk z Romanem Giertychem rozmawiają przez telefon o wyborach do parlamentu sprzed pięciu lat, a w pewnym momencie mówią o sobie jako o Niemcach. Mimo że słychać, że mówią w żartach – bo taką „niemiecką” fobię akurat wtedy lansował PiS – zarówno pielgrzymi narodowi, jak i związkowi nie mają już najmniejszych wątpliwości:

Pani 1: – *Chcieli nas wszystkich oszukać. Niemcy by Polską rządzi. I ten Giertych też – kiedyś się do Radia Maryja nawet wciskał jako Polak. Zdraycy i sprzedawczyki Polski.*

Pani 4 (włączając się do rozmowy z dużym nerwem): – *A Trzaskowski to kto? To nie Polak, on jest Francuzem. Ja nie mogę na niego patrzeć!*

Wszyscy w zasięgu słuchu kiwają głowami – Trzaskowski to Francuz. Tym bardziej, mówi się, dzięki Bogu za Karola. W ostatniej chwili ocalił Polskę. A tyle o nim kłamali: że mieszkanie ukradł, nawet że był jakimś alfonsem.

Związkowiec 2 (macha ręką): – *Jakim tam alfonsem. Karol jest z biednej rodziny. To nawet jak dostał za młodziaka pracę w restauracji i mógł sobie dorobić do pensji, to co w tym złego?*

Podczas mszy świętej ksiądz oznajmił, że dzięki relikwiom św. Jana Pawła II można uzyskać w Krzeszowie całkowite odpuszczenie grzechów, zupełnie jak w Rzymie.

MARCIN KOŁODZIEJCZYK

Wypije za błędy

KATARZYNA KACZOROWSKA

Ryszard Rynkowski nie jest jedyną polską gwiazdą, która została zatrzymana za jazdę autem pod wpływem alkoholu. Lista jest bardzo długa. Ale eksperci twierdzą, że tolerancja Polaków wobec jazdy „na podwójnym gazie” w ostatnich latach drastycznie spadła. I nie ma już ulgowej taryfy.



ILUSTRACJA ŁUKASZ RAYSKI

Jubileuszowy koncert na opolskim festiwalu – z okazji 75-lecia jednego z najwybitniejszych polskich tekściarzy – zatytułowano „Trzy ćwiartki Jacka Cygana”. Jedną z jego gwiazd miał być Ryszard Rynkowski, który na koncert jednak nie dojechał. Pierwsza informacja była prosta: artysta miał kolizję na trasie i jest poobijany.

„Ryszard jechał do Opola. Miał wypadek samochodowy. Obrażenia są bolesne. Ryśku, nikt za ciebie lepiej nie zaśpiewa tu »Wypijmy za błędy«” – powiedział Jacek Cygan ze sceny w polskim amfiteatrze, dedykując te słowa Rynkowskiemu, być może nie zdając sobie sprawy ze swoistego profetyzmu tych słów.

Kilka godzin później okazało się bowiem, że piosenkarza, który po stłuczce

wrócił do domu, z tego domu wyprowadziła policja. Artystę po obudzeniu przebadano alkomatem, przewieziono do izby zatrzymań – do wytrzeźwienia. I przekazano, że w wydychanym powietrzu, tuż po zatrzymaniu, stwierdzono u niego 1,6 promila alkoholu.

Media szybko zdobyły opis zdarzenia: w sobotę 14 czerwca w miejscowości Żmijewko doszło do drogowej kolizji. ►

► Ryszard Rynkowski usiłował wyminać inne auto na drodze. Kiedy jechał środkiem jezdni, zderzył się z bokiem nadjeżdżającego z naprzeciwka samochodu osobowego. Kierowca tego auta nie odniósł obrażeń, ale zatrzymał się na poboczu. Zapisał numer rejestracyjny samochodu, który odjechał z miejsca zdarzenia. I zadzwonił po policję. Ta w domu właściciela auta, które nie zatrzymało się po kolizji, była już godzinę później. I zabrała gospodarza na komisariat w Brodnicy.

Aleksandra Laskowska, aspirant sztabowa z Komendy Głównej Policji: – *Nie ma znaczenia, czy policjanci zatrzymują kogoś znanego, gwiazdę, polityka czy zwykłego obywatela. Wszyscy traktowani są tak samo i wobec wszystkich wykonuje się takie same czynności.*

Mecenas Adam Kozioziemski, adwokat Ryszarda Rynkowskiego, komentować sprawy nie chce – taka jest prośba klienta i jego żony. Z jedyne go wywiadu, jakiego udzielił „Faktowi”, wiadomo, że będzie wnioskował o powołanie biegłego, by rozwiać wszelkie wątpliwości dotyczące wyników badania alkomatem z uwagi na różnicę czasu pomiędzy kolizją a zatrzymaniem Ryszarda Rynkowskiego.

Gwiazdy z promilami

Wokalistka Beata Kozidrak. Wrzesień 2021 r., 2 promile w wydychanym powietrzu. Ilona Felicjańska – 2,3 promila w 2010 r. Eksmodelka, która wjechała autem w trzy samochody, przekonywała, że wypięła kieliszek wina do kolacji. Katarzyna Figura zatrzymana podczas jazdy po alkoholu została dwukrotnie, w Stanach Zjednoczonych i w Polsce. Borys Szyc, złapany drugi raz na „podwójnym gazie”, stracił prawo jazdy na dwa lata. Joanna Liszowska – 1,2 promila, 2014 r., trzy rozbite auta i utrata prawa jazdy na dwa lata. Tomasz Stockinger – 2,3 promila, 2009 r., ucieczka z miejsca wypadku i w konsekwencji trzy lata więzienia w zawieszeniu. Prawo jazdy stracił też Daniel Olbrychski – na trzy lata w 2015 r. Kamil Durczok – 2019 r., kolizja na autostradzie A1, 2,6 promila alkoholu we krwi. Wyrok zapadł w 2012 r.: rok więzienia w zawieszeniu na dwa lata, utrata prawa jazdy na pięć lat, 3 tys. zł grzywny i 30 tys. zł na cel społeczny. Jerzy Stuhr, 2021 r., 0,7 promila alkoholu we krwi i kolizja z motocyklistą. Pierwszy wyrok: zakaz prowadzenia pojazdów, 12 tys. zł grzywny, 6 tys. zł nawiązki na Fundusz Sprawiedliwości i 4 tys. zł kosztów sądowych.

W apelacji utrzymany. Aktor przekonywał w wywiadach udzielonych już po procesie, że nikomu nie się nie stało, a samo zdarzenie było błahostką, bo sędzia podkreślił, że nie uciekł z miejsca zdarzenia.

W 2019 r. policja zatrzymała do kontroli Dominikę K., żonę byłego ministra sprawiedliwości Ryszarda Kalisza. Prawniczka miała 2,5 promila alkoholu we krwi, a w aucie 3,5-letniego synka. Wyrok w pierwszej instancji: 20 godzin prac społecznych miesięcznie przez rok i 8 miesięcy, 15 tys. zł na rzecz Funduszu Pomocy Pokrzywdzonym oraz Pomocy Postpenitencjarnej i utrata prawa jazdy na sześć lat. Obrona i kurator występujący w imieniu narażonego na niebezpieczeństwo synka Dominiki wniesli o uniewinnienie. W 2023 r. wyrok zmieniono: sześć miesięcy nieodpłatnych prac na cele społeczne, utrata prawa jazdy na cztery lata i zmniejszenie kary finansowej do 10 tys. zł.

Ryszardowi Rynkowskiemu, który usłyszał zarzuty kierowania w stanie nietrzeźwości, spowodowania kolizji i ucieczki z miejsca zdarzenia, grozi do trzech lat więzienia. I utrata prawa jazdy.

A przez media tradycyjne i społecznościowe przelała się fala komentarzy jednoznacznych w swojej wymowie i pokazujących, że nie ma naszej zgody na siadanie za kółkiem po alkoholu. Karolina Korwin-Piotrowska dla portalu o2.pl: „Nie jestem sądem. Jeżeli alkohol we krwi został wykryty, to nie ma pytań. Ja nie chcę w niego »walić«, ale ma szczęście, że nikogo nie zabił. Nie ma na to usprawiedliwienia. Legenda wpada po pijaku za kółko. Powinien ponieść konsekwencje takie, jak przeciętny Kowalski”. Na X i Facebooku: „no i wypije za błędy...”.

– *To naprawdę istotna zmiana. Przede wszystkim policjanci przestali stosować taryfę ulgową wobec sławnych rodaków. Jeszcze 20 lat temu gwiazda wysiadła z auta, było wspólne zdjęcie, którym można się pochwalić rodzinie. I sprawy nie było. Dzisiaj standardy są zdecydowanie wyższe* – mówi Łukasz Zboralski, ekspert bezpieczeństwa ruchu drogowego, dziennikarz i szef portalu brd24.pl, nie kryjąc, że wpływ na zmianę naszego stosunku do nietrzeźwych kierowców miały w znacznej mierze... media, ale też tragiczne wypadki, po których w przestrzeni publicznej przestano się bać używać wobec ich sprawców określenia „mordercy drogowi”. – *Już nie tłumaczymy takich kierowców, że to było jedno piwo do obiadu, zmęczenie czy stres. Tragiczne wypadki, zakończone*

ucieczkami sprawców i ich ekstradycjami, sprawiły, że ludzie mówią o zabójcach za kierownicą – podkreśla Zboralski.

Awantury po wyrokach

„Należy wziąć pod uwagę jej dotychczasowy uregulowany tryb życia, w tym niekwestionowany dorobek artystyczny oskarżonej. Jej zasługi dla polskiej muzyki i kultury” – trzy lata temu te słowa sędzi, która po wniesieniu apelacji przez obrońców Beaty Kozidrak zmniejszyła jej wyrok za jazdę pod wpływem alkoholu, oburzyły wszystkie strony sceny politycznej i medialnej.

Zgodnie z wyrokiem wydanym w pierwszej instancji gwiazda została skazana na sześć miesięcy pozbawienia wolności, 20 godzin nieodpłatnej pracy społecznej, 10 tys. zł grzywny na rzecz Funduszu Pomocy Pokrzywdzonym oraz Pomocy Postpenitencjarnej. Straciła też na pięć lat prawo jazdy. W apelacji sędzia zniosła karę pozbawienia wolności, utrzymała utratę prawa i podniosła wysokość grzywny: do 50 i 20 tys. zł.

I pewnie nie byłoby medialnej awantury, gdyby sędzia podkreśliła skruchę wyrażoną przez oskarżoną i 40 lat bezkolizyjnej jazdy, nie odnosząc się do dorobku gwiazdy polskiej sceny muzycznej. Aktywista i jeden z liderów ruchu Miasto Jest Nasze nie wytrzymał i na X napisał: „OK, czyli wg sądu Beata Kozidrak jest winną jazdy po pijaku, ale ponieważ jest znaną artystką, to jest winna trochę mniej. A podobno wszyscy jesteśmy równi wobec prawa. Jak się okazuje, nawet w tak oczywistej i skandalicznej sprawie jak jazda na bani celebryci mają łatwiej”.

Równie negatywne komentarze towarzyszyły procesowi żony Ryszarda Kalisza – tabloidy bezwzględnie opisały linię obrony, zgodnie z którą oskarżona, choć kierowała autem nietrzeźwa, to mimo takiego stanu poruszała się prawidłowo, a więc nie narażiła syna na niebezpieczeństwo. I podkreślały szok, bo Sąd Okręgowy w Warszawie przychylił się do stanowiska obrońców i złagodził wyrok.

Zboralski: – *Minęły dwa lata od tamtych wyroków. I sądzę, że dzisiaj nikt by jednak zasługami czy pozycją społeczną nie zastąpił złamania prawa, choć po ludzku mnie samemu jest po prostu przykro, że Ryszard Rynkowski, którego cenię jako piosenkarza, zrobił to, co zrobił.*

Adwokat specjalizujący się w sprawach dotyczących jazdy pod wpływem



© SHUTTERSTOCK

alkoholu przyznaje, że sądy w Polsce wydają obecnie zdecydowanie surowsze wyroki wobec kierowców. Wyższe są też nawiązki na rzecz ofiar wypadków spowodowanych przez nietrzeźwych za kółkiem. – *I to jest wyraźna zmiana stanowiska. Przypomnę tylko dla jasności, że każdy ma prawo do obrony* – podkreśla prawnik. I dodaje, że jego rolą jako obrońcy jest szerokie spojrzenie na sytuację oskarżonego, bo ten tracąc prawo jazdy, może utracić źródło dochodu, a utrata zarobku może prowadzić do utraty rodziny... *Więc, po pierwsze, sprawiedliwy wyrok, po drugie naprawienie krzywd, jeśli zostały wyrządzone. I, po trzecie, szansa na poprawę, jaką daje np. terapia* – mówi adwokat.

Optymistyczne statystyki

W tym roku już w środę przed Bożym Ciałem policjanci w całym kraju rozpoczęli akcję prewencyjną „Bezpieczny weekend”. Wzmoczone kontrole na drogach trwały do niedzieli. Jak podkreśliła asp. szt. Aleksandra Laskowska w rozmowie z POLITYKĄ, dwa czynniki ryzyka przy tak lubianych przez Polaków długich weekendach to prędkość i jazda pod wpływem alkoholu. Statystyki, niezależnie od tych z ostatnich kontroli, są jednak optymistyczne. W 2024 r. nietrzeźwi kierowcy spowodowali 1460 wypadków. Zginęło w nich 211 osób, a 1653 zostały ranne. To blisko 7 proc. wszystkich wypadków w zeszłym roku. Największe zagrożenie stanowili kierowcy samochodów osobowych, którzy odpowiadali za 786 wypadków, zginęły w nich 132 osoby – 75 proc. wszystkich ofiar

śmiertelnych – a rannych zostało 980 osób. Jednocześnie ta ponura statystyka jest lepsza niż w 2023 r., kiedy to pijani spowodowali 2074 wypadki – śmierć poniosło w nich 290 osób, a 2263 zostały ranne. Jednak średnia liczba zatrzymanych przez policję pijanych za kierownicą to blisko 100 tys. – tak było w 2023 i w 2024 r.

Aleksandra Gołąb, psychoterapeutka uzależnień z Łódzkiego Studia Terapii: – *Wszyscy wiemy, że po alkoholu nie siadamy za kierownicę. Kampanie społeczne i działania policji przynoszą coraz większy efekt i przyczyniają się do zwiększenia świadomości i poprawy bezpieczeństwa. Niestety wiedza nie oznacza automatycznie kontroli własnych zachowań osób sięgających po alkohol.* Gołąb wyjaśnia, że uzależnieni, stosując mechanizm iluzji i zaprzeczeń, próbują zakłamać rzeczywistość i tłumaczyć sytuację np. silną presją, problemami, gorszym dniem, a czasami wręcz dają sobie prawo do tego, aby wypić alkohol i pod jego wpływem kierować samochodem. – *Efekt aureoli sprawia, że tym, którzy są sławni, bogaci, piękni, pozwalamy na więcej. Jak jednak widać, presja ma sens i przestajemy jako społeczeństwo relatywizować zachowania osób sławnych* – podkreśla psychoterapeutka uzależnień. I dodaje, że coraz bardziej rozumiemy, że uzależnienie od alkoholu może dotknąć każdego, niezależnie od wieku, poglądów czy stanowiska.

Ryszard Rynkowski po wyjściu z policyjnej izby zatrzymań wydał oświadczenie: „Drodzy Fani, chciałem wszystkich Was najmocniej przeprosić za zdarzenie z dnia 14 czerwca 2025 roku. Zdaję sobie

sprawę z tego, że zawiodłem wielu z Was, szczególnie wspaniałą opolską publiczność. Obiecuję, że sytuacja ta stanowi będzie dla mnie lekcję, z której wyciągnę odpowiednie wnioski”.

– *Wiem, że to może wyglądać na ageizm, ale wydaje mi się, że stosunek do jazdy pod wpływem ma związek z wiekiem kierowcy. Wychowani w PRL, gdzie tolerancja dla picia była znacznie większa, jakby nie zauważyli zmiany sytuacji. Młodzi, jeśli są zatrzymywani, to raczej są pod wpływem innych środków psychoaktywnych niż alkohol, co zresztą wcale nie zwalnia ich od odpowiedzialności i nie zmniejsza ryzyka, jakie ze sobą niosą jako kierowcy* – przyznaje Łukasz Zboralski.

W 2024 r. psycholog transportu dr Piotr Mamcarz z KUL-u mówił Polskiej Agencji Prasowej: „Prowadzenie samochodu jest równie niebezpieczne, jak posiadanie broni. Tylko żeby uzyskać pozwolenie na broń palną, potrzebne są szczegółowe i trudne badania, zaś w odniesieniu do prawa jazdy uważamy, że powinno należeć się każdemu”. I dodawał, że ci, którzy prowadzą z nadmierną prędkością bądź pod wpływem alkoholu, to osoby antyspołeczne, przez wiele lat powtarzające te same schematy.

Psycholodzy transportu od lat apelują, by kierowcy przechodzili obowiązkowe testy psychologiczne. Tylko czy takie testy czemukolwiek zapobiegą? To, co wydaje się działać, to kary i powszechne moralne potępienie. Także, a może zwłaszcza, wobec tych znanych i lubianych.

KATARZYNA KACZOROWSKA

Chaos w głowie

PAWEŁ WALEWSKI

Przez lata myśleli, że są nieogarnięci, leniwi, dziwni. Diagnoza ADHD okazała się nie piętnem, lecz wybawieniem – i początkiem życia bez wstydu.



ILUSTRACJA ADELA PODGÓRSKA

Wiosną tego roku na internetowych forach poświęconych zespołowi nadpobudliwości psychoruchowej z deficytem uwagi (ADHD) pojawił się wpis: „Powiedziałem szefowi, że je mam. A on na to: o, teraz jesteś modny!”. Sekcja komentarzy eksplodowała historiami o sceptycznych współpracownikach, lekceważących lekarzach

i rodzinach, które uważają ADHD za wymyślną nazwę na bycie roztrzępym. Witamy w Polsce, gdzie zaburzenie neurobiologiczne opisane po raz pierwszy 250 lat temu przez niemieckiego lekarza Melchiora Weikarda wciąż walczy o uznanie, uwięzione między rosnącą świadomością a lawiną mitów.

Wręcz ze wzrostem liczby diagnoz toczy się coraz żywsza debata: czy ADHD jest

nadrozpoznanawane, czy może w końcu zaczynamy zauważać to, co przez lata ignorowaliśmy?

Mit goni mit

Dr hab. Jarosław Józwiak, psychiatra zajmujący się ADHD w Polsce, tłumaczy: – *To zaburzenie skrajności. Energia, szybkość działania, koncentracja, dysregulacja emocji – na każdej z tych osi skaczesz*

od ściany do ściany. Osoby z ADHD raz są na 200 proc., a raz na zerze. Jako autor wydanego niedawno opracowania „107 mitów o ADHD” wskazuje na narosłe od wieków nieporozumienia wokół tego tematu. – Kiedy zaczynałem zbierać mity, myślałem o artykule z dziesięcioma. Skończyło się na książce, bo wciąż przybywało pacjentów z nowymi. Ostatnio ktoś napisał, że ADHD to efekt pasożytów – śmieje się, choć w jego głosie słychać nutę zrezygnowania.

W Stanach Zjednoczonych ADHD rozpoznano już u 11 proc. populacji, w Polsce – zaledwie u 0,2 proc. – Gdyby u nas stwierdzano 10 razy więcej przypadków, ludzie wyszliby na ulice z transparentami: „Prześciancie rozpoznawać ADHD i truć ludzi amfetaminą!” – żartuje dr Józwiak. Ale ta przepaść w statystykach nie wynika z różnic w biologii Polaków i Amerykanów. To kwestia świadomości – lub jej braku. – W Polsce wysłesz osobę z ADHD do 10 psychiatrów, a może jeden to potwierdzi – mówi.

Tylko czy powinniśmy się wzorować na przykładzie Ameryki? Tam już 15 lat temu tak rozdepto praktykę diagnostyczną (również w psychiatrii dziecięcej), że co ósmemu dziecku można przyporządkować jakieś zaburzenie. Pół wieku wcześniej siedmiolatki, które się nudzą na lekcji i rozrabiają, nazwano by leniami. Obecnie należą do 6 mln pacjentów w trakcie leczenia, co może niektórym przynosi ulgę (jeśli mają zaburzenia metabolizmu dopaminy), ale bez wątplenia najbardziej cieszy to koncerny farmaceutyczne.

U nas w ostatnich latach ADHD też stało się tematem medialnym, a niektóre głosy psychiatrów – jak prof. Bogdana de Barbaro – sugerują, że mamy do czynienia z „psychiatryzacją kultury”. W rozmowie z „Rzeczpospolitą” na początku maja de Barbaro mówił: „Ktoś, kto kiedyś był po prostu roztrągniony, dziś ma ADHD. To zbyt łatwe rozpoznania”. Jego słowa odbijają się echem w społeczeństwie, które z jednej strony fascynuje się psychologią, a z drugiej podejrzliwie patrzy na coraz częstsze diagnozy. Ale czy to naprawdę moda, czy może nadrabianie zaległości w rozpoznawaniu zaburzenia, które przez dekady było ignorowane?

Dr Tomasz M. Gondek z Uniwersytetu Dolnośląskiego DSW we Wrocławiu, założyciel Sekcji Kształcenia Specjali-

zacyjnego Polskiego Towarzystwa Psychiatrycznego, twierdzi, że w przeszłości wiele takich osób uznawano za cierpiące na depresję, zaburzenia lękowe lub chorobę dwubiegunową i choć rozpoznania te mogły być nawet trafne, pomijały współistnienie ADHD: – Dane epidemiologiczne sugerują, że może ono dotyczyć nawet 1 mln dorosłych, ale formalną diagnozę otrzymało zaledwie 100–120 tys. z nich, czyli co dziesiąta osoba zmagająca się z tym zaburzeniem.

Dr Józwiak też odrzuca tezę o nadrozpozawalności: – Nie chodzi o to, żeby szukać problemów u tych, którzy są po prostu zapominalscy lub roztrzępani. Jeśli komuś nie przeszkadza rozkojarzenie, to jego uroda. Ale jeśli cierpi, ma depresję, myśli samobójcze, to musimy działać.

Kluczowe jest tu kryterium negatywnego wpływu na życie. Dr Józwiak przytacza przykład 50-letniego mężczyzny z trzema asystentkami, które organizują mu życie. – Ma wszystkie objawy, ale nie ma negatywnego wpływu na funkcjonowanie, więc nie ma ADHD – mówi, z nutą ironii wskazując na paradoks kryteriów diagnostycznych.

Pan Tomek, inny pacjent warszawskiego Centrum Terapii Alma, musi mieć przy sobie trzy smartfony, ustawiając na każdym maksymalną liczbę przypomnień o prostych czynnościach, jak kupno karmy dla kota czy zakręcenie kranu, ponieważ jeden nie wystarczyły na wszystkie alerty. Pomaga mu to organizować codzienne życie, ale nie eliminuje podstawowego problemu ADHD, związanego z rozproszeniem uwagi. Bo diagnoza opiera się na szerszych kryteriach, takich jak trudności z koncentracją, impulsywność czy nadpobudliwość, a nie tylko na zdolności do układania planu dnia.

Społeczne niezrozumienie boli tym bardziej, że ADHD wiąże się z realnymi konsekwencjami. „Pracuję w McDonaldzie, raz nałożę pomidora, raz nie i mnie zwalniają. Idę do sklepu, raz policzę produkty, raz nie, i znów mnie wywalają” – to typowy scenariusz. Bez wsparcia – czy to asystentek, leków (po 18. roku życia odpłatnych!), czy psychoedukacji – życie z ADHD może się stać pasmem porażek.

Z drugiej strony mamy takie historie jak Julii z Warszawy, która swoje ADHD odkryła dopiero w dorosłości. – Czytałam książkę o kimś, kto je ma. I psycholog

na terapii w ramach NFZ zasugerował, że ja też mogę to mieć – opowiada. Dla niej diagnoza była przełomem: – Zawsze myślałam, że wszyscy mają w głowie taki chaos. Leki dają mi spokój – jedną myśl naraz. Zalatwiam mnóstwo spraw, nie mam stanów depresyjnych. Jej córka, zdiagnozowana w siódmej klasie po latach chybionych opinii specjalistów, zdała w ubiegłym roku maturę na 100 proc. – Bez swojej diagnozy i wsparcia nie dałabym rady jej pomóc – mówi pani Julia.

Dropsiki dają wyniki?

Droga do rozpoznania ADHD w Polsce przypomina ruletkę. Moja rozmówczyni wspomina, jak w wieku dziewięciu lat odmówiono jej diagnozy w poradni psychologiczno-pedagogicznej, bo „jest za inteligentna i za ładnie prowadzi zesztyty”. – Dziewczynki są uczone grzeczności, więc ich ADHD nie objawia się wspinaniem na drzewa, a problemami z koncentracją. A jak się na czymś skupią, to na maksa – opowiada. To maskowanie sprawia, że wiele kobiet dostaje diagnozę dopiero w dorosłości, często po latach zmagania z depresją czy lękami, które są wtórne do nierozpoznanego ADHD. – Dziewczynki pod presją norm kulturowych starają się utrzymywać wzorową organizację, ale po dojrzeniu płciowym ich wysiłki mogą się załamać, prowadząc do nasilenia objawów, takich jak chaos czy trudności w koncentracji – ocenia dr Józwiak.

Dopiero psychiatra z własnym doświadczeniem ADHD dostrzegł u Julii objawy. – To nie była jedna wizyta, tylko pół roku chodzenia – podkreśla. Jej historia pokazuje, jak bardzo diagnoza zależy od kompetencji specjalisty. W Polsce, gdzie świadomość ADHD wśród psychiatrów i psychologów jest wciąż niska, wielu pacjentów pozostaje bez pomocy.

Sławomir Gadek, 35-letni inżynier z Wrocławia i prezes Stowarzyszenia Osób Dorosłych z ADHD „Attentio”, zna to z autopsji: – Byłem zdolnym dzieckiem, więc w szkole dawano mi taryfę ulgową. Ale miałem problemy z zachowaniem, więc stwierdzono, że jestem nadpobudliwy. Nauczyciele dostali zalecenie, żeby dawać mi dodatkowe zajęcia. I tyle – wspomina. Diagnozę otrzymał dopiero w wieku 28 lat, po długim czasie zmagania z napięciem, trudnościami w relacjach i pracy. – To przykład niemal podświadomym – komentuje dr Józwiak, ►

► wedle którego objawy u dorosłych często mają korzenie w dzieciństwie, choć mogą pozostawać niezauważone za sprawą nadopiekuńczych rodziców: – *Tacy wszystkiego pilnują: „Wyjmij zeszyty z tornistra, zacznij odrabiać lekcje, jak zapomniałeś, co zadane, to zadzwoni do Janka...”*.

Problemy stają się wyraźne, gdy struktura znika. Na przykład po wyjeździe na studia brak rutyny prowadzi do odwrócenia cyklu dobowego i niepowodzeń w nauce. Sławomir Gadek to potwierdza: – *Mnie uratowało to, że chodziłem uczyć się do biblioteki razem z kolegami, by utrzymać dyscyplinę, jakbym intuicyjnie chciał mieć swoją klasę. Ale bezformalnej diagnozy chaos narastał, zwłaszcza po wejściu w dorosłość*.

Czuł się osamotniony w swoich trudnościach, ponieważ otoczenie nie pojmowało jego perspektywy. Osoby zdrowe nie zdają sobie sprawy, jak funkcjonuje umysł człowieka z ADHD: 15 wątków naraz, mucha przelatująca obok staje się tak samo ważna jak wykład, który masz wygłosić. Dr Józwiak precyzuje: – *W istocie ADHD nie polega na braku uwagi. Raczej na trudności w jej regulowaniu, czyli na kierowaniu uwagą*.

Chociaż farmakoterapia lekami z grupy stymulantów redukuje objawy u wielu pacjentów, nie każdy musi je przyjmować. Mimo to lekarze zauważają, że większość woli „dropsika” (jak nazywają np. metylofenidat, którym zaczęto na świecie leczyć dzieci z ADHD już w połowie XX w.) zamiast żmudnej i kosztownej psychoterapii. – *Metylofenidat działa doraźnie. Bierzesz przed konferencją i przez trzy godziny jesteś skupiony* – mówi jedna z ekspertek. Jednak leki to tylko część układanki. Bez psychoedukacji i wsparcia środowiskowego efekty nie są tak dobre.

Dr Józwiak idzie dalej, krytykując systemowe podejście do leczenia. – *W poradni nie wystarczy jeden lekarz, który coś wie o ADHD. Potrzebni są psycholodzy, terapeuci traumy, uzależnień, dietetycy, coachowie ADHD* – wymienia. W swojej rozbudowanej praktyce stosuje niemieckie wytyczne, które łączą leki z psychoedukacją w zależności od nasilenia objawów. – *Przy łagodnej postaci wystarczy kurs życia z ADHD. W umiarkowanej – kurs i lek. Przy ciężkiej – najpierw jednak lek, bo psychoterapia nie zadziała* – tłumaczy. To podejście kontrastuje

z amerykańskim, które stawia na leki jako podstawę, ale polskie rekomendacje, zamieszczone jesienią 2024 r. w czasopiśmie „Psychiatria Spersonalizowana” (ich współautorem jest dr Tomasz Gondek) proponują różne ścieżki, w tym połączenie psychoterapii z leczeniem farmakologicznym.

Lipne testy

Wzrost zainteresowania ADHD ma jednak ciemną stronę. Schematy wywiadu diagnostycznego dla specjalistów (DIVA) krążą online i niektórzy próbują wypełniać je sami. – *Taki test jest nic niewart, bo wyjdzie na to, że 70 proc. populacji ma ADHD* – ostrzega dr Józwiak. Dlatego wymaga specjalisty do interpretacji. Pani Julia potwierdza, że profesjonalna diagnoza to proces. – *DIVA to 4-5 wizyt u psychiatry, nie zdalnie. Prywatnie niektórzy płacą 500 zł, dostają link do testu i na tej podstawie rozpoznanie. To za proste* – mówi.

Naciągane diagnozy podsycają narrację o modzie na ADHD, którą krytykuje prof. de Barbaro. Dr Gondek podkreśla, że rzetelne rozpoznanie wymaga minimum 1,5-godzinnego wywiadu, dlatego przy obecnych cenach prywatnych konsultacji pacjenci wolą wypełnić kwestionariusz w domu, bo chcą szybciej i taniej. – *Niektórzy lekarze to akceptują, co prowadzi do błędów* – ostrzega dr Gondek. Rzetelna diagnoza wymaga wielowymiarowej oceny, czego z kolei nie zapewniają tzw. diagnozy ADHD, ponieważ nie są w stanie przeprowadzić odpowiednich badań ani nie znają się dobrze na diagnostyce różnicowej, by móc wykluczyć inne zaburzenia lub stwierdzić ich współwystępowanie z ADHD (co w kolejnym kroku determinuje dobór odpowiedniego leczenia).

W Polsce zjawisko szybkich rozpoznań napędza TikTok i Instagram, gdzie młodzi ludzie szukają informacji. Tymczasem wedle dr. Gondka co najmniej połowa tych dotyczących ADHD jest w mediach społecznościowych błędna! Kiedy influencerzy stanowią główne źródło wiedzy, rodzi to ryzyko związane z brakiem krytycznej oceny informacji. Uproszczone postrzeganie ADHD przez niekompetentne osoby, które deklarują, że mają taką diagnozę, sprawia, że dla wielu ludzi ADHD staje się sposobem na wyjaśnienie życiowych trudności.

Z tego się nie wyrasta

Z powodu braku specjalistów i licznych nieścisłości w internecie źródłem wiedzy stają się też dla pacjentów książki o tym zaburzeniu. Choćby ostatnio wydane „Życie z ADHD – brakująca instrukcja obsługi” Olimpii Jenczek – praktyczny przewodnik, który prowadzi czytelników przez meandry poszukiwania diagnozy i podpowiada, jak odnaleźć się w nieprzychylnym świecie. Autorka sama jest pacjentką, ale swoje wskazówki czerpie z rozmów ze specjalistami; nie popełnia więc grzechu przypadkowych autorów, nazywanych samorzecznikami ADHD, których osobiste rady mogą prowadzić na manowce.

Pan Tomasz zrozumiał mechanizmy swojego mózgu po lekturze „Z tego się nie wyrasta – kompendium ADHD” Jarosława Józwiaka i Iwony Tarnowskiej-Ciosek: – *Książka pomogła mi uporządkować rzeczywistość i odróżnić ADHD od innych zaburzeń. Nauczyła, jak zarządzać swoim funkcjonowaniem, i nie czuję nawet potrzeby stosowania leków, bo sama świadomość mechanizmów ADHD wystarczyła, by poprawić jakość życia*.

Czy zatem ADHD bywa wśród dorosłych nadrozpoznowane? Może w tych przypadkach, gdy diagnoza opiera się na internetowym teście i pobieżnej wizycie. Jednak dla tysięcy dorosłych, którzy latami błędzili bez odpowiedzi, rozpoznanie to klucz do spokoju. Jak mówi Julia: – *Marzyłam, żeby nie mieć gonitwy myśli. Teraz mam jedną naraz. W Polsce, gdzie chaos w głowie wciąż myli się z brakiem charakteru, to już coś*.

PAWEŁ WALEWSKI

KUP TERAZ

Polecamy lekturę Poradników Psychologicznych dostępnych na sklep.polityka.pl

Emerytura pod palmami

Polscy emeryci, trochę jeszcze nieśmiało, ruszają na podbój świata. Bo chociaż nasze emerytury do wysokich nie należą, można dzięki nim przeżyć w krajach o przyjemniejszym klimacie, gdzie żyje się wolniej, bez stresu i taniej.



Agnieszka i Piotr Sutkowski w Maroku

AGNIESZKA SOWA

Magazyn „International Living” publikuje co roku listę państw, które są najlepszym miejscem na emeryturę dla obcokrajowców ze względu na klimat, pogodę, koszty utrzymania i łatwość funkcjonowania. Na pierwszym miejscu Panama, za nią Portugalia, Kostaryka i Meksyk. W pierwszej dziesiątce znalazły się też: Francja, Malezja, Grecja, Włochy i Tajlandia. I oczywiście Hiszpania, która wśród polskich emerytów jest najbardziej popularna. Wydaje się bezpiecznym wyborem, bo znajduje się na tym samym kontynencie, w dodatku na wschodnim wybrzeżu, na Costa Blanca i Costa del Sol, Polaków jest coraz więcej, co niektórym daje poczucie bezpieczeństwa.

Janusz i Grażyna (choć tak naprawdę Marta, która na potrzeby YouTube i Facebooka została „Grażyną”) wybrali Tajlandię. Janusz jest już pełnoprawnym emerytem, żonie brakuje jeszcze kilku lat, ale nie chcieli dłużej czekać. Grażyna bez żalu porzuciła karierę i bardzo dobre zarobki – kierowała zespołem księgowych w dużej korporacji. Janusz, filmowiec, miał jednoosobową firmę realizującą reportaże, filmy reklamowe, relacje z różnych wydarzeń dla firm. Na emeryturze w pewien sposób kontynuuje to, co było nie tylko zawodem, ale i życiową pasją. Dokumentuje ich tajlandzką przygodę, filmy wstawia na YouTube. Ich kanał ma już 11 tys. subskrybentów. – *Sprawia mi to frajdę i daje satysfakcję, nie chodzi o zarobek, zresztą to są jakieś grosze* – mówi.

Azję pokochali już wiele lat temu. Spędzali tu wszystkie urlopy; wyjeżdżali w listopadzie, grudniu czy w styczniu, żeby na kilka tygodni uciec od polskiej zimy. – *Za każdym razem, kiedy wracaliśmy z Azji, obiecywaliśmy sobie, że może to już ostatni raz, kiedy wsiadamy do tego samolotu, który nas przeniesie do szarej, zimnej deszczowej Polski, że następnym razem już nie będziemy musieli wracać* – opowiada.

Kiedy więc przyszedł ten moment, nie mieli żadnych wątpliwości. Początkowo myśleli o Malezji, która miała świetny program emerycki: „Malaysia My Second Home”. Ale z biegiem lat zmieniono jego warunki – trzeba było wykazać się posiadaniem naprawdę dużej kwoty, żeby można było otrzymać wizę – więc Malezja odpadła. Natomiast Tajlandia miała dla emerytów program wizowy, który był w zasięgu możliwości finansowych Janusza i Grażyny.

Drugi dom: Tajlandia

Nie tylko zresztą Malezja czy Tajlandia próbują przyciągnąć emerytów, oferując im specjalne programy wizowe, które mają ułatwić długie pobyty i zachęcić do przeprowadzki na stałe. Taką politykę prowadzi RPA, Kolumbia, Portugalia, Panama, Tajlandia, Hiszpania, Cypr i Kostaryka. Ostatnio dołączył też Mauritius, zapraszając także młodszych seniorów – już od 50. roku życia. Trzeba tylko mieć potwierdzony status emeryta i miesięczne dochody w wysokości co najmniej 1,5 tys. dol.

– *Tajlandia bardzo dba o emerytów* – podkreśla Janusz. – *Nie robi się przecież rosołu z kury, która znosi złote jaja, a tutaj ekspatów seniorów jest naprawdę dużo, zarówno z Europy, jak i z Ameryki Północnej, Australii czy Nowej Zelandii. To potężny zastrzyk finansowy dla tajskiej gospodarki.*

Co ważne, opieka zdrowotna w Tajlandii jest na bardzo wysokim poziomie. Kosztuje, to oczywiście, ale w Polsce Janusz i Grażyna też musieli płacić za wiele świadczeń. W Tajlandii mają prywatne ubezpieczenia.

Starannie wybrali miejsce dla siebie. Nad morzem, w najbardziej „europejskim” mieście Tajlandii. Hua Hin uchodzi za weekendowy kurort dla bogatszych ▶

► mieszkańców Bangkoku; jest trochę jak uzdrowisko, ze specyficznym klimatem, ale bez typowych dla Tajlandii turystycznych atrakcji. A to dlatego, że w tym 60-tysięcznym mieście nieopodal Bangkoku swój letni pałac miał poprzedni król. W ostatnich latach życia spędzał tu dużo czasu i nie życzył sobie, żeby w pobliżu były dzielnice rozrywki. W Hua Hin jest więc tylko parę nocnych barów.

– Przyjęło się, że to miasto emerytów, że tu się nic nie dzieje. I nam to odpowiadało – tłumaczy Janusz. Zresztą nie tylko im. W Hua Hin jest duża społeczność ekspatów, zarówno emerytów, jak i tzw. *digital nomads* – cyfrowych nomadów pracujących zdalnie.

Janusz i Grażyna są z Krakowa, mieszkali w centrum, więc wiedzą aż za dobrze, co to są imprezy non stop. W Tajlandii najpierw kupili małe mieszkanie. Jednak kiedy likwidowali swoje polskie życie, akurat wybuchła pandemia. Musieli trochę odczekać. Przylecieli do Tajlandii w 2021 r., kiedy uruchomiono Phuket Sandbox, czyli kwarantannę na wyspie Phuket. Potem mieszkanie zamienili na domek na osiedlu zamieszkałym niemal wyłącznie przez Skandynawów. Z siłownią i pięcioma basenami, które od kwietnia do października są właściwie do ich wyłącznej dyspozycji, bo Szwedzi i Duńczycy spędzają w Tajlandii tylko jesień i zimę.

Janusz ani razu nie był w Polsce, gdzie została trójka jego dzieci z pierwszego małżeństwa i piątka wnucząt. Grażyna poleciała dwa razy; były sprawy, których nie dało się załatwić online.

Kiedy przyjechali cztery lata temu, w Hua Hin mieszkali tylko dwa małżeństwa polskie, w dodatku oba mieszane. Dziś Polonia liczy kilkadziesiąt osób. Miasto ma piękną siedmiokilometrową plażę. – *Bardzo o nią dbamy, zarówno miasto, jak i my* – mówi Janusz. Na YouTube jest wiele jego filmów z porannych spacerów po plaży. To już taki rytuał. Jeśli nie jadą nigdzie na spacerkę, to dzień zaczynają właśnie od spaceru brzegiem oceanu. I przy okazji zbierają wszystkie napotkane śmieci. – *Jest tu dużo dzieci, więc znajdujemy mnóstwo zabawek. Zbieramy ich całe worki, myjemy, sortujemy i oddajemy do recyklingu dziecięcego. Przekazujemy Tajom, którzy zawożą je do przedszkoli.*

Ani razu nie pomyśleli, że podjęli złą decyzję. Oboje marzą, żeby niekoniecznie żyć długo, lecz za to w dobrostanie: spokojnie, bez stresu i w dobrym klimacie.



Janusz i Grażyna w Tajlandii

– *I uważamy, że miejsce, które wybraliśmy do życia, jest pod tym względem najlepsze.*

Pod niebem Kenii

– *Zaraz po ślubie postanowiliśmy, że jeżeli uda nam się szczęśliwie dożyć do emerytury, to zamieszkamy gdzieś w ciepłych krajach* – mówi Mariola Szydlik. – *Oboje nie za bardzo przepadamy za zimą, nie lubimy zimowych sportów, gór, kochamy za to ciepło i morze. Więc warunek przeprowadzki był taki, że klimat musi być rewelacyjny, najlepiej taki, żeby codziennie chodzić w klapkach i w sukience z krótkim rękawem albo w krótkich spodenkach.*

Tak padło na Kenię. Przypadkiem. Kiedy po raz pierwszy mieli się wybrać na bardziej egzotyczne wakacje, gdzieś poza Europę, mąż Marioli zakreślił globusem i puknął właśnie w Kenię. Polecieli. Pierwsze wrażenie było koszmarnie: pochmurno, duszne lotnisko w Mombasie, w powietrzu smród spalonej gumy. Ale już następny poranek w hotelu nad morzem tak ich zachwycił, że postanowili, że to w Kenii chcą spędzić emeryturę. I to mimo że w latach 90. kilka lat mieszkali we Włoszech. – *Powiedzieliśmy dzieciom, córce, synowi i synowej, że chcemy się zesterować w Kenii* – wspomina Mariola. – *Byli zaskoczeni, ale kibicują nam.*

I po dziewięciu latach od pierwszego pobytu w Kenii sprzedali dom, zapakowali wszystkie rzeczy do kontenera, wsiedli w samolot. Wcześniej przez internet kupili działkę nad morzem, żeby tam wybudować dom. Na miejscu jednak się okazało, że nie ma doprowadzonego prądu. Co zrobić? – *Pole pole, hakuna matata.* Powoli, powoli, nie ma co się zamartwiać, kiedyś przecież prąd podciągną. Na razie więc wynajmują dom na strzeżonym osiedlu,

zamieszkałym głównie przez Włochów. Co bardzo im odpowiada, bo znają włoski.

Nie mówią za to po angielsku ani w suahili. – *Rzuciliśmy się trochę na głęboką wodę, wyjechaliśmy, wiedząc niewiele o Kenii, nie znając języka* – przyznaje Mariola. Na szczęście w regionie Malindi, gdzie mieszkają, jest tak dużo Włochów, że włoski stał się praktycznie drugim językiem; uczą się go nawet dzieci.

Mariola z mężem Krzysztofem żyją tak, jakby żyli w Polsce. Pranie, sprzątanie, gotowanie, zakupy. Jeśli jest chwila wolnego, to idą na plażę, mają bliźniutko. Ale są jeszcze projekty, w które się angażują. Najpierw zbierali pieniądze na szkołę. Potem w wiosce Ngomeni spotkali Samsona, kenijskiego chłopca, który mając osiem miesięcy, złamał nóżkę, nie chodził. Założyli zbiórkę w internecie, dzięki której można było sfinansować operację chłopca. Przez trzy miesiące mieszkał u nich, bo stąd było bliżej do lekarza. Teraz zbierają na rozbudowę kolejnej szkoły.

No i Mariola pisze swoje książki. Po trzech częściach „Włoskich wycieczek” napisała trzy części „Pod niebem Kenii”. Czwarta właśnie powstaje. Kiedy ona pracuje albo uczy włoskiego kenijskie dzieci, mąż idzie na plażę. – *Morze, plaża, słońce, ta piękna zieleń, są bardzo ważne, ale przede wszystkim chodzi o to, że tu ludzie chodzą, spacerują, rozmawiają, uśmiechają się do siebie* – podkreśla Mariola. – *Tu łatwo nawiązuje się relacje, nawet przy problemach językowych. Nie jesteśmy już takimi introwertykami, jakimi byliśmy w Polsce. Czuję, jakbyśmy znowu mieli 20 lat. Wtedy nikt nie pytał, czy może przyjść, nie dzwonił, nie mieliśmy telefonów zresztą, po prostu się wpadało do znajomych. Herbatę z fusami parzyło się w szklance z metalowym uchwytem*

i była radość. I ta radość jest cały czas właśnie w Kenii. A w Polsce gdzieś uleciała.

Dar od losu

Agnieszka i Piotr Sutkowski nawet nie czekali na emeryturę. Ona już zresztą przeszła na wcześniejszą, resortową, bo pracowała jako pielęgniarka w areszcie więziennym. On, lekarz medycyny ratunkowej, tak ustawił sobie dyżury, żeby żona nie była cały czas sama w Maroku. Ale już zdecydowali, że to tam spędzą jesień życia. Maroko kochają, jeździli tam na niemal wszystkie urlopy od kilkunastu lat. – *Od pierwszego pobytu spodobał nam się ten kraj – wspomina Agnieszka. – Głównie dzięki ludziom, ich życzliwości, temu, że są uśmiechnięci, zawsze gotowi pomóc. No i życie jest proste. Obserwujemy od tylu lat Maroko, sam kraj się zmienił, wszystkie kraje się rozwijają i zmieniają, ale ludzie tu są cały czas tacy sami.*

Oboje czuli się tam jak w domu, więc jeden z ich marokańskich znajomych pokazał im kiedyś piękny *riad* do wynajęcia lub kupna, bo – jak powiedział – już czas, żeby się osiedlili, może nawet poprowadzili pensjonat. *Riad* to tradycyjny marokański dom lub pałac z wewnętrznym ogrodem lub dziedzińcem, w którym na środku jest fontanna albo basen. Posiadłości te są teraz najczęściej adaptowane na pensjonaty.

Następnego dnia, kiedy Agnieszka z Piotrem meldowali się w innym *riadzie*, usłyszeli od recepcjonisty, że skoro mają tak dużo marokańskich stempli w paszportach, może wreszcie tu zostaną. Uznali, że dwa znaki w ciągu dwóch dni to za dużo, żeby je zlekceważyć. I zaczęli szukać swojego miejsca na ziemi w Maroku. Po dwóch latach kupili koło As-Suwajry nie *riad*, tylko *dar*, dom, który ogród i basen ma na zewnątrz, wzdłuż frontowej ściany. – *Akurat mogłam przejść na emeryturę, 30 maja 2024 r. złożyłam wniosek, a 1 czerwca już lecieliśmy do Maroka* – opowiada Agnieszka. – *Całe wakacje robiliśmy remont i już na jesieni przyjechali pierwsi goście.*

Przyznaje, sama jest zaskoczona, że tak to się rozkręciło, ale działają od roku i cały czas wszystkie pokoje zajęte. To kameralny pensjonat, maksymalnie mogą przyjąć 11 osób. „Dar Ines”, czyli Dom Agnieszki. Choć oni myślą, że to „dar od losu”.

Niczego w Polsce nie likwidowali, nie sprzedali mieszkania, na wszelki wypadek, bo nigdy nie wiadomo, jak się życie potoczy. Więc Piotr, jak jedzie na dyżury, ma gdzie spać. – *Ale nie zamierzamy*



Mariola Wójtowicz podczas podróży po Kirgistanie

wracać – mówi Agnieszka. – *Zostaniemy tutaj na starość. Poza naszym synem już nikogo w Polsce nie mamy. Rodzice pomierali, a syn ma już swoje życie i mówi, że będzie do nas przyjeżdżał.*

Gdy człowieka nosi

Mariola Wójtowicz ma inny sposób na emeryturę i realizuje go od 2007 r. Ekonomistka z Krakowa przez ostatnie lata prowadziła własną firmę. Jeszcze w latach 70., kiedy szczytem podróżniczych marzeń Polaków była wycieczka do Jugosławii, postanowiła, że pojedzie do Australii. I w dniu, kiedy przeszła na emeryturę, siadła do komputera, zaczęła planować wszystkie etapy wyprawy, włączając do niej również Nową Zelandię. Wyprawy budżetowej – więc tym bardziej trzeba się było nagimnastykować. Kupiła bilet lotniczy dookoła świata. – *Wyjechałam pod koniec marca i musiałam uciekać przed zimą, czyli chciałam jak najwcześniej polecieć na południe Nowej Zelandii i potem się przemieszczać na północ, żeby za bardzo nie zmarznąć* – opowiada. – *To były wspaniałe 104 dni, trzy i pół miesiąca. Zrealizowałam te cele, które sobie dużo wcześniej wymyśliłam.*

Od tamtej pierwszej podróży zwiedziła na emeryturze 61 krajów i napisała 22 e-książki podróżnicze. Ostatnio na swoim profilu na Facebooku udostępniła

artykuł o dwóch amerykańskich seniorkach, które pojechały w podróż dookoła świata, by uczcić 80. urodziny. „To jeszcze trochę czasu mam” – skomentowała. Ma przecież dopiero 73 lata.

W pierwszych latach podróżowania wyruszała na kilka miesięcy. Wtedy najczęściej odbywała jedną, czasem dwie eskapady rocznie. Najdłuższa trwała cztery miesiące. Teraz model podróżowania trochę się zmienił, bo – przyznaje – nie wie, czy byłaby w stanie tak długo być w drodze. – *To jednak jest wysiłek fizyczny, nie da się ukryć* – mówi. – *Mam też świadomość, że to nie będzie trwało wiecznie.*

Teraz więc wyjeżdża na krócej, na 3–4 tygodnie, za to częściej. – *To zależy, jak bardzo mnie nosi* – śmieje się. Jedno się nie zmieniło. Zawsze podróżuje sama. – *Bo czasem w drodze musisz podejmować szybkie decyzje – wyjaśnia. – A w grupie trzeba uwzględnić chęci, potrzeby, samopoczucie wszystkich osób. Więc trudno jest się dopasować.*

Rodzina i znajomi już się przyzwyczaili. Nie mieli wyjścia. Mariola nie przygotowuje się specjalnie fizycznie do tych eskapad. Jednak w 2019 r., tuż przed wybuchem pandemii, pomyślała, że powinna trochę popracować nad kondycją i wydolnością fizyczną, więc zapisała się na zajęcia organizowane przez centra aktywności seniorów. Taniec, zumba, fitness. Samo podróżowanie też, może nie tyle odmładza, co pomaga zachować dobrą kondycję. – *Nie mam czasu myśleć o tym, że ten PESEL jest taki, jaki jest* – mówi. – *A przy tym zauważyłam, że pewnych dolegliwości, które każdy w tym wieku ma, na wyjazdach nie odczuwam.*

Słynne reklamy OFE emitowane pod koniec lat 90. obiecywały Polakom emerytury pod palmami. I choć z biegiem lat Fundusz wygaszono, a przeciętna emerytura nie wystarcza na luksusowe życie ani w Polsce, ani w ciepłych krajach, marzenia o palmach pozostały. W ich realizacji, jak się okazuje, bardziej niż pieniądze potrzebne są odwaga i determinacja.

AGNIESZKA SOWA



Wszystkie teksty i wywiady, które do tej pory ukazały się w cyklu „Odchodzić po ludzku”, znajdują Państwo w specjalnej zakładce na naszej stronie: www.polityka.pl/odchodzicpoludzku Zachęcamy też do dzielenia się z nami swoimi doświadczeniami: akcja@polityka.pl



Drugi świat

Rozmowa z Marcinem Wojdakiem, fotografikiem, autorem książki „Goodbye Gierek” o znikających ostatnich reliktach PRL.



JOANNA PODGÓRSKA: – **Nazwał pan swoją książkę rezerwatem. Dlaczego?**

MARCIN WOJDAK: – Mam świadomość, że bardzo duża część miejsc, które odwiedziłem i sfotografowałem, nie figuruje w żadnym rejestrze zabytków czy bazy architektury powojennego modernizmu i nie będzie objęta ochroną konserwatorską. Zresztą nie wszystkie na nią zasługują. Może się więc okazać, że ta moja dokumentacja miejsc, które swoją aurą, klimatem i architekturą tworzą skansen PRL, będzie jedyną przestrzenią, w której one przetrwają. Taki był mój zamysł i taka moja rola. Uwiecznić te znikające przystanki, pawilony, dworce, parkingi – niepozornych bohaterów końca analogowej Polski. Ten peerelowski klimat rozciągnął się jeszcze na lata 90., a i w latach dwutysięcznych ciągle jeszcze sporo było sklepów Społem, starych kiosków RUCH-u, barów mlecznych czy budek telefonicznych. Infrastruktura PKP, PKS też pozostawała w stanie hibernacji. Dopiero wstąpienie Polski do Unii i napływ olbrzymich środków sprawiły, że te relikty zaczęły znikać w zastraszającym tempie. Nie oceniam tego w żaden sposób; po prostu tak jest. Chciałem zdążyć je uwiecznić, zanim znikną całkowicie.

Praca nad książką to był wyścig z czasem. Największa przegrana?

Takich miejsc było sporo. Na przykład nietypowy budynek na terenie kompleksu szkoły lotniczej w Dęblinie. Była w nim stołówka, izba pamięci i sale dydaktyczne; a w tych wnętrzach mozaiki i murale o tematyce lotniczej. Próbowałem się tam dostać, ale to nie było takie proste; tym bardziej od kiedy zaczęła się wojna w Ukrainie, bo to obiekt wojskowy. Zaczął się remont, wnętrza zmieniły oblicze, a mozaik i murali chyba nikt nie udokumentował. Nie mam też dobrych zdjęć z wnętrza takiego typowego pociągu pospiesznego, z przedziałami, brązowymi zasłonami i aluminiowymi popielniczkami między fotelami. Niestety, ciekawych przykładów powojennego modernizmu, które zniknęły, jest cała masa. Dla mnie fotografowanie tych relikтів to także odtrutka na rzeczywistość; rzeczywistość przepełnioną bodźcami, social mediami, milionem komunikatów, całej tej dynamicznej codzienności. Wchodzę w takie zakonserwowane miejsca, jakies stare przystanki autobusowe, bary, w których

Pozostałości po kawiarni Jaskinia w Knurowie. Największą atrakcją była sala pod wodą.



Hotel Tatry w Małym Cichym. Powstał w 70. latach dla członków Rady Ministrów. Dla śmiertelników niedostępny. Dzisiaj zawsze znajdzie się wolny pokój.

już prawie nikt nie bywa, czy leżący nad Wisłą Śmiałą jachtklub Stoczni Gdańskiej z oryginalnie zachowanymi wnętrzami, jak do oazy spokoju. To taki kojący przystanek we współczesnym pędzie. Trochę terapeutycznie to traktuję.

Wyburzenie Nowego Domu Poselskiego przy Sejmie zostało na razie wstrzymane. Posłowie narzekają, że czują się tam jak w skansenie. Warto go ocalić w jakiejś formie czy machnąć ręką?

On ma bardzo ciekawą bryłę architektoniczną z zewnątrz. Fajne są też przestrzenie wspólne – główne lobby, łącznie z legendarnym Barem za Kratą i restauracją sejmową. Jeśli chodzi o pokoje, to absolutnie należy im się remont. Co ciekawe, mimo że to jest miejsce w centrum uwagi, powszechnie znane, przynajmniej w światku dziennikarskim, nie ma ono porządnej dokumentacji czy opracowania architektonicznego. Ja w każdym razie nie znalazłem go w dostępnych źródłach.

Stosunek do socmodernistycznej architektury chyba się zmienia. Supersam czy pawilon Emilii bezmyślnie zdestawowano. Rotundę warszawską niedawno wyburzono, ale odtworzono od nowa.



Marcin Wojdak, fotograf i pisarz, twórca instagramowego profilu Cosmoderna. Od lat podróżuje po Polsce i krajach byłego ZSRR, dokumentując osiągnięcia socrealizmu. Autor książki „Ostatni turnus”.

Moim zdaniem ona została odrestaurowana w niefortunny sposób. Ale pawilon Cepelii, w którym obecnie jest Empik, po remoncie wygląda całkiem w porządku. Myślę, że jako społeczeństwo jesteśmy coraz bardziej świadomi, że w czasach PRL powstawały nie tylko koszmarki, ale też całkiem niezła architektura. Minęło już wystarczająco dużo czasu, żebyśmy nabrali dystansu do tego okresu, zacierają się odium PRL jako czegoś wyłącznie złego, a w to miejsce wchodzi sentymenty. To nie zmienia faktu, że nie wszystkie

najciekawsze obiekty będą chronione, ale jakaś ich część. To trochę jak z maluchami, polskimi Fiatami czy Polonezami. Z najbardziej obciachowych uczestników ruchu drogowego te ocalałe i odrestaurowane zmieniły się w atrakcję. Trzeba się po prostu pogodzić, że z danego okresu historycznego zostaje – no nie wiem – kilka czy kilkanaście procent dziedzictwa. Być może nie da się tego przeskoczyć. Gdy oglądam jakieś miejsce, to nie utyskuję, że zaraz może zniknąć, tylko koncentruję się na tym, żeby je udokumentować. Na okładce mojej książki jest zdjęcie sali plenarnej Urzędu Miasta w Gryficach; dosyć niezwykłej. Niedługo będzie tam remont, bo okna są nieszczelne, a cała aparatura związana z prowadzeniem obrad mocno odstaje od współczesnych standardów. Nie wiem, ile z wystroju ocaleje, ale to rozumiem. Dziś liczy się rachunek ekonomiczny. Dlatego jedynie namawiam moich czytelników, by jak najszybciej odwiedzili takie miejsca.

Ale opisuje pan też miejsca absolutnie niezwykle, które zniknęły. Jednak żal.

Jedno z nich to dawny ośrodek wypoczynkowy Żar w Międzybrodziu Żywieckim, położony u podnóża góry, ►

► na której szczycie znajduje się zbiornik retencyjny elektrowni Porąbka – Żar. Tuż obok ośrodka znajduje się pas startowy dla szybowców, a na jego dachu wieża kontroli lotów. Jeszcze do niedawna można tam było wynająć pokój za naprawdę śmieszne pieniądze. Teraz już nie funkcjonuje, został zamknięty i będzie pewnie przebudowany.

Drugie takie miejsce to jedyna w Polsce podwodna kawiarnia Jaskinia, położona w stawie obok kopalni węgla kamiennego w Knurowie. Na Górnym Śląsku czy w Zagłębiu było to miejsce znane. Pojawiło się nawet w jednej z ogólnopolskich kronik filmowych. Niestety do dzisiaj nie zachowało się wiele informacji na temat post-transformacyjnych losów kawiarni. Prawdopodobnie została zamknięta ze względu na słaby stan przestrzeni znajdującej się pod wodą. Może swój udział miały też normy sanitarne albo przekształcenia własnościowe. Po zamknięciu popadła w totalne zapomnienie. To w pewnym sensie fascynujące, że tak niezwykle miejsce może po prostu zniknąć z radaru i świadomości ludzi. A trochę przestroga dla współczesności, że nic nie jest trwałe.

Z jednej strony mamy modę na PRL, ówczesne wzornictwo, liternictwo, neony, a z drugiej znikają miejsca o sporej wartości estetycznej.

Jak to pogodzić?

Myślę, że to jest kwestia skali. W Warszawie np. został odrestaurowany i uruchomiony ponownie neon Siatkarki. Pawilon Cepelii został otwarty w nowej funkcji. Cały kompleks wypoczynkowy Ustroń-Zawodzie został wpisany do rejestru zabytków, co pozwoli zachować jego niezwyklej architekturę. Ale w tym samym Ustroniu, tylko innej dzielnicy, w Jaszowcu, też powstało wspaniałe założenie architektoniczne składające się z ośrodków i pawilonów handlowych. Niedawno część z nich została wyburzona, ośrodki przebudowane i dawny zamysł jest coraz mniej widoczny. Tu ochrony nie ma. Wspaniała architektura zniknie. Na kilka pozytywnych przykładów przypada cała masa negatywnych. Kiedy następuje jakaś transformacja, zmiana gospodarcza, zmiana sposobu funkcjonowania, no to tak ta proporcja musi wyglądać. Przecież wszystkich średniowiecznych zamków czy barokowych pałaców też nie udało się zachować. Nie myślę o tym z jakimś wielkim rozgoryczeniem, pogodziłem się z tym.



Od lewej: willa z „Wielkiego Szu”, Wrocław, bar Sielanka na Górnym Śląsku, ośrodek Żar na Żywiecczyźnie

Częścią mody na PRL są też takie miejsca, jak restauracja Lotos czy bar Gruba Kaśka z długą historią i wystrojem stylizowanym na tamte czasy. Trafił pan na prowincji na takie miejsca, gdzie czas naprawdę się zatrzymał?

Tak. Jednym z nich jest restauracja Sielanka na Górnym Śląsku, która funkcjonuje nieprzerwanie od kilkudziesięciu lat. Pewnie zmieniły się w tym czasie obrusy czy krzesła, ale nadal jest to miejsce absolutnie autentyczne i popularne wśród miejscowych od wielu lat. Nie trzeba go stylizować czy podkreślać klimatu. Takie miejsca nie są modne; one po prostu są. Taki jest też pospółemowski bar Podkarpacki w miejscowości Niebylec. Wszedłem i nie mogłem uwierzyć w to, co widzę. Nawet stare ceraty na stołach tam zostały. Skojarzyło mi się to z Dzikim Zachodem. W Stanach na początku XX w. na Wschodnim Wybrzeżu jeździły tysiące samochodów, funkcjonowało metro, rosły drapacze chmur, a w tym samym czasie, kilka tysięcy kilometrów na zachód, w Nevadzie ludzie przyjeżdżali konno do saloonu. Tutaj kontrast ze współczesnością jest porównywalny. Takich miejsc jest już bardzo mało, dlatego uznałem, że temat wart jest sfotografowania. Może za nie tak długi

czas nadejdzie moment, gdy będziemy fotografować klimat lat 2000. – wszystkie te galerie i hipermarkety. Będą zmieniać funkcje, część pójdzie do wyburzenia. Staną się nieeliczne i warto się będzie nimi zainteresować.

Pisze pan: „W brudzie i syfie nie-zmodernizowanych dworców kolejowo-autobusowych jest jakiś magnetizm i trudny do zdefiniowania urok”. Faktycznie, trudny. Dworców chyba nam nie będzie szkoda?

Obiektywnie rzecz biorąc, nie. Modernizacje są jak najbardziej pożądane. Ale subiektywnie myślę sobie, że przez te bilety kupowane w aplikacjach, z dostępem do internetu w pociągach, gdzie wszystko jest bardzo poukładane i nowoczesne, podróżowanie zostało odarte z pewnego romantyzmu. A częścią tego romantyzmu były dworce, gdzie rozkład jazdy sprawdzało się u pani w okienku informacji albo wskakiwało do pociągu na gapę, żeby dojechać gdziekolwiek. Ja to traktuję trochę jak rezerwuar wspomnień. Gdy trafiam na stary dworzec – najczęściej taki w stanie niemal agonialnym – to jakbym przenosił się do czasów minionych; do świata, gdzie wszystko nie jest jeszcze zautomatyzowane, ujęte w aplikacje i hashtagi. Ja po prostu lubię tę analogową przestrzeń;

© MARCIN WODAK (4)



i wiata przy parkingu Raszówka koło Kielc. Ta ostatnia jest przykładem „obiektu bez historii”. Autor książki nie znalazł żadnej dokumentacji na jego temat.

lubię się na jakiś czas w niej zanurzyć, chociaż nie chciałbym w niej żyć.

Ostatnio powstało sporo filmów i seriali osadzonych w peerelowskich realiach. Może część miejsc przetrwa jako plany zdjęciowe?

W ostatnich kilku latach miałem mnóstwo pytań od firm zajmujących się produkcją sesji zdjęciowych czy scenografów szukających lokacji do filmów, których akcja rozgrywa się w czasach PRL. A ponieważ takich miejsc jest już niewiele, popyt na nie jako plany filmowe bardzo się zwiększył. To pokazuje, jak szybko i kompleksowo zmieniła się nasza rzeczywistość. Gdyby ktoś chciał nakręcić film o życiu na osiedlu w latach 70., to może się okazać, że na słynnym Ursynowie zostały dwa nieocieplone bloki, które i tak są dokładnie obstawione samochodami, bo stare place zabaw zmieniono w parkingi. Trzeba naprawdę skrupulatnie szukać, mimo że tych blokowisk w Polsce było parę tysięcy. O wnętrza trochę łatwiej, ale tylko trochę. Jest taki ośrodek w Wildze pod Warszawą, w którym powstało już chyba z siedem czy osiem filmów. Zagrał stołówkę, salę konferencyjną, a nawet dyskotekę. Podobnie ośrodek Posejdon w Jastarni czy wnętrza Instytutu Chemii w Warszawie.

Udało się panu znaleźć dom, w którym Wielki Szu wygrał Porsche w pokera. Z zewnątrz wygląda tak jak wtedy.

Z zewnątrz tak, ale wewnątrz nie fotografowałem, bo to dom prywatny. Choć wiedać, że charakterystyczna palma, która w filmie robiła ogromne wrażenie, wciąż rośnie w oranżerii. W tym przypadku nie tylko architektura mnie interesowała. „Wielki Szu” to jeden z moich ulubionych filmów. Mogę go oglądać codziennie. 20 lat temu pojechałem pociągiem do Wambierzyc, gdzie rozpoczyna się jego akcja. Hotel PTTK, w którym zatrzymał się Szu, grany przez Jana Nowickiego, nadal istniał. Wynająłem pokój i – tak jak Szu – chciałem w recepcji kupić karty. Niestety, nie mieli, ale były obok, w kiosku RUCH-u. 20 lat temu mogłem fotografować hotel, pociąg, przedziały i inne miejsca, które wyglądały niemal tak samo jak w filmie. No a teraz poza hotelem Victoria w Warszawie – i to też o zmienionych wnętrzach i nazwie – prawie nic z plenerów filmowych nie zostało. Dlatego tak się ucieszyłem, gdy trafiłem na tę willę. Chciałem pójść tym tropem i znaleźć inne przykłady drogich i ekscentrycznych domów prywatnych z tamtych czasów, ale tu też rozwój gospodarczy naszego kraju odciśnął silne piętno.

Pisze pan, że podróżuje raczej bez planu, na intuicję. Najdziwniejsze przypadkowe odkrycie?

Może nie najdziwniejsze i nie aż tak spektakularne, ale takie, które wywołało we mnie wiele silnych emocji. To był taras widokowy nad niewielkim Jeziorem Rosnowskim, 20 km na południe od Koszalina. Prosty budynek, betonowy piętrowy taras z daszkiem znajdujący się obok parkingu wyłożonego trylinką, zniszczony stary chodnik. Wszystko trochę krzywe, niedoskonałe, niewydarzone, pokryte patyną. Miejsce jakby wyjęte spoza narysowanej pod linijkę współczesności świata dróg krajowych, autostrad, wielkich oświetlonych stacji benzynowych z automatycznymi toaletami i restauracjami. A tu – miejsce postoju, gdzie podczas podróży nad morze zatrzymywano się, by zjeść zrobioną w domu kanapkę. Nie wiedziałem, że ono istnieje, zobaczyłem je z trasy. To wtedy wpadłem na pomysł przygotowania przewodnika po rzeczywistości, która istnieje już tylko w okrucinach, fragmentach. Trochę tak, jakby podróżując po Polsce, otwierać czy tylko w konkretnych miejscach i nie wiedzieć, który jest rok. 2025 czy może 1978 albo 1995?

ROZMAWIAŁA JOANNA PODGÓRSKA



Tanie linie, drogi bagaż

CEZARY KOWANDA

Część linii każe sobie słono płacić za większy bagaż podręczny, a nawet drobne przekroczenie limitów surowo karze tuż przed odlotem. Pasażerowie liczyli na pomoc Unii Europejskiej. Niestety jej propozycje rozczarowują.

O

d wiosny podróż liniami Ryanair wielu pasażerom podnosi ciśnienie – zwłaszcza w momencie boardingu, czyli skanowania kart pokładowych tuż przed wejściem na pokład. Pracownicy irlandzkiej linii zaczęli bagażową ofensywę, której przewoźnik nawet nie ukrywa. Skrupulatnie sprawdzają, czy podręczny bagaż podróżnych nie jest przypadkiem za duży. Mierzone są



na maksymalnie 40 × 20 × 25 cm. Natomiast Wizz Air okazał odrobinę więcej hojności – u niego wymiary to 40 × 30 × 20 cm. Śladem obu przewoźników szybko podążyły inne działające w Europie linie niskokosztowe jak easyJet, Transavia czy Volotea.

Oficjalna argumentacja przewoźników jest następująca: na pokładach samolotów nie ma miejsca w schowkach nad głowami pasażerów, aby przewieźć tyle walizek kabinowych, ilu jest podróżnych. Taki większy bagaż podręczny może zabrać maksymalnie połowa wszystkich pasażerów – kto zatem go potrzebuje, ten musi dopłacić. Każdy może za to wziąć mały plecak, jeśli ten mieści się pod poprzedzającym fotelem. W rzeczywistości chodzi jednak także o pieniądze. I to niemałe. Linie zwane tanimi starają się od lat kusić podróżnych biletami w atrakcyjnych cenach, a następnie sprzedawać im wiele usług dodatkowych. Kiedyś stanowiły one niewielki dodatek, dzisiaj mogą okazać się nawet droższe od samego biletu. Zwłaszcza gdy chcemy wziąć większy bagaż podręczny (nie mówiąc o tym rejestrowanym, który stał się prawdziwym luksusem) oraz siedzieć obok osób, z którymi podróżujemy (w przeciwnym razie linie podczas odprawy online uwielbiają nas rozsadzać).

Jak wynika z danych Ryanaira za ostatni rok, średnia cena samego biletu wynosiła 46 euro, ale dodatkowe 24 euro od osoby przewoźnik zarobił dzięki sprzedaży wszystkich usług dodatkowych – przede wszystkim większego bagażu i wyboru miejsca. Dla Ryanaira takie przychody stanowią już 34 proc. wszystkich pieniędzy płaconych przez pasażerów. Tendencja jest rosnąca. Jeszcze skuteczniejszy jest Wizz Air, który uzyskuje w ten sposób średnio 37 euro od podróżnego, a usługi dodatkowe to aż 45 proc. całości przychodów węgierskiego przewoźnika. Jednak niepojętym apetyt linii lotniczych wzbudza kontrowersje. Zwłaszcza od 2014 r., gdy Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej w swoim wyroku uznał, że pasażer ma prawo bez dopłat zabrać na pokład bagaż podręczny rozsądnej wielkości i masy. Niestety Trybunał nie sprecyzował, co rozumie pod pojęciem „rozsądny”.

Według linii niskokosztowych obecne regulacje są uczciwe, a ustalone rozmiary pozwalają wziąć ze sobą bez dopłat rzeczy pierwszej potrzeby. Inaczej sądzi hiszpański rząd. Tamtejszy minister Pablo Bustinduy, zajmujący się m.in. ochroną konsumentów, nałożył w ub.r. na wielu przewoźników kary wynoszące łącznie ponad 150 mln euro. Największą część z nich – ponad 100 mln – ma zapłacić Ryanair. Jednym z zarzutów ministra było zmuszanie pasażerów do płacenia za bagaż podręczny. Szef Ryanaira, ekscentryczny Michael O’Leary, nazwał hiszpańskiego polityka komunistą, a na jednej z konferencji prasowych pokazał go na zdjęciu jako klauna. Trudno się dziwić jego wściekłości, bo gdyby udało się zmusić linie do przyjmowania na pokład dużego bagażu podręcznego bez dopłat, straciłyby istotne źródło wpływów. Przewoźnicy straszą, że w takiej sytuacji podniosą ceny biletów dla wszystkich, żeby powetować sobie straty. Na razie próbują wykorzystać procedury odwoławcze i cenników nie zmieniają.

Linie przestraszyły się nie tylko hiszpańskiego ministra, ale też sądu w Salamance, który kazał Ryanairowi zwrócić łącznie ok. 150 euro pobrane od jednego z pasażerów za bagaż podręczny (chodziło o kilka lotów). Położenia podróżnych nie poprawia to, że linie niskokosztowe nie potrafią się porozumieć ►

zarówno plecaki, jak i pokładowe walizki. Wystarczy niewielkie przekroczenie dopuszczalnych wymiarów, aby pasażer stanął przed alternatywą: płaci karę (niemal 300 zł) albo po prostu nie leci. Reakcje podróżnych są różne – jedni bez słowa akceptują sankcje, inni próbują prosić o litość, a niektórzy po prostu kłócą się z pracownikami. Sam Ryanair twierdzi, że nie zmienił wcale dopuszczalnych wymiarów, tylko zaczął wreszcie egzekwować własne reguły. Przez lata bowiem przyrzucał oko na pasażerów, którzy brali nieco za duże plecaki czy walizki.

Spory przy bramkach dotyczą zarówno małego, jak i dużego bagażu podręcznego. Samo to, że istnieje takie rozróżnienie, pokazuje niebywałą pomysłowość linii lotniczych popularnie, chociaż nie zawsze poprawnie, zwanych tanimi. Ryanair i Wizz Air, dwaj liderzy na większości polskich lotnisk, już w 2018 r. znaleźli sposób na dodatkowy zarobek. Wymyślili, że niewielka walizka kabinowa, zabierana dotąd na pokład bez żadnych dopłat, stanie się dużym bagażem podręcznym. Żeby mieć ją ze sobą, trzeba będzie dodatkowo zapłacić. Można oczywiście nadać ją w punkcie odpraw, ale wtedy jej przewóz będzie... jeszcze droższy. Wymiary takiej walizki lub torby nie mogą przekroczyć 55 × 40 × 20 cm (w liniach Wizz Air 23 cm). W cenie biletu pozostanie natomiast tylko mały bagaż podręczny, w praktyce niewielki plecak czy torba. Ryanair ustalił wymiary takiego przedmiotu

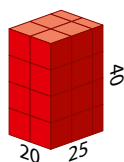
Ile się zmieści?

📦 Wymiary bezpłatnego bagażu podręcznego (cm)

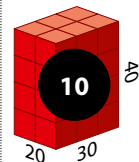
● Maksymalna masa bezpłatnego bagażu podręcznego (kg)

Ryanair

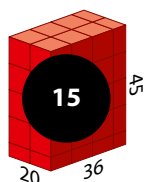
waga
nieokreślona



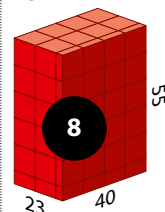
Wizz Air



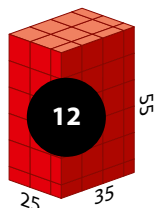
easyJet



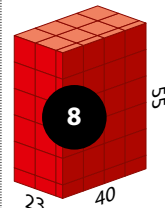
LOT



Air France/KLM



Lufthansa



ZRÓDŁO: LINIE LOTNICZE

INFOGRAFIKA LECH MAZURCZYK

► i wprowadzić wspólnego standardu bezpłatnego bagażu. Wymiary się różnią, co dezorientuje pasażerów. Plecak reklamowany w sklepach jako idealny do krótkich wycieczek lotniczych może być akceptowany przez jedną linię, ale inna uzna go za zbyt obszerny. Klótnie przy bramkach dotyczą też małych walizek kabinowych, bo gdy jedna linia toleruje lekko przekraczające dopuszczalne wymiary kółka czy rączkę, inna jest już bezwzględna.

A do tego krążą pogłoski, że pracownicy przy bramkach dostają prowizje, gdy złapią tych, których bagaż jest minimalnie za duży. Sami podróżni skarżą się, że pojemniki do kontroli na lotniskach mają zaniżone wymiary, a cała procedura zakrawająca na farsę to po prostu próba wyciągnięcia dodatkowych pieniędzy od osób przerażonych perspektywą spóźnienia na odlot. Problemom z bagażem przygląda się Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumentów, który po licznych skargach pasażerów wszczął w połowie czerwca postępowanie wyjaśniające w sprawie praktyk stosowanych przez linie Wizz Air i Ryanair.

Nic dziwnego, że wszyscy czekają na unijne regulacje, które miałyby rozstrzygnąć spory. Niedawno skargę na siedem niskokosztowych linii do Komisji Europejskiej złożyło kilkanaście organizacji z całej Europy broniących praw klientów. Jest wśród nich polska Federacja Konsumentów. – *Uważamy, że linie lotnicze nie powinny w ogóle pobierać opłat za bagaż podręczny. W swojej pogoni za zyskiem przekraczają granice zdrowego rozsądku. Do tego ustalają absurdalnie wysokie kary, zupełnie niewspółmierne do wykroczenia, jakim jest chęć zabrania na pokład torby*

odrobinę większej od tej określonej w wewnętrznych regulacjach. A te przecież są podważane przez europejskie sądy – zwraca uwagę Monika Kosińska-Pyter, prezeska Federacji Konsumentów.

Okazją do posprzątania tego bagażowego bałaganu może być reforma unijnego rozporządzenia dotyczącego praw pasażerów. Niedawno ogłoszono kompromis zawarty między państwami członkowskimi i Komisją Europejską. Dla polskiej prezydencji to powód do dumy, chociaż krytyczne stanowisko wobec reformy wyrazili m.in. Niemcy, Portugalczycy i Hiszpanie. Niestety efekty tego porozumienia okazują się dla pasażerów bardzo rozczarowujące. Projekt nowego rozporządzenia co prawda wprowadza, po raz pierwszy w Unii, minimalne wymiary bezpłatnego bagażu podręcznego. Jednak miałyby one wynosić zaledwie 40 × 30 × 15 cm.

– *To nawet mniej niż dziś oferuje większość linii niskokosztowych. Pasażerowie liczyli z pewnością na to, że unijne regulacje zmuszą przewoźników do przywrócenia darmowego dużego bagażu podręcznego. Natomiast linie lotnicze miały nadzieję, że ich dotychczasowa praktyka zostanie usankcjonowana. Ta propozycja jest zdecydowanie po myśli przewoźników. Pojawia się również pytanie, co zrobią tzw. tradycyjne linie, jak LOT czy Lufthansa. One, nawet w najtańszych taryfach, na razie pozwalają zabierać walizki kabinowe bez żadnych dopłat. W ten sposób korzystnie wyróżniają się na tle linii niskokosztowych – mówi Mariusz Piotrowski, szef działu publicystyki w serwisie lotniczym fly4free.pl.*

Projekt nowego lotniczego rozporządzenia mającego obowiązywać w całej Unii jest ostro krytykowany nie tylko z powodu usankcjonowania prawa linii do podziału bagażu podręcznego na płatny większy i bezpłatny mniejszy (czy wręcz bardzo mały). Przewoźnicy mieliby płacić odszkodowanie pasażerom w przypadku opóźnienia samolotów powyżej nie, jak teraz, trzech, ale dopiero czterech godzin. Cała nadzieja w Parlamencie Europejskim, który musi jeszcze zgodzić się na proponowane zmiany. Dotąd to właśnie wielu europarlamentarzystów ujmowało się w swoich interpelacjach i wystąpieniach za pasażerami. Wkrótce okaże się, czy w ramach negocjacji z Komisją Europejską zdołają oni chociaż trochę powiększyć darmowy bagaż podręczny.

Co zatem pozostaje pasażerom? Przede wszystkim uważne pakowanie się, ale także porównywanie ofert. – *Zawsze zachęcamy, aby ci, którzy potrzebują większego bagażu czy chcą siedzieć obok siebie w samolocie, sprawdzali ceny zarówno w liniach niskokosztowych, jak i tradycyjnych. Nierzadko okazuje się, że po doliczeniu wszystkich dodatkowych opłat to właśnie te drugie okazują się tańsze – radzi Mariusz Piotrowski z fly4free.pl.*

Taryfowy chaos pogłębia jeszcze taktyka linii takich jak Ryanair i Wizz Air, które większy bagaż podręczny określają jako element usługi Priority Boarding czy Wizz Priority. A koszt takiego udogodnienia bywa bardzo różny. Na przykład Ryanair liczy sobie od 6 do nawet 36 euro (w zależności od trasy i daty lotu) w momencie rezerwacji, a jeszcze więcej przy późniejszym zakupie. Za to w Wizz Air zabranie kabinowej walizki może kosztować nawet 60 euro. Na razie w obu liniach trwa wychowywanie pasażerów, a wzmożone kontrole i drakońskie kary mają zdyscyplinować podróżnych. Szkoda, że ci tym razem nie mogą liczyć na wsparcie większości rządów i Komisji Europejskiej. Na lobbingu w Brukseli tanie linie z pewnością nie oszczędzają.

CEZARY KOWANDA



© LESZEKZYCH (2)

Recepty na ciężkie czasy

Już po raz 14. POLITYKA wyróżniła firmy, które najlepiej zarządzają kwestiami ESG.

Od lewej: tegoroczni laureaci Listków ESG POLITYKI. Filip Springer, reporter, gość specjalny gali.

Uroczysta gala wręczenia Listków ESG odbyła się w redakcji POLITYKI. W tej edycji przedsiębiorstwa oceniano według nowych, znacznie zaostrzonych kryteriów. Nie wystarczyło samo wypełnienie ankiety, trzeba też było przedstawić dowody na przyjęcie dobrych praktyk. – *Podnieśliśmy poprzeczkę. Pytania zostały skonstruowane tak, by dostarczać zero-jedynkowych odpowiedzi i ograniczyć przestrzeń do interpretacji. Zapewniło to wyższą precyzję oceny i zwiększyło satysfakcję z odniesionych sukcesów* – powiedziała Aleksandra Stanek-Kowalczyk z firmy doradczej EY, partnera merytorycznego konkursu. Spośród 54 firm, które wypełniły ankietę zestawienia listków ESG POLITYKI, dyplomy odebrali przedstawiciele 11 najwyższej ocenionych.

ESG to zbiór obowiązujących w Unii Europejskiej regulacji i standardów, firmy muszą je wdrażać i raportować. Ich przyjęcie kilka lat temu było wyrazem europejskiej wiary w pogodzenie zrównoważonego rozwoju z działalnością gospodarczą. Teraz nastroj się zmienia. O politycznym tle tej zmiany mówił redaktor naczelny POLITYKI Jerzy Baczyński. Zauważył, że wynik niedawnych wyborów prezydenckich przypisywany jest przeniesieniu do Polski, idącej przez świat, radykalnie prawicowej fali, znacznie wzmocnionej zeszłorocznym zwycięstwem Donalda Trumpa w Stanach Zjednoczonych. – *W Europie przybrało to charakter akcji wymierzonej w Zielony Ład. Zdaniem red. Baczyńskiego intencje były*

szlachetne, miały jednak swoje ekscesy regulacyjne. Towarzyszyły im pierwsze protesty, zwłaszcza ze strony rolników. Na to nałożyła się wojna w Ukrainie, która na pierwszy plan wysunęła kwestie twardego bezpieczeństwa.

Dziś Europa zmienia priorytety, inwestuje w bezpieczeństwo i skłania się ku deregulacji będącej odpowiedzią na protesty rolnictwa i przemysłu oraz próbą obrony gasnącej europejskiej konkurencyjności. Do czego – to konkluzje tzw. raportu Mario Dragiego – przyłożyć się mogły m.in. obciążenia proponowane w ramach Zielonego Ładu.

Nie zapowiada się, by było to życie wygodne, przestrzegali Filip Springer, reporter i krytyk architektury. Gość specjalny gali radził szykować się na gorsze scenariusze i starać się adaptować do zbliżających się zagrożeń. W tym upałów, które zapewne i tego lata dadzą się nam we znaki. – *W uporaniu się z konsekwencjami zmiany klimatu decydującą rolę odegrają miasta* – utrzymuje Filip Springer. Tu mieszka większość ludzkości, w kolejnych dekadach liczba mieszkańców wzrośnie o 2 mld. A tereny zurbanizowane, zajmujące 2 proc. powierzchni łądów, generują aż 70 proc. globalnych emisji. 40 proc. wszystkich emisji pochodzi z budynków.

Sposobem na szukanie oszczędności emisji będzie dogęszczenie miast. Zwarta zabudowa jest mniej energochłonna, musimy też zostawić jak najwięcej przestrzeni niezabudowanej. Co nie musi oznaczać morza wieżowców – trzy najgęściej zaludnione dzielnice w Polsce to wrocławski Ołbin, warszawski Muranów i śródmieście w Szczecinie. Zabudowane najwyżej do szóstego piętra, dysponują znacznymi terenami zielonymi.

Wepoche kryzysu żyć nie będziemy lepiej, a co najwyżej znośniej. W niewielkich mieszkaniach z rynku wtórnego, za to z dostępnymi przestrzeniami wspólnymi, przy ulicach z mniejszą liczbą miejsc do parkowania, ale z większą ilością zieleni. – *Nie wierzę w opowieść o tym, że zielona transformacja poprawi komfort życia. Powinien się on nam wręcz obniżyć* – apelował Filip Springer. – *Musimy się nim podzielić, bo nie jest możliwe, by cały świat żył na naszym poziomie. Rezerwy komfortu się wyczerpują, a ten, który mamy, zapewniamy sobie kosztem dzieci i kolejnych pokoleń.* Warto zdawać sobie z tego sprawę, mimo że ubocznym kosztem jest popularność ekstremalnych propozycji politycznych, które kuszą wygodną przyszłością bez wyrzeczeń i konsekwencji.

Partnerami Listków ESG Polityki oraz Gali byli:



25 LAT



Z prądem czy pod prąd?

Rozmowa z **Andrzejem Modzelewskim**, prezesem E.ON Polska, o tym, czy unijny Zielony Ład rzeczywiście jest martwy i co dziś robić z polską energetyką.

Andrzej Modzelewski jest doktorem nauk inżynieryjno-technicznych Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie. Jest również absolwentem Uniwersytetu w Essen oraz Macquarie University w Sydney. Od 2003 r. związany z branżą energetyczną, a od 2021 r. na stanowisku prezesa zarządu E.ON Polska SA, głównego dostawcy energii elektrycznej dla mieszkańców Warszawy.

ADAM GRZESZAK: – **Jak często znajomi pytają pana, dlaczego prąd jest drogi i kiedy będzie tani?**

ANDRZEJ MODZELEWSKI: – Nieustannie. Pracuję w branży energetycznej już od 20 lat i zawsze panowało społeczne przekonanie, że energia elektryczna jest za droga.

A nie jest?

To zależy dla kogo. Ministerstwo Klimatu i Środowiska podało ostatnio, że 1,2 mln gospodarstw w Polsce jest na skraju ubóstwa energetycznego, więc dla nich energia jest droga. Dla większości gospodarstw, o ile racjonalnie gospodarują energią, wydatki na nią nie są wielkim obciążeniem i są porównywalne

z opłatami za dostęp do internetu. A nikt przecież nie pyta, kiedy internet będzie tańszy.

Czyli jest relatywnie tanio?

Energia elektryczna jest towarem, powinna być więc wyceniana jak każdy inny towar. I to rynek powinien decydować, ile ona kosztuje.

Polacy są innego zdania. Z corocznego raportu Fundacji E.ON na temat stosunku obywateli UE do polityki energetyczno-klimatycznej wynika, że 77 proc. z nas uważa, iż ceny prądu powinno ustalać państwo. Nie mamy zaufania do rynku, zwłaszcza zdominowanego przez państwowych monopolistów.

Ale koniec końców ktoś musi zapłacić za wytworzenie i dostarczenie energii do naszych domów i firm. Więc czy te pieniądze będą pochodziły bezpośrednio z kieszeni odbiorców, czy też złożą się na to całe społeczeństwo ze swoich podatków, to ma drugorzędne znaczenie. Ważniejsze jest, co zrobić, by energia stawała się tańsza i by Europa nie przegrywała w gospodarczej konkurencji z resztą świata. Zwłaszcza jeśli chcemy, by energia elektryczna zastępowała paliwa kopalne w przemyśle, transporcie czy ciepłownictwie.

A na pewno chcemy?

Zdecydowanie tak. Zmiany klimatyczne dzieją się na naszych oczach, obawiamy się

ich skutków dla nas i kolejnych pokoleń. Stąd też rosnące w polskim społeczeństwie poparcie dla energetyki bezemisyjnej – odnawialnej i jądrowej.

Zaskakujące jest wysokie poparcie dla energetyki jądrowej w Polsce. Tylko w Czechach jest wyższe. Ale czy rzeczywiście jest nam ona potrzebna? To są potwornie kosztowne inwestycje.

Moim zdaniem jest potrzebna. Jeśli odchodzi się od energetyki węglowej, to potrzebujemy elektrowni, która w systemie będzie pełniła funkcję podobną do tej, jaką dziś pełni elektrownia w Bełchatowie. W naszym języku mówi się, że będzie pracowała w podstawie, czyli będzie wytwarzała non stop energię. Tym samym będzie zabezpieczała system w okresach, gdy zależne od pogody źródła odnawialne – słoneczne i wiatrowe – nie będą mogły pokryć zapotrzebowania na energię. A jednocześnie nie będzie emitowała spalin, a zwłaszcza zabójczego dla klimatu CO₂.

Większość krajów UE jest wobec energetyki jądrowej sceptyczna, a najbardziej Niemcy, którzy swoje atomówki zamykają...

...ale za to Francuzi na energetyce jądrowej opierają swój rozwój. Każdy kraj szuka własnej drogi. Moją uwagę w raporcie Fundacji zwrócił podział na południe i północ Europy. Widać, że kraje południa bardziej odczuwają zmiany klimatu, dlatego tam społeczna presja na polityków, by transformować energetykę, jest większa. Każdy kraj ma jednak własne doświadczenia, inne możliwości ekonomiczne i uwarunkowania naturalne.

My mamy węgiel. Wiele osób wierzy, że najbezpieczniej się go trzymać.

Tyle że węgiel się kończy i ten brunatny w odkrywkach, i kamienny w śląskich kopalniach. Dożywa też swoich dni większość bloków w elektrowniach węglowych. Co mielibyśmy robić? Stawiać nowe bloki i importować węgiel? Bo przecież już dziś ten wydobywany na Śląsku z głębokości ponad kilometra jest dla elektrowni zbyt drogi. A potem mamy płacić coraz wyższe opłaty za emisję CO₂? Energia byłaby coraz droższa, zwłaszcza w konkurencji z pochodzącą ze źródeł odnawialnych, która staje się coraz tańsza. To dla nas szansa, bo inwestycje, które i tak są konieczne, możemy realizować już w nowej wersji, korzystając z nowych technologii i doświadczeń krajów, które robiły to wcześniej.

Górnicy mają na ten temat inne zdanie. Uważają, że Polska powinna zawiesić albo odejść od systemu ETS, czyli obowiązku kupowania uprawnień do emisji CO₂. I w ogóle zrezygnować z unijnego Zielonego Ładu.

Polacy nie dzielą opinii górników. Autorzy raportu byli wręcz zaskoczeni, że mimo wciąż dużego udziału węgla w miksie energetycznym aż 60 proc. ankietowanych akceptuje opłaty za emisję CO₂. Nie zapominajmy też, że są to pieniądze, które zostają w kraju, i mądrze wydane mogą wspierać transformację. Dopóki elektrownie węglowe działają i jest węgiel, mogą jeszcze pracować, ale niebawem skończy się dla nich rynek mocy, czyli system ich dotowania za gotowość do produkcji energii. A bez tego dotowania ich utrzymywanie przy życiu straci ekonomiczny sens. Podobnie jak sporej części śląskich kopalń.

Co w tej sytuacji zrobić z górnikiem?

To bardziej problem społeczny niż energetyczny. Trzeba zagwarantować im nowe miejsca pracy, bezpieczniejsze i mniej obciążające niż praca na dole w kopalni. Śląsk musi przejść transformację.

Najbardziej zaskakujące jest to, że Polacy uważają się za liderów europejskiej transformacji energetycznej. W ciągu ostatniego roku to nasze samozwolnienie wzrosło aż o 34 pkt proc. Autorzy raportu podejrzewają, że nagłaśniane projekty nowych inwestycji energetycznych traktujemy, jakby już istniały. Rzeczywiście sporo się ostatnio mówi o budowie dużych i małych elektrowni jądrowych, farm wiatrowych na lądzie i morzu, elektrowni gazowych, magazynów energii itd. Ale czy na to wszystko nas stać?

Zapewne nie na wszystko. Zwłaszcza energetyka jądrowa wiąże się z ogromnymi kosztami i możliwa jest tylko, jeśli będzie realizowana przez państwo. Ważne jest jednak, by jednocześnie państwo zachowało neutralność technologiczną, czyli by nie narzucało konkretnych typów źródeł energii i nadmiernie nie wspierało jednych kosztem drugich.

Autorzy raportu zwracają jednak uwagę, że rośnie sceptycyzm obywateli wobec unijnej polityki energetyczno-klimatycznej. To stanowi paliwo dla radykalnych populistycznych partii w całej Europie. Czy Unia powinna porzucić Zielony Ład?

Nie sądzę, by było to konieczne ani nawet możliwe. Transformacja energetyczna trwa już od wielu lat i Europa zbyt daleko w niej zaszła, by ją teraz porzucić. Widzimy już jej pozytywne efekty: najtańsza energia pochodzi ze źródeł odnawialnych, rozwija się technologia ogniw fotowoltaicznych i wiatrowych, tanieją urządzenia. Dzięki temu dziś niemal każdy obywatel może wytwarzać energię, co kiedyś było nie do pomyślenia. Odchodząc od paliw kopalnych, nie tylko chronimy klimat, ale uniezależniamy się od importu węglowodorów, których Europa nie posiada w wystarczających ilościach. Dbamy też o nasze bezpieczeństwo energetyczne. Być może cele, jakie stawia sobie UE, są zbyt ambitne i nie uda się ich realizować w wyznaczonych terminach, ale są powszechnie akceptowane.

Tymczasem autorzy raportu zwracają uwagę, że w Polsce aż 54 proc. respondentów popiera politykę prezydenta Trumpa, który zdecydował o wycofaniu USA z porozumienia paryskiego, czyli umowy ONZ o ograniczeniu emisji gazów cieplarnianych. Takiego poparcia polityka energetyczno-klimatyczna Trumpa nie ma nigdzie w UE. A jednocześnie chcemy, by polscy politycy której robili na rzecz ochrony klimatu. Kto nas zrozumie?

Poglądy Polaków na politykę energetyczno-klimatyczną są odbiciem nastrojów społecznych i debaty publicznej. Dużo się mówi dziś o suwerenności i niezależności, dlatego rośnie przekonanie, że wszystko powinniśmy robić sami, po swojemu i we własnym tempie. Nikt nam niczego nie będzie narzucał. Stąd, jak sądzę, także to poparcie dla Trumpa.

Unijny rynek energii, którego Polska jest uczestnikiem, jest poważnym atutem Europy. Trudno tu jednak o całkowitą suwerenność.

Transgraniczny handel energią rośnie i w sytuacjach kryzysowych często pozwala ratować system energetyczny jednego kraju energią importowaną od sąsiadów. Także normalna wymiana handlowa sprzyja konkurencyjności, gdy energia z tańszych rynków płynie tam, gdzie można ją sprzedać drożej.

U nas jest ostatnio droższa...

Ci, którzy wcześniej zaczęli transformację energetyczną, dziś czerpią z tego korzyści. Dlatego tym bardziej musimy nadrobić stracony czas. ■



Ukraińscy żołnierze puszczejają dron. Poniżej: bezzałogowiec z bombą.

Wojna maszyn

PAWEŁ RESZKA Z KONSTANTYNIWKI (DONBAS)

Przez drony pustoszejają ukraińskie miasta i chwieje się linia frontu. Jest w nich coś boskiego, bo mogą zabić albo darować życie.

Był wczesny ranek. Misza, kierowca pracujący dla ukraińskiej telewizji, leżał jeszcze w łóżku, gdy nagle usłyszał silnik. Zerwał się na równe nogi i krzykiem ostrzegł resztę ekipy: „Dron!”. Po chwili wszystko ucichło. Misza zrozumiał, że to nie dron, a współlokator, który właśnie włączył elektryczną szczotkę do zębów. Skąd dron w wynajmowanym przez telewizję mieszkaniu w Kramatorsku, czyli dość daleko od frontu?

Atak paniki można było przypisać zespołowi stresu pourazowego – Misza jest weteranem wojennym, zdemobilizowanym



ze względu na ciężkie rany odniesione w wybuchu miny. Jednak to nie takie proste. Drony sięją potworne zniszczenie. Obsesyjny strach przed nimi stał się normą. Ludzie słyszą je wszędzie – w pracującej lodówce, zmywarce, odległym dźwięku silnika.

Przedmieścia

– *Żegnaj, domie, żegnaj!* – Swietłana Wiktorowna robi znak krzyża, zatrzaskuje żelazne wrota, chyba na zawsze. W domu na Santuriniwce przemieszkała całe życie. Ale teraz mówi: – *Nadszedł czas!*

Santuriniwka powstała w XIX w. Bogaty właściciel ziemski, podobno o greckich korzeniach, na brzegu rzeczki Krywyj Toręcz założył osadę. Nazwał ją na cześć bajkowej wyspy Santorini na Cykladach. Ale dziś nie ma tu już nic bajkowego. Nad osadą swąd spalenizny. Pustka. Ubywa domów. – *We wtorek spaliły się trzy* – mówi Swietłana. Straż pożarna tu nie dojeżdża, jest zbyt niebezpiecznie. Elektryczności nie ma, gazu brak. Ostatni związek z resztą świata to autobus, który dwa razy dziennie powoli toczy się do „miasta”, czyli do Konstantyniówki w Donbasie.

Rosjanie usiłują ją zdobyć od miesiocy. Otoczyli miasto z trzech stron. Kilka, kilkanaście kilometrów od centrum jest już linia frontu. Drony przelatują tu jeden za drugim. Obserwują, krążą, szukają celu. Najgorsze są te na światłowodzie – ich lotu nie można zakłócić elektronicznie. Światłowody walają się na ulicach i w ogrodach. – *Poszłam do sadu, chciałam narwać czereśni, prawie się w nie zaplątałam. Odeszła mi ochota na owoce* – opowiada Swietłana.

Drony lubią cele wojskowe. Ale cywilnymi też nie gardzą. – *Na przykład mój sąsiad* – Swietłana Wiktorowna ścisza głos. – *Ciężko o tym mówić...* – Zginął? – *Tak, do tej pory nie udało się odnaleźć głowy.* Po zdarzeniu z sąsiadem Swietłana uznała, że nie ma co dłużej zwlekać. Zdecydowała się poprosić o ewakuację. A ta odbywa się na dwa sposoby. Przeprowadzają ją albo wolontariusze, którzy przyjeżdżają zwykłym, niepozornym autem, licząc, że przemkną się chyłkiem, albo policja w opancerzonym pojeździe, uzbrojona w strzelby z nabojami śrutowymi.

W każdej wsi na każdym przedmieściu sytuacja jest podobna. Na południowym wschodzie w Berestoku Jewhen Tkaczow, wolontariusz z organizacji Proliska, wywozi ostatnią mieszkankę ulicy Kubańskiej. Lubow Andriejewna, lat 82, z trudem otwiera drzwi. Przez kilka tygodni była zupełnie sama. Bez wody, z resztkami jedzenia. Obok jej domu grasują porzucone psy. Dla Lubow Andriejewnej są gorsze niż latające maszyny. Wybuch zabije na miejscu. A psy gryzą bezlitośnie. – *Ledwie zdołałam im uciec* – opowiada.

Po pogryzieniach zostały jej głębokie obrażenia na nodze. Staruszka nie miała ich czym opatrzyć. Ciało zaczęło gnić, zaległy się robaki. – *Trzeba do szpitala, pani Lubo. Natychmiast* – mówi Jewhen. A gdzie dokumenty? Okulary? Telefon? W samochodzie nieprzyjemny słodki zapach. Lubow Andriejewna płacze. Trochę z bólu, trochę z tego, że zostawia Berestok, ulicę Kubańską, koty i w ogóle całe życie.

Znów dron. Jewhen wskazuje do auta. Ucieczka. Tkaczow wie, że to nie żarty. Niedawno, w Wielkanoc, dron trafił jego samochód. Jewhen i wywożony przez niego cywil zostali ranni.

W szpitalu chirurg dr Jurij Myszasty opatruje małżeństwo z pobliskiej wsi Dowha Bałka. Igor i jego żona Tania mają złamania kończyn, rany od odłamków.

– *Wsiadaliśmy do samochodu. Nagle dron. Żona krzyknęła, upadła...* – opowiada Igor. – *Stan ciężki, stabilny* – mówi doktor. Tania

ma się gorzej. Z nóg została miazga. Takie przypadki to codzienność w szpitalu w Konstantyniowce, w którym pozostało już tylko kilku lekarzy, w tym ostatni anestezjolog.

Front

Kleszcze wokół miasta zaciskają się coraz bardziej. Konstantyniówka to brama do wyjścia na Drużkiwkę, Kramatorsk, Słowiańsk. Ostatnia aglomeracja w Donbasie, której Rosjanie nie kontrolują. Walczące strony oddzielone są tu od siebie szeroką strefą śmierci – wypalanej ziemi, połamanych drzew, zrównanych z ziemią wsi. Kontrolują ją bezpilotowce. Dlatego na froncie trudno spotkać czołgi – stoją w drugiej linii, głęboko zakopane w ziemi, tak że wystają tylko lufy. Trudno spotkać transportery, śmigłowce czy samoloty. Tylko drony są wszędzie.

Na początku wojny żołnierze za własne pieniądze kupowali je przez internet. Za pomocą spinaczy biurowych doczepiali granaty. I słali nad okopy przeciwnika. Dziś nie ma miejsca na chałupnictwo. Ukraiński przemysł zbrojeniowy wyprodukował w zeszłym roku 2,3 mln dronów. Rosjanie w tym samym czasie – 1,5 mln. W siłach zbrojnych obu walczących stron powołano dowództwa wojsk dronowych.

Bezpilotowce używane są do ataków na fabryki broni, rafinerie, lotniska położone setki kilometrów na tyłach wroga. Ich roje atakują miasta, myśląc obroną przeciwniczą. Drony morskie dziesiątkują floty. Drony matki przenoszą i wypuszczają do walki mniejsze aparaty kamikadze. Krążą nad polem walki. Sieją strach w okopach. I są coraz bardziej niezależne od człowieka. Dzięki sztucznej inteligencji omijają przeszkody, analizują obraz w poszukiwaniu celu, identyfikują pojazdy, umocnienia. Niektóre potrafią samodzielnie podjąć decyzję o ataku. Czyli wydać wyrok śmierci na człowieka.

Sierhij Tachmazow, oficer prasowy 28. Brygady, w cywilu dziennikarz i filmowiec, mówi, że ta wojna przypomina mu kino. Filmy o apokaliptycznej przyszłości. Idący do szturm Rosjanie są jak zombie, czasami bez kamizelek kuloodpornych, pod wpływem środków odurzających, które zabijają strach i obniżają próg bólu. Setka motocyklistów wyskakuje zza zasłony dymnej i pędzi do ataku, pod karabiny maszynowe – to jak z „Mad Maxa”.

Najbardziej przerażające są jednak maszyny polujące na ludzi. – *Piechota już nie walczy, piechota stara się przeżyć* – stwierdza oficer jednej z brygad walczących pod Konstantyniówką. – *Broń, amunicję, zapasy jedzenia i żywności dostarczamy im za pomocą dronów. Rotacje żołnierzy odbywają się raz na miesiąc albo rzadziej. Wtedy jest najwięcej ofiar.*

Statystyki mówią wiele. – *Rany z powodu ostrzału artyleryjskiego są rzadkie. Rany od kul są wręcz sporadyczne. Najczęściej mamy do czynienia z uszkodzeniami kończyn dolnych. Nie są śmiertelne, ale skutecznie eliminują żołnierza z walki* – opowiada Ołeksandr, 30-letni ratownik na polu walki, w cywilu designer.

Szpital

Ołeksandr pracuje w stabpunkcie. To taki szpital polowy na zapleczu frontu. Ma za zadanie ustabilizować stan rannego żołnierza tak, aby przeżył. Potem żołnierze przewożeni są dalej, do dużych szpitali.

W stabpunkcie spędzam noc. Nie przywożą ani jednego rannego. Ale to nie oznacza, że w okopach nie ma rannych. – *Czasami aktywność wrogich dronów uniemożliwia ewakuację* – mówi ▶



Od lewej: ostrzał Konstancywki. Przygotowanie ładunków wybuchowych dla dronów.

► ratownik. A „czasami” może trwać nawet trzy albo cztery doby. Co wtedy? Ranni czekają w okopach, pomagają im koledzy na miejscu. Gdy pogorszy się pogoda i pojawi się szansa na bezpieczną ewakuację, w nocy na punkt trafiają dziesiątki ewakuowanych rannych.

Dziś jedynym pacjentem jest Żenia (imię zmienione). Dotarł na stabpunkt nietypowo, około piątej nad ranem. Nie miał żadnej rany i w ogóle trudno było powiedzieć, co mu jest. Ratownik Ołeksandr stwierdził skręcenie nogi w kostce. Choć podczas wywiadu wychodziło na to, że noga była uszkodzona jeszcze w cywilu, podczas wypadku samochodowego. Co się stało teraz?

Żenia jest wysuszony i siwy. Siedzi samotnie na leżance. Rozmawiamy: – Noga lepiej? – *Lepiej* – kiwa głową. Żenia opowiada, jak pod Odessą pracował spokojnie jako elektryk. I jak prosto z pracy ludzie z komisji uzupełnień zgarnęli go do wojska.

– Mam 50 lat i trafiłem do piechoty. Służę w 153. Brygadzie, jednej z nowo formowanych. Jurij Butusow, znany publicysta wojskowy, pisał, że brakuje tam wszystkiego: „doświadczonych dowódców, dronów, systemów obrony przed dronami, logistyki”.

Żenia odczuł to wszystko na własnej skórze: – *Przeciwnika widzimy rzadko, uderzają głównie drony. Czasami są to ataki kombinowane. Jeden obserwuje, drugi zrzuca pojemnik z gazem bojowym do okopu, trzeci – gdy żołnierze uciekają – zrzuca ładunek wybuchowy. Gdy już jesteśmy wymęczeni przez drony, atakuje nas ich piechota. I tak w kółko. Kiedy nie możemy utrzymać pozycji, dostajemy zgodę na odwrót.* – Jak to się odbywa? – *Jak się da. Biegniemy każdy na własną rękę. Przez zasieki, pola minowe. Niektórzy wcale nie mają ochoty się zatrzymać.* – Bo? – *No panie! Bo dezertujemy.*

Zeszłego wieczoru Żenia znów miał iść na pozycję. Plecak, granaty, 800 nabojów, kamizelka. – *Nogi się ugięły, gdy to wszystko na siebie założyłem* – wspomina. Młodszy koledzy mówili: „Dziadek, nie dojdiesz. I jeszcze nas przez ciebie wszystkich tu zająb...”. Wtedy właśnie Żenia poczuł silny ból w kostce i nie poszedł z resztą oddziału. Już chyba nie ma ochoty na powrót do okopów. Z plecaka wyciąga cywilną koszulę i czapkę bejsbolówkę. – *Do zobaczenia* – mówi na pożegnanie. Konstacha chyba straciła obrońcę.

Miasto

Konstancywka wkrótce zmieni się w twierdzę. Gruzowiska stworzą nieprzejezdne dla czołgów barykady. Zaułki zostaną zaminowane. Domy zmieniają się w reduty. To oznacza, że miasto zginie. Tak jak zginął Bachmut, Czasiw Jar, Toreck... Jak ginie teraz Pokrowsk. – *Nie ma innego wyjścia* – mówi ukraiński oficer.

Teraz trwa stan przejściowy. Konstacha jest zawieszona między istnieniem i zagładą.

Rano osnuwa ją dym wybuchów kierowanych bomb lotniczych KAB. Jedna z nich spada na ulicę Puszczińską. Straż jeszcze tam dojedzie, ale dom Nikołaja jest już nie do uratowania. Tylko woda może powstrzymać pożogę, sprawić, by nie pochłonęła sąsiednich budynków. Akcja trwa krótko, bo strażacy dostają przez radio informację o kolejnym ataku: – *KAB-y, KAB-y, wszyscy do piwnicy.*

Piwnica jest w domu naprzeciwno. Wycieńczony strażak-ratownik pada na ziemię. Obok Galina z pierwszego piętra przysiadła na krzeselku wyciągniętym z lamusa. Na jej kolanach jamnik Fantik. Bomby spadają, dom drży w posadach. Gala opowiada o dawnym, dobrym życiu w Konstasze. O szkole, pracy w hucie szkła, o mężu („Dobry chłop, umarł na raka”), o synu, który nie chce się żenić. A w końcu o bombach i dronach, które spadają codziennie: – *W kuchni dziura w suficie, w łazience też, jak siedzę w wannie, widzę niebo. Okna powylatywały...*

Do piwnicy wbiega nowa dwójka. To zięć cioci Niny z żoną. Podminowany, niecierpliw. Raz po raz dzwoni na alarmowy: – *Halo! Zgłaszam, że teściowa umarła! Czy ktoś przyjedzie? Jestem w piwnicy!*

Gala się dziwi: – *Ciocia Nina? Dopiero co u nas była. No, ale miała już prawie 90 lat.*

A teraz strzelają. Seria za serią. – *Dlaczego?* – pyta Gala. – *Do dronów* – wyjaśnia strażak-ratownik. Zięć cioci Niny znów się denerwuje. – *Operator! Operator! Czy ktoś przyjedzie?* – *Panie, kto panu przyjedzie do nieboszczki, gdy lecą bomby?* – pyta strażak-ratownik.

Gala mówi, że dom jest bezpieczny, bo wszędzie wieszają ikony, a na ścianach flamastrem wypisuje modlitwy: „Żywy nasz Panie Boże, Jezusie Chrystusie! Bądź z nami! Niech dom stoi bez żadnych zniszczeń”.

Po godzinie można wychodzić. Idziemy po Puszczińskiej. Nad głowami coś błyszczy w słońcu. Cienkie, srebrzyste. To napięty jak struna światłowód. To znaczy, że w okolicy jest dron. Drony na światłowodzie to utrapienie. Te sterowane drogą elektroniczną można zakłócić, obezwładnić. Na każdym aucie wojskowym, ciężarówce, jest całe mnóstwo anten, które powodują, że bezpilotowiec wariuje, traci sterowność i bezwładnie spada na ziemię. Ale zakłócenia nie działają na drony sterowane światłowodem, który może mieć nawet kilkanaście kilometrów długości. Tu trzeba się bronić tradycyjnymi metodami. Wojsko zakłada wokół posterunków sieci. A pojazdy obudowuje żelaznymi



Od lewej: zniszczone centrum Konstantyniówki. Olga, bibliotekarka z Bachmutu, mieszka nieopodal.

kratownicami i metalowymi płytami. Po mieście jeżdżą auta zombie, potwory z przyszłości.

Prospekt

Najgorzej jest w centrum, na prospekcie Łomonosowa. Szeroki, po trzy pasy w jedną stronę. Każdego dnia przybywa na nim kolejnych spalonych samochodów. Tu pick-up, tam cywilna Łada, obok wojskowa ciężarówka. Ofiary dronów kamikadze. Dlatego po prospekcie Łomonosowa jeździ się z maksymalną prędkością. Kierowcy chcą uciec śmierci. Albo stawiają jej czoło. Gdy na niebie pojawia się dron albo choćby słyhać jego dźwięk, każdy, kto ma przy sobie broń, zaczyna strzelać. I cicha opustoszała Konstacha nagle zmienia się w miasteczko z westernu. Na podwórka, zaułki, ulice wybiegają mężczyźni, którzy wywalają w niebo całe magazynki.

Tymczasem niewzruszony pracownik miejskich zieleńców każdego dnia benzynową kosą strzyże trawę. Ta sprawa jest tematem dyskusji. – *To według mnie jest kompletnie idiotyczne! Jakaś iluzja. Ale czego? Normalności czy jak* – komentuje znajomy chirurg ze szpitala nr 5. – *A taka kosa benzynowa brzmi zupełnie jak dron* – zauważa Roman, tutejszy policjant. I dodaje proroczo: – *Więc uwierzcie mi. Tego gościa ktoś zastrzeli!*

Olga, bibliotekarka, która przyjechała do Konstachy z Bachmutu, mieszka na ostatnim piętrze w opuszczonym bloku opodal prospektu. Sąsiedzkie mieszkania zostały już dawno zniszczone przez odłamki. Wybuchy wybiły okna, fale uderzeniowe wyrwały z futrynami drzwi. Tylko mieszkanie Olgi trwa z niewiadomych przyczyn.

Olga chodzi na bazar (mieszkańcy mogą się poruszać po ulicach od godz. 11 do 15). Karmi gołębie, koty i psy. A w środy idzie do ewangelickiej wspólnoty Światło Życia na modlitwę i darmowy posiłek. Pastor Tatiana mówiła ostatnio, że każda ciemność i każda bieda mogą zostać przewycięzone, o ile człowiek trwa przy Bogu i słucha jego przykazań. Olga wysłuchała pastor Tatiany, podziękowała i pobiegła bocznymi uliczkami do domu.

Czasem stara się robić zapiski z życia w obłęzionym mieście: „Dziś wcześniej rano były wybuchy. To takie straszne, kiedy czekasz na śmierć, płaczesz, modlisz się i krzyczysz z całej siły. A potem, tak jak teraz, wychodzi słońce. Ptaki, wszystko kwitnie. Jakby nie było wojny”.

Aleksandra i kozy

Na przedmieściach po drugiej stronie Konstantyniówki mieszka Aleksandra. Jej dom stoi przy jednej z dwóch ostatnich dróg, które łączą miasto z resztą Ukrainy. Rosjanie robią wszystko,

by przejąć nad nimi kontrolę ogniową. Ukraińcy wiedzą, że bez nich odcięte od zaopatrzenia miasto padnie.

Dlatego nagle, opodal gospodarstwa Aleksandry pod Konstachą, pojawiło się mnóstwo ludzi: saperzy, kierowcy ciężarówek, operatorzy koparek i dźwigów. Zręczni, uwijali się jak w ukropie. Niedługo zajęło im zbudowanie umocnień. Betonowe smocze zęby, by zatrzymać rosyjskie czołgi i transportery opancerzone. Pozwijany w serpentyny drut kolczasty ma zahaczać o mundury atakującej piechoty.

Umocnienia ciągną się kilometrami aż po horyzont, co dla Aleksandry nie jest aż tak ważne. Istotne, że przebiegają jakieś 50 m od jej domu. Nagle okazało się, że gospodarstwo i pastwisko, na które od lat wygania kozy, leżą po dwóch stronach zasieków. Przejść można tylko wąską drogą. Dorosłe kozy – Aleksandra ma ich osiem – już się przyzwyczyły. Młode, tych jest 12, ciągle zbliżają się niebezpiecznie do drutu kolczastego. Są jeszcze głupie, ale dwa psy pasterskie znają swoją robotę. Aleksandra wyciąga gwizdek – taki, jaki mają nauczyciele wuefu. Nadyma policzki, gwizdże i krzyczy: – *Maluchy! Przechodzimy! Szybko!*

Przejdzie przez drogę, przekroczenie linii umocnień jest najbardziej niebezpieczną częścią wyprawy na pastwisko. W tych okolicach najczęściej spadają bomby, latają wypełnione ładunkami wybuchowymi drony. – *Niedawno wybuchło na polu, o tutaj. Z domu zerwało mi wtedy dachówki, a wczoraj dron uderzył w drogę* – opowiada Aleksandra i goni stadko przez wysoką trawę, ku zagajnikowi z akacji, gdzie cień i szum strumienia. Siada na rozkładanym krzeselku, zapala papierosa, ogląda zdjęcia wnuka Wiktora, który by skryć się przed wojną, wyjechał do Kijowa.

Świat Aleksandry kurczy się każdego dnia. Wokoło coraz więcej wojska, które gotuje się do bitwy. Wygląda na to, że dom Aleksandry niebawem znajdzie się w ogniu walk, dokładnie na pierwszej linii. Wojna mruczy groźnie. Słyhać ją z północy, wschodu i z południa. Nad kozami rosyjski dron. Krąży, brzęczy jak pszczoła. Drapieżnik szuka celu. Aleksandra nie podnosi oczu. Nazywa drony brzęczkami. A kiedy ma zły humor, mówi na nie bombowozy.

Kiedy wracamy od Aleksandry, nad autem pojawia się kolejny rosyjski dron. Gnamy wściekle przed siebie pełną drogą. Nie da się uciec. Trzeba byłoby pędzić ze 120 km na godz. Logiczne byłoby opuścić auto, biec przed siebie. Ale logika w takich okolicznościach nie działa. A on ciągle wisi nad nami. Po minucie szalonej jazdy na piaszczystych, osypanych odłamkami wertepach strzela opona. Trzeba się zatrzymać, szukać ukrycia i liczyć, że drapieżnik znajdzie inny cel. Więcej zrobić nie można.

PAWEŁ RESZKA

Zapomniany cmentarz

Zaraz po uderzeniu na Iran izraelska armia ogłosiła, że front w Strefie Gazy staje się drugorzędny. Dla ponad 2 mln jej mieszkańców to żadne pocieszenie.

AGNIESZKA ZAGNER

Przed wojną w aglomeracji Rafah w południowej części Strefy Gazy mieszkało 275 tys. osób. W północnej Bajt Lahiji niepełna 110 tys. A w sąsiednim obozie Dżabalija – 56 tys. Dziś wszystkie te miejsca to głównie ruiny. – *Ponad 80 proc. terytorium Strefy Gazy objęte jest nakazami ewakuacji lub zostało zamienione w strefę zmilitaryzowaną, do której Palestyńczycy nie mają dostępu. Ma to bezpośredni wpływ na życie 90 proc. mieszkańców* – wyjaśnia Milena Ansari z jerozolimskiego biura Human Rights Watch.

Na mapie rzucają się w oczy tylko trzy nieobjęte restrykcjami miejsca – miasto Gaza oraz skrawki położonych na południe Dajr al Balah i Chan Junus. Na tych niespełna 20 proc. przedwojennego terytorium upchnięto ponad 2 mln Palestyńczyków. – *Sytuacja jest rozpaczliwa. Gdziekolwiek spojrzeć, ruiny i morze namiotów, zdesperowani ludzie żyjący w skrajnie nieludzkich warunkach. Nie pamiętam, kiedy ostatnio widziałam jakikolwiek stojący budynek w Rafah* – mówi mieszkająca od pięciu lat w Gazie Olga Cherevko, rzeczniczka oenzetowskiej agencji OCHA, która zajmuje się koordynacją pomocy humanitarnej. – *Pierwsze skojarzenia? Wielki cmentarz i wielki głód.*

Mąka za cenę życia

Od początku konfliktu zginęło ponad 55 tys. Palestyńczyków, a 130 tys. zostało rannych. Szacuje się, że pod gruzami może być jeszcze nawet 6 tys. ciał. – *Mamy udokumentowane przypadki ludobójstwa, czym jest również ograniczanie dostępu do wody, a także czystek etnicznych* – dodaje Milena Ansari.

Według najnowszego raportu OCHA 100 proc. (2,1 mln) mieszkańców Gazy boryka się z poważnym niedoborem

żywności, z czego milion stoi w obliczu kryzysu, a sytuację 470 tys. określa się jako katastrofalną. Bez pomocy z zewnątrz Gaza skazana jest na głód – dostępnych jest mniej niż 5 proc. pól uprawnych, zniszczonych zostało 83 proc. spośród nich i tyle samo rolniczych studni, 70 proc. szklarni oraz rybackich kutrów. Podstawowe produkty osiągają dziś zawrotne ceny – mały pomidor kosztuje 4 dol., podobnie pita, za 25-kilogramowy worek mąki trzeba zapłacić 600, a nawet 1000 dol. Jeśli w ogóle towary te uda się znaleźć. – *Ludzie jedzą głównie rozgotowany w wodzie ryż udający zupę* – opowiada Cherevko.

Izrael reguluje, ile i jaka pomoc do Gazy będzie dostarczana, czasem zupełnie ją blokując. Teraz wypuszcza się nie więcej niż 100 ciężarówek dziennie, a potrzeba ok. 600. Organizacje pomocowe od dawna oskarżają Izrael o używanie głodu jako narzędzia walki. Sam minister finansów Izraela Becael Smotricz powiedział, że nie pozwoli, by przedarło się tam „nawet ziarno pszenicy”, zasugerował też, że zagłodzenie 2 mln ludzi jest „usprawiedliwione i moralne”, by wymusić oddanie zakładników.

Taka opinia nie odbiega zasadniczo od poglądów samych Izraelczyków. Według niedawnego badania Uniwersytetu Stanowego Pensylwanii, aż 82 proc. Izraelczyków popiera przymusowe wysiedlenie Palestyńczyków z Gazy, a 47 proc. zabijanie mieszkańców w stylu biblijnego podboju Jerycha przez Jozuego, który doprowadził do unicestwienia wszystkich jego mieszkańców. W innym badaniu aż 53 proc. respondentów uznało, że Izrael nie powinien wpuszczać pomocy humanitarnej do Gazy.

Dla przeciętnego mieszkańca Gazy podstawowym zmartwieniem jest dziś nie tyle zdobycie pożywienia, ile przeżycie próby dotarcia i powrotu z punktu jego



Głównym problemem mieszkańców Gazy jest nie tyle zdobycie pożywienia, ile przeżycie powrotu z punktu jego dystrybucji

dystrybucji. Nie ma praktycznie dnia, by nie było ofiar śmiertelnych w ich pobliżu. Według OCHA w ten sposób zginęło już ok. 400 osób, a 3 tys. zostało rannych. Izraelskie wojsko ma zawsze podobne wytłumaczenie – w jego stronę zbliżała się niezidentyfikowana grupa ludzi, którzy nie zareagowali na strzały ostrzegawcze, i w obliczu zagrożenia żołnierze użyli ostrej amunicji.

W marcu Izrael zmienił zasady rozdzielania pomocy humanitarnej, by rozmontować system oparty na UNRWA i innych niezależnych organizacjach pozarządowych. Oficjalnie chodziło o to, by uniemożliwić Hamasowi jej rozkradanie, powołana kilka tygodni wcześniej przez amerykańskiego weterana organizacja Gaza Humanitarian Foundation (GHF) otworzyła cztery punkty dystrybucyjne, w których wydawane są 20-kilogramowe paczki z podstawowymi produktami żywnościowymi – trzy w południowej części Gazy i jeden w pobliżu tzw. korytarza Nacarim, oddzielającego północ od reszty północy.

GHF się chwali, że dostarcza „miliony” posiłków. W rzeczywistości rozdzielana przez nią pomoc to kropla w morzu potrzeb, nie mówiąc już o wadliwym systemie dystrybucji. – *Zamiast dostarczać potrzebującym, te centra przyczyniają się do przymusowych przesiedleń i wyrządzają*



krzywdę ludziom. To nielegalne w świetle prawa międzynarodowego. Nie może być tak, że nakazuje się ludziom przychodzić po żywność, zamiast im ją dostarczać – podkreśla Ansari.

Pierwszorządny problem

Sytuacji w Gazie nie poprawiło uznanie tego frontu za drugorzędną arenę walk na jutro po ataku Izraela na Iran. Premier Benjamin Netanjahu liczy wprawdzie, że wykrwawiając ajatollahów, zmieści postawę Hamasu i zmusi go do większych ustępstw. Na razie nie widać, żeby taktyka ta zadziałała. Hamas wciąż domaga się 60-dniowego zawieszenia broni, którego gwarantem mają być Stany Zjednoczone. Wojska izraelskie powinny się wycofać z Gazy, powrócić ma pełna pomoc humanitarna, a wtedy – jak zapewnia Hamas – uwolniono by (lub zwrócono ciała) 38 spośród 53 izraelskich zakładników.

Izrael wielokrotnie deklaruwał, że w Gazie chce osiągnąć trzy cele: doprowadzić do uwolnienia wszystkich zakładników; pozbawić Hamas władzy administracyjnej i możliwości zbrojnych oraz wyeliminować wszelkie przyszłe zagrożenia ze Strefy Gazy, co de facto sprowadza się do rozbrojenia operujących tam wrogich organizacji. Mimo że Hamas zgadza się, by władzę przejął rząd technokratów, Izrael nie chce o tym słyszeć, podobnie jak

o jakimkolwiek powiązaniu go z władzami Autonomii Palestyńskiej.

Jeśli nie Hamas ani nie ludzie z Autonomii Palestyńskiej, to kto miałby przejąć kontrolę w Gazie? Niedawno szczegóły izraelskiego planu ujawnił deputowany Awigdor Lieberman, były minister obrony w rządzie Netanjahu: „Rząd Izraela na polecenie premiera przekazuje broń grupie przestępców utożsamianych z Państwem Islamskim”. Co więcej, Izrael miał owym przestępcom przekazywać również pieniądze skonfiskowane Hamasowi, a także pomagać im w szkoleniu.

Zdaniem Mattiego Steinberga, byłego doradcy szefa Szin Bet (agencji bezpieczeństwa wewnętrznego w Izraelu), Netanjahu nie ma jasnej strategii zakończenia wojny w Gazie ani planu na „dzień po”. W tej chwili najbardziej realną opcją wydaje się długotrwała okupacja, co niekoniecznie musi się wiązać z obecnością izraelskich wojsk w Gazie. W optymistycznym scenariuszu wystarczająco dobrze monitorowane granice i strefa buforowa, a także okresowe rajdy izraelskich żołnierzy.

Optymizm ten może być jednak nieco na wyrost, bo taką opcję stosowano przez kilkanaście ostatnich lat, a Hamas rósł w siłę, co zakończyło się atakiem 7 października 2023 r. Co więcej, opieranie się na gangach kryminalistów

może w pewnym momencie zemścić się na samym Izraelu. Nie ma przecież żadnej gwarancji, że ci przestępcy nie przejmą „masy spadkowej” po Hamasie i nie staną się jeszcze większym zagrożeniem. Jest w tym też pewna ironia historii, gdyż przecież sam Hamas powstał jako przeciwwaga dla znienawidzonej przez Izrael Organizacji Wyzwolenia Palestyny.

Netanjahu robi, co chce

Atakując Iran, Netanjahu w pewnym sensie odwrócił uwagę od Gazy, ale też od swoich problemów wewnętrznych. A piętrzy się przed nim konflikt w koalicji na tle służby wojskowej dla ultraortodoksów. Trwa próba sił premiera z prokurator generalną w sprawie nominacji nowego szefa Szin Bet. Netanjahu jest też uwikłany w procesy sądowe i afery ciągnące się za jego najbliższymi współpracownikami.

Premier Izraela robi jednak, co chce. Tak jak nie liczył się z opinią Joe Bidena, tak mało liczy się z Donaldem Trumpem. Nie ma też powodu, by sądzić, że będzie się liczyć ze wspólnotą międzynarodową czy z państwami arabskimi. Tym ostatnim zależy wprawdzie na jak najszybszym zakończeniu wojny w Gazie i rozpoczęciu jej odbudowy. Są gotowe wyłożyć 50 mld dol. na ten cel, co ma też zapobiec sytuacji, w której same musiałyby zaopiekować się bezdomnymi Palestyńczykami.

Egipt na granicy z Gazą przezornie zbudował już betonową zaporę. A jakkolwiek próba siłowego rozwiązania może się zakończyć zerwaniem traktatu pokojowego z Izraelem. To samo dotyczy Jordanii, która zgodziła się przyjąć jedynie 2 tys. chorych dzieci z Gazy. Arabia Saudyjska i państwa muzułmańskie wciąż wprawdzie lobbują za powrotem do rozmów o rozwiązaniu dwupaństwowym, ale ostatnia wizyta Trumpa na Bliskim Wschodzie ostatecznie chyba pozbawiła wszystkich złudzeń. Okazało się, że można robić interesy, nie łącząc ich z normalizacją stosunków z Izraelem.

Wiadomo też, że póki Netanjahu jest premierem i w ogóle dopóki w Izraelu u władzy będzie jakkolwiek prawica, nie ma mowy o niepodległym państwie palestyńskim. Na razie więc Netanjahu przewrotnie i nieubłaganie realizuje plan Trumpa o stworzeniu w Gazie Riwiery Bliskiego Wschodu, w pierwszym etapie zamieniając ją w miejsce nienadające się do życia. ■

Wąska droga smoka



Rozmowa z amerykańską sinolożką Rorry Daniels o tym, czy Pekin przejmie kontrolę nad światem porzuconym przez Donalda Trumpa. I czy Chińczycy nadal powinni studiować w USA.

MATEUSZ MAZZINI: – Donald Trump jako prezydent USA pasuje Chinom?

RORRY DANIELS: – O tak. Pekin chce poszerzać swoją strefę wpływów w organizacjach międzynarodowych. Dlatego im bardziej Amerykanie się z nich wycofują, tym więcej tam Chińczyków. Musimy jednak pamiętać, że Chiny nie są w ogóle zainteresowane odgrywaniem roli podobnej do tej, jaką dotychczas w tych strukturach odgrywały Stany Zjednoczone. To będzie zupełnie inny rodzaj przywództwa.

Jaki?

Chiny poruszają się wąsko, a nie szeroko. Chcą osiągnąć bardzo konkretne cele – własne, narodowe. Tak jest np. z Tajwanem. Wycofanie się Ameryki ze świata stwarza próżnię, w którą Pekin wchodzi, żeby uzyskać silniejszą pozycję względem tej „zbuntowanej” wyspy. Chińczycy nie są zainteresowani pisaniem zasad

świata na nowo, tylko punktową realizacją swojej strategii. To pierwszy powód, dla którego działania Trumpa im sprzyja. Drugi to że obecna administracja USA zdestabilizowała stosunki międzynarodowe. Często nie wiadomo, o co Trumpowi chodzi, a nawet skąd czerpie informacje na temat świata. Ameryka stała się nieprzewidywalna. W takim układzie Chiny chcą być przeciwwagą, kotwicą stabilizującą system. Choć w działaniach Trumpa kryją się też potężne zagrożenia dla Pekinu.

Na przykład wojna celna?

Pierwszy raz od dekad mamy amerykańską administrację, która lubi ryzyko. Trumpa nie bardzo obchodzi, jak na jego posunięcia zareagują np. Chiny. W takim układzie przewodniczący Xi Jinping musi brać pod uwagę swoje własne interesy, cele, ale też wewnętrzną sytuację

w kraju. Musi mieć wszystko pod kontrolą na własnym podwórku, żeby stawić czoło Trumpowi, który ma wielką władzę i potężne instrumenty nacisku na każde państwo świata. Cła to dobry przykład. Dlatego sytuacja jest niejednoznaczna. Tam, skąd Amerykanie się wycofują, Chińczycy zyskują. Ale w obszarach, w których te państwa pozostają w konflikcie interesów, to jednak USA zajmują silniejszą pozycję.

Gdzie Trump może wygrać z Xi Jinpingem?

Nie mogę tego precyzyjnie wskazać, ale wiem, że najbardziej martwi Chińczyków presja wywierana na partnerów handlowych Waszyngtonu. Pekin się boi, że Trump zmusi np. Europę do zmniejszenia skali inwestycji i handlu z Chinami. Amerykanie wciąż mogą to zrobić, bo mają do dyspozycji dolara jako zapasową walutę świata. Mogą też zablokować Chinom dostęp do swojego olbrzymiego rynku. Jeśli wykorzystają to drugie narzędzie, Pekin będzie w tarapatkach, bo model rozwoju gospodarczego Chin oparty jest na swobodnym eksporcie.

Pekin chyba boi się też zmiany sojuszy?

W czasach Trumpa nie ma już czegoś takiego jak stałe sojusze. Jeśli więc np. Waszyngton miałby się porozumieć z Moskwą w sprawie zawieszenia broni w Ukrainie, wtedy relacje Chin z Rosją zupełnie zmienią swój charakter. Podobnie na Bliskim Wschodzie, gdzie Trump chce zmienić układ sił. I jeśli to mu się uda, bliskowschodnie interesy Chin będą zagrożone.

Jaką rolę odgrywa dziś Ameryka w polityce wewnętrznej Chin?

Jest czynnikiem mobilizującym, budującym patriotyczne wzmoczenie, np. wśród przedsiębiorców, którzy w takiej atmosferze są w stanie zaakceptować większe obciążenia ze strony państwa. Komunistyczna Partia Chin wykorzystuje amerykański straszak do zwiększania kontroli nad biznesem, przemysłem i całym społeczeństwem. W jej narracji USA są główną przeszkodą w realizacji marzeń zwykłych Chińczyków.

Amerykani chyba sami do końca nie wiedzą, jak postępować z Pekinem.

Od czasów pierwszej kadencji Trumpa w USA panuje ponoć ponadpartyjny konsensus co do tego, że Chiny są dla Ameryki głównym wrogiem, a tylko w niektórych aspektach rywalem. W rzeczywistości to wcale nie jest tak jednowymiarowe. Jeśli ekspertów i polityków w Waszyngtonie konkretnie zapytać, czego w kwestii Chin boją się najbardziej i jak odpowiedzieć na działania Pekinu, to można dostać wiele sprzecznych odpowiedzi.

Przecież ostra polityka wobec Chin jest dominującym wątkiem w amerykańskiej polityce zagranicznej.

Ale to tylko slogan. Nikt nie wie, co miałyby to oznaczać w praktyce w razie eskalacji. Podobny problem mają zresztą sami Chińczycy, którzy stoją w miejscu, nie specjalnie zmieniając swoje zachowanie mimo szaleństw Trumpa. Ale jednocześnie KPCh stara się przekonać naród, że tylko ona jest w stanie przeprowadzić kraj przez turbulencje, które nadchodzą choćby z powodu amerykańskich ceł.

Trump ignoruje zasady powojennego porządku, grozi Danii, Kanadzie czy Panamie. Czy w tej sytuacji Chiny mogą sięgnąć po Tajwan?

Każdy, kto obserwuje Trumpa, boryka się z pewnym dysonansem poznawczym. Podstawową zasadą amerykańskiej polityki zagranicznej pozostaje globalna dominacja. Jednocześnie widzimy już,

że obecna administracja nie chce własnoręcznie kontrolować całego świata. Szuka raczej regionalnych liderów, którzy będą taką kontrolę sprawować w jej imieniu. W przypadku Azji takie myślenie rodzi sprzeczność. Ameryka nie może tam powstrzymać wzrostu znaczenia Chin bez bezpośredniego zaangażowania, bo w Azji nie ma regionalnego mocarstwa, które zrobi to za nią. Za pierwszej kadencji Trumpa taką rolę próbowała odgrywać Japonia pod przywództwem Shinzo Abe. Jednak Japończycy są na to za słabi.

Może Ameryka powinna stworzyć coś w rodzaju azjatyckiego NATO?

To mało prawdopodobne. I nie wydaje mi się, żeby było konieczne. Nie trzeba mieć gwarancji bezpieczeństwa zbiorowego, żeby powstrzymać ekspansywne zapędy Chin. Świat poszedł do przodu, wszyscy rozstaliśmy się z naiwnym założeniem, że presję militarną można odseparować od politycznej czy ekonomicznej – to główny czynnik, który komplikuje obraz w Azji. Takie azjatyckie NATO miałyby może sens, gdyby Chiny prowadziły tylko modernizację swojej armii i nic więcej. Tymczasem Pekin wykorzystuje całą masę instrumentów wymuszających na innych państwach regionu konkretne działania: cła, kontrole eksportowe, ograniczenia w dostępie do rynku wewnętrznego. A dopiero na końcu dodaje do tego obrazka swoje okręty i myśliwce.

Jak taki wielowymiarowy układ obronny w Azji miałyby wyglądać?

Nie można go stworzyć bez USA.

A administracja Trumpa wyraźnie nie jest zainteresowana wielostronnymi inicjatywami. Dlatego państwa azjatyckie, które chciałyby stworzyć własne NATO, musiałyby jednocześnie podjąć strategiczną decyzję o zerwaniu związków militarnych z Waszyngtonem. To nierealne. Prędzej zobaczymy jakąś formę współzależności gospodarczej, wspólną presję gospodarczą i inicjatywy polityczne, ale w twardej obronności niewiele się wydarzy.

W takim razie co dalej z Tajwanem? Chiny

nie muszą przecież dokonywać inwazji, wystarczy skoordynowana blokada morska.

To pytanie spędza sen z powiek prawie wszystkim w Waszyngtonie. Uważam, że tradycyjnie rozumiana inwazja wojskowa jest mało prawdopodobna – znacznie mniej niż jakieś działania poniżej progu wojny, np. blokada morska. Jak odpowie Trump? Tego nie wie nikt. Sporo będzie zależeć od szczegółów. Czy Chiny uprzedzą Amerykę? Jak Pekin uzasadniłby taką „prawie agresję”? Nie mówiąc już o tym, że blokada Tajwanu oznaczałaby paraliż całego światowego handlu – i tutaj nie wykluczam, że powstałaby jakaś globalna koalicja chętnych, która zaczęłaby negocjować z Pekinem, żeby taka blokada została jednak zniesiona.

A jak na Amerykę patrzą dzisiaj przeciętni Chińczycy? Sekretarz stanu Marco Rubio zapowiedział, że USA będą teraz „agresywnie anulować wizy chińskich studentów”.

Sprawa wiz pokazuje, że, owszem, Waszyngton chce być twardy wobec Pekinu, ale nie ma zielonego pojęcia, jak robić to skutecznie i jak wywołać w Chińczykach dyskomfort. A to z kolei dowodzi, że my w USA nadal nie rozumiemy relacji między chińskim społeczeństwem a KPCh. Nie umiemy sobie nawet wyobrazić, jak wielka jest kontrola partii nad obywatelami.

Jak to się ma do chińskich studentów?

Kiedy w Stanach mówi się o przypadkach szpiegostwa na rzecz Chin, najczęściej chodzi o paru chłopaków latających dronami nad bazą amerykańskiego

wojska. A my nie mamy zielonego pojęcia, czy oni naprawdę szpiegują, czy robią to z poczucia patriotyzmu, czy tylko się wygłupiają. Stosujemy więc opcję nuklearną – zakazujemy wszystkim Chińczykom wszystkiego, teraz nawet studiów. Dlatego gdybym była chińskim studentem, a tym bardziej rodzicem kogoś takiego, tobym się poważnie zastanowiła, czy jest sens płacić ogromne czesne w kraju, który jest wobec ciebie wrogo nastawiony. Przecież Europa czeka, a drzwi tam stoją otworem. ■

Rorry Daniels – dyrektor zarządzająca Asia Society Policy Institute, globalnej sieci think tanków zajmujących się polityką, handlem i sprawami bezpieczeństwa krajów azjatyckich. Członkini Narodowej Komisji USA ds. relacji z Chinami.



Dolina grzybowa



Ketamina, amfetamina, ecstazy, grzybki – oto mieszanka, która pozwalała Elonowi Muskowi przetrwać w świecie Donalda Trumpa. Nie on jeden ma takie wsparcie.

MARIUSZ ZAWADZKI

W latach 60. Rolling Stones wykonywali utwór „Mother’s little helper” – o małych pomocnikach, którzy pozwalają mamie przetrwać kolejny ciężki dzień wypełniony opieką nad dziećmi. Tytułowym bohaterem są żółte pigułki valium, popularnego wówczas leku uspokajającego. Niestety, mama zbyt często korzysta z pomocy... Dlatego dzień, o którym śpiewał Mick Jagger, był jej ostatnim.

Okazuje się, że najbogatszy człowiek świata też potrzebuje małych pomocników – zwłaszcza odkąd rzucił się w wir polityki. Dziennik „New York Times” ujawnia, że Elon Musk nie rozstaje się z pudełeczkiem, w którym trzyma zapas 20 pigułek, poczynając od adderallu, czyli najpopularniejszego w Ameryce wcielenia amfetaminy, poprzez ecstazy, grzybki halucynogenne i ketaminę. Konsekwencje nie są tak drastyczne jak w przypadku niefortunnej mamy, ale również widoczne gołym okiem. Na przykład bieganie Muska po scenie z piłą łańcuchową i wykrzykiwanie, że będzie nią ciąć waszyngtońską biurokrację. Albo serie dziwacznych, niezdarnych podskoków wokół Donalda Trumpa, które z entuzjazmem

wykonywał na wiecach wyborczych latem i jesienią 2024 r.

Oczywiście nie jest przypadkiem, że „New York Times” pisze o tym dopiero teraz, kiedy Musk pokłócił się z Trumpem. Ktoś z otoczenia prezydenta puścił przeciek kontrolowany, żeby skompromitować zbuntowanego miliardera. Jednak nieczyste intencje informatora nie podważają jego wiarygodności. Tym bardziej że już w 2024 r. Musk sam przyznał w jednym z wywiadów, że bierze ketaminę w niewielkich ilościach, zgodnie z receptą od lekarza, żeby pokonać depresję.

Musk nie jest wyjątkiem. Przeciwnie – amerykańscy miliarderzy i milionerzy, szczególnie ci z Doliny Krzemowej, często sięgają po małych pomocników. I specjalnie się z tym nie kryją. Musk sarkastycznie komentował medialne doniesienia o ketaminie: „Wyniki finansowe Tesli dowodzą, że jeśli coś biorę – cokolwiek by to było – to działa znakomicie. I akcjonariusze powinni mnie wręcz zachęcać, żebym to brał nadal”.

„Wall Street Journal” informował, że Sergey Brin, założyciel i współwłaściciel Google, lubi czasami zażyć grzybki halucynogenne. A nieżyjący już założyciel

Apple Steve Jobs przyznawał, że w młodości brał LSD. „Było to głębokie przeżycie, które pozwoliło mi zrozumieć, że tworzenie wielkich rzeczy jest ważniejsze niż zarabianie pieniędzy” – wspominał po latach. Żartował z szefa Microsoftu Billa Gatesa, że nic nie bierze i dlatego jest mało kreatywny. Dopiero niedawno ten ostatni wyznał, że też brał LSD na studiach. Wspomina to jako „kosmiczne doświadczenie”. Obawiał się jednak, że jego mózg tego nie wytrzyma i realne wspomnienia zostaną skasowane jak plik przeniesiony do kosza w Windowsach. Dlatego przestał.

Sam Altman, pionier sztucznej inteligencji i twórca ChatGPT, przyznaje, że na wakacjach w Meksyku brał jakieś psychodeliki, które rzekomo całkowicie go odmieniły. Wcześniej był nieszczęśliwy i niespokojny, ale po tym „transformatywnym doświadczeniu” dolegliwości niespodziewanie ustąpiły.

Ich opowieści są już – w pewnym sensie – nieaktualne. Dziś w Dolinie Krzemowej nie bierze się narkotyków po pracy, lecz w czasie pracy. Stały się elementem tamtejszej kultury korporacyjnej. – *Teraz już miliony ludzi mikrodawkuje psychodeliki. To najszybsza ścieżka, żeby otworzyć sobie umysł* – twierdzi Karl Goldfield,

konsultant z San Francisco, który z autopsji wie, jaka i czego mikrodawka jest właściwa. I doradza kolegom z branży, którzy chcieliby iść jego śladem (mikrodawka to najczęściej 5–10 proc. „pełnej dawki”, taka homeopatia).

„Miliony” to zapewne przesada. Nie taka jednak wielka, bo np. w obecnym pokoleniu amerykańskich gospodyń domowych modne stało się mikrodawkowanie psylocybiny, czyli grzybków halucynogennych. Na Facebooku powstają grupy w rodzaju „Mothers on mushrooms” (ang. „Matki na grzybkach”), których uczestniczki wzajemnie sobie pomagają i dzielą się doświadczeniami. Moderatorka jednej z takich społeczności mówiła w radiu NPR: „Bierzemy niewielkie dawki, po których prawie nic się nie czuje. Ale już po kilku dniach takiego mikrodawkowania życie się zmienia na lepsze”. Wiele matek na grzybkach odstawiło syntetyczne antydepresanty, takie jak prozac, farmaceutyczny przebój lat 90. XX w., reklamowany jako „pigułka szczęścia”. Grzybki uchodzą za lepsze, bo są organiczne, tzn. nie powstały w laboratorium, tylko rosną w ziemi.

Spencer Shulem, szef start-upu Build Better. AI, przyznaje, że mniej więcej raz na trzy miesiące bierze „pełną dawkę” LSD, bo to zwiększa jego kreatywność. Jednak dużo częściej przyjmuje mikrodawkę – zwykle wtedy, gdy zostaje sam w biurze po godzinach. Czemu? „Inwestorzy, którzy decydują o tym, na który start-up włożyć pieniądze, mają bardzo wyśrubowane oczekiwania. Nie szukają normalnych ludzi i normalnych pomysłów. Chcą czegoś niezwykłego” – wyjaśnia Shulem w rozmowie z „Wall Street Journal”. Mikrodawki pomagają mu przeskoczyć z normalności do niezwykłości.

Nauka na razie nie potwierdziła, że mikrodawkowanie psylocybiny czy LSD ma jakiegokolwiek namacalne skutki (pozytywne albo negatywne). Dotychczasowe eksperymenty przyniosły niekonkluzywny rezultat. Jednak wielu inwestorów w Dolinie Krzemowej wierzy, że mikrodawkowanie to biznes, na którym już za kilka lat będzie się zarabiać miliardy. Dlatego finansują kolejne eksperymenty i lobują w Waszyngtonie za legalizacją zakazanych psychodelików.

W swoim optymizmie są podobni do Zygmunta Freuda, ojca psychoanalizy, który uważał kokainę za rewelacyjny

środek, dobry na niemal wszystkie problemy psychiczne. Pisał o tym w 1885 r. w rozprawie naukowej „Über Coca” (niem. „O koce”), którą oparł na serii przeprowadzonych na sobie eksperymentów. Entuzjazm Freuda był w tamtych czasach powszechnie podzielany; do 1903 r. kokaina była składnikiem coca-coli.

Amerykański rząd na razie nie dał się przekonać do psychodelików. Psylocybina, podobnie jak ecstasy czy LSD, pozostaje – zgodnie z prawem federalnym – całkowicie zakazana. Zatem legalnie nie można tych specyfików nigdzie kupić. Krezusi z Doliny Krzemowej zatrudniają podobno chemików – takich jak Walter White ze słynnego serialu „Breaking Bad” – którzy przygotowują małych pomocników na zamówienie. Nie jest to zbyt ryzykowne dla zamawiających, bo władze wielu miast w Kalifornii uznały posiadanie psylocybiny w niewielkich ilościach

Wyniki finansowe
Tesli dowodzą,
że jeśli coś biorę
– cokolwiek
by to było – to
działa znakomicie.

Elon Musk



za „wykroczenie o najniższym możliwym priorytecie” i w praktyce lokalna policja nie będzie za to nikogo ścigać.

Priorytetem policji jest fentanyl, niezwykle silny syntetyczny opioid, który co roku zabija ponad 70 tys. Amerykanów (wskutek przedawkowania). To jednak narkotyk dla biednych – w niektórych miastach pigułkę można dostać za dwa, trzy dolary, a w hurcie nawet za kilkadziesiąt centów. Obecnie wśród amerykańskich bogaczy popularnością nie cieszą się też antydepresanty, takie jak prozac. Musk pisał na Twitterze, że „ketamina jest znacznie lepsza na depresję niż antydepresanty, które zamieniają ludzi w zombie”.

W Dolinie Krzemowej rzadko sięgają też po xanax, który podobnie jak valium uspokaja skołatane nerwy i odpręża, a to działanie odwrotne do oczekiwań ambitnych przedsiębiorców. Xanax był za to – jak donosiły media – bardzo

popularny w Białym Domu za pierwszej kadencji Trumpa. Trwała wtedy nieustanna karuzela stanowisk, nigdy nie było wiadomo, co zrobi prezydent. I dlatego jego ludzie byli bardzo nerwowi. Recepty niezawodnie i bez zbędnych pytań wypisywał lekarz Białego Domu Ronny Johnson. Został za tę uczynność nagrodzony przez kolektyw Partii Republikańskiej, bo obecnie jest jej deputowanym do Kongresu. Nie mamy jeszcze przecieków w kwestii najpopularniejszych pigułek zażywanych w Białym Domu w drugiej kadencji Trumpa. Jako że okazuje się burzliwsza od pierwszej, można się spodziewać, że coś na uspokojenie nerwów nadal jest potrzebne.

Takie zwyczaje w Białym Domu i Dolinie Krzemowej, generalnie rzecz biorąc, nie są niczym niezwykłym. Korzystanie z małych pomocników stało się normą. W Stanach Zjednoczonych lekarze co roku wypisują ok. 50 mln recept na adderall, który teoretycznie ma pomagać pacjentom z ADHD, ale jest stosowany przez całkowicie zdrowych ludzi: studentów, którzy chcą szybko i dobrze przygotować się do egzaminu, albo menedżerów, którzy muszą na wczoraj zrobić prezentację dla zarządu. Jeszcze kilkanaście lat temu bu-

dziło to kontrowersje. W 2008 r. grupa bioetyków i neurologów w magazynie „Nature” orzekła, że „farmakologiczne poprawianie zdolności umysłowych to właściwa droga, która ma wiele zalet dla jednostek i społeczeństw”. Przekonywali, że należy zaakceptować/zalegalizować przyjmowanie stymulantów przez zdrowych ludzi. Artykuł wywołał gwałtowne polemiki. Wybitny amerykański etyk Leon Kass pisał, że „powinniśmy żyć jako autentyczni ludzie, rozwijać się w sposób naturalny i po ludzku wspaniały, akceptując swoje ograniczenia. Jeśli sięgniemy po substancje poprawiające zdolności umysłowe, to może i osiągniemy więcej i szybciej, ale koszt będzie najwyższy z możliwych – przestaniemy być sobą”.

Teoretycznie od 2008 r. nic się nie zmieniło. Nadal potrzebna jest lewa recepta, żeby zdrowy człowiek mógł brać adderall czy ketaminę. Abstrahując jednak od tego, czy Kass miał rację, czy nie, jego argumenty są w praktyce bez znaczenia. Dżin został wypuszczony z butelki i nie ma takiej siły, żeby go z powrotem zamknąć. ■



ILUSTRACJA MIROSŁAW GRYŃ

Tykające bomby

Za jakiś czas broń jądrową może mieć nawet 30 państw. Dlatego obawiam się, że w końcu ktoś jej użyje – mówi Rafael Mariano Grossi, dyrektor generalny Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej (MAEA).

MARCIN ROTKIEWICZ: – **Dzień przed atakiem Izraela na Iran Rada Gubernatorów MAEA – w której zasiadają przedstawiciele 35 państw członkowskich – wezwała władze tego drugiego kraju do zdecydowanie lepszej współpracy z agencją. To konsekwencja krytycznego raportu MAEA na temat Iranu. Co on zawiera?**

RAFAEL MARIANO GROSSI: – Odkryliśmy ślady uranu w lokalizacjach, które nie zostały zadeklarowane jako miejsca prowadzenia działalności jądrowej w Iranie. Od dłuższego czasu staraliśmy się uzyskać wyczerpujące i technicznie wiarygodne wyjaśnienia, skąd się tam wzięły. Bez skutku. Mieliśmy też problemy z dostępem do danych z kamer monitorujących obiekty związane z energetyką jądrową. W raporcie piszemy, że Iran zgromadził już znaczną ilość wysoko wzbogaconego uranu. Taką, która jest bardzo bliska poziomu niezbędnego do budowy bomby. Chociaż sam proces wzbogacania nie jest zakazany, to posiadanie uranu w takiej ilości ma bezprecedensowy charakter – żaden inny kraj nieposiadający broni jądrowej nie prowadzi podobnej działalności.

Chciałbym jednak uściślić, że nie jest to jeszcze równoznaczne ze skonstruowaniem broni jądrowej. Do tego potrzeba bardzo zaawansowanych systemów i komponentów. Niemniej ten zapas wzbogaconego uranu jest czymś, co trudno ignorować. Aczkolwiek MAEA nie jest instytucją, która formułuje oskarżenia, tylko informuje, jak wygląda sytuacja. Decyzja, co z tą wiedzą należy zrobić, nie należy do nas.

Dotychczas wydawało się, że sprawy idą powoli, ale w dobrym kierunku, bo Amerykanom w końcu uda się dogadać z Iranem w sprawie jego programu jądrowego. Mimo że prezydent Donald Trump za swojej pierwszej kadencji zerwał porozumienie z tym krajem. Wrócił jednak do negocjacji po ponownym objęciu urzędu. Wygląda na to, że atak Izraela przekreślił, przynajmniej na razie, wysiłki na rzecz porozumienia.

To, co się wydarzyło 13 czerwca, jest ogromnie niepokojące. Wielokrotnie oświadczałem, że obiekty jądrowe nigdy nie mogą być atakowane, niezależnie od kontekstu czy okoliczności, ponieważ mogłoby to zaszkodzić zarówno ludziom, jak i środowisku.

Co do negocjacji, to byłem przekonany, że fakt, iż USA i Iran rozmawiają ze sobą, stanowi oznakę woli dogadania się, co samo w sobie było pozytywne. Choć czasami różnie to wyglądało, bo bywały dni, kiedy szanse na porozumienie wydawały się większe, ale i takie, gdy malały. Prezydent Trump mówił jedno, Irańczycy odpowiadali czymś innym. Teraz jednak trudno formułować jakiegokolwiek prognozy.

Jaką rolę odgrywała w tym procesie MAEA?

Nie jestem stroną rozmów politycznych, choć pozostaję w stałym kontakcie zarówno ze specjalnym wysłannikiem amerykańskiego prezydenta Steve'em Witkoffem, jak i z Irańczykami. Ale rola MAEA w kontekście jakiegokolwiek porozumienia byłaby kluczowa. Bez nas, czyli możliwości rzetelnej weryfikacji, każde ustalenie to tylko świstek papieru. Jesteśmy na miejscu, znamy wszystkie obiekty i Irańczyków oraz wiemy, kto za co odpowiada.

Nie wiadomo, czy atak Izraela powstrzyma Iran przed wyprodukowaniem bomby atomowej. Jakie miałyby to konsekwencje dla kwestii nierozprzestrzeniania broni jądrowej? Jak ocenia pan szanse, że liczba posiadających ją państw, których obecnie jest dziewięć, nie wzrośnie? Są coraz mniejsze, co bardzo mnie martwi, nie tylko ze względu

na Bliski Wschód, ale również w kontekście obecnej, nowej sytuacji międzynarodowej, m.in. w Europie.

Co ma pan na myśli?

Erozę dotychczasowych pewników architektury światowego bezpieczeństwa. Dlatego to, co było kiedyś tematem tabu, już nim nie jest. Coraz częściej publicznie dyskutuje się o broni jądrowej, czy to w kontekście rozszerzenia tzw. parasola nuklearnego przez sojuszników, którzy już ją mają, czy też dążenia do posiadania własnego potencjału odstraszenia. Takie debaty toczą się nie tylko w Europie, ale również w niektórych rejonach Azji. Szczególnie alarmujące i nowe jest to, że nawet kraje będące dotychczas mocnymi filarami zawartego w 1968 r. Układu o nierozprzestrzenianiu broni jądrowej (NPT) i jednocześnie posiadające odpowiednie technologie oraz zdolności, by ją stworzyć, zaczynają otwarcie rozważać zmianę swojego stanowiska.

Jakie będą tego skutki?

Niestabilny świat, w którym zamiast obecnej, niewielkiej grupy państw nuklearnych mielibyśmy ich 20 czy nawet 30. To technicznie możliwe. A w takim scenariuszu użycie np. taktycznej broni jądrowej, czyli na mniejszą niż strategiczna skalę, stałoby się realną opcją w wielu konfliktach na świecie.

W mojej opinii przeżywamy właśnie moment o ogromnych konsekwencjach dla nas wszystkich. Rozmontowanie systemu opartego na NPT, który – mimo swoich niedoskonałości – przez dekady skutecznie ograniczał rozprzestrzenianie broni jądrowej, byłoby tragicznym błędem. Dlatego często przypominam globalnym przywódcom o ich ogromnej odpowiedzialności za utrzymanie świata z mocno ograniczoną liczbą głowic nuklearnych.

Ta niestabilność ma też kolejny wymiar. MAEA powstała głównie po to, by wzmacniać bezpieczne i pokojowe wykorzystanie technologii jądrowej. Tymczasem wojna w Ukrainie pokazała, że elektrownie mogą stać się celem działań militarnych. Kiedy zaczął się pan obawiać o los tańszych reaktorów atomowych?

Gdy Rosjanie zajęli teren Czarnobyli oraz – na początku marca 2022 r. – Zaporoską Elektrownię Jądrową. Przede wszystkim z powodu zgromadzonych tam dużych ilości materiałów jądrowych. Nasza reakcja musiała być niemal natychmiastowa, więc pojechałem do Ukrainy już pod koniec marca 2022 r., pokonując setki kilometrów wzdłuż linii frontu w opancerzonym SUV-ie. Od tego momentu rozpoczęliśmy intensywne działania, by uniknąć wypadku jądrowego.

Na czym one polegały?

Początkowo nasze podejście było zbyt ambitne, bo dążyłem do utworzenia stref ochronnych wokół wszystkich elektrowni jądrowych. Szybko jednak zrozumiałem, że w konfrontacji o tak terytorialnym charakterze, z ciągłymi ruchami wojsk, tego typu rozwiązanie nie ma szans powodzenia.

Zmieniłem więc strategię i skoncentrowałem się na podejściu, które nazwałbym behawioralnym. Polegało ono na jasnym ►



Rafael Mariano Grossi (ur. w 1961 r.) – argentyński dyplomata i urzędnik międzynarodowy, pracował m.in. w Organizacji ds. Zakazu Broni Chemicznej (OPCW) w Hadze. W 2019 r. został wybrany na stanowisko dyrektora generalnego Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej (MAEA) w Wiedniu. Szefem jego gabinetu jest polski dyplomata Jacek Bylica.



► określeniu działań, których należy unikać, aby zapobiec wypadkowi nuklearnemu. Dotyczyły m.in. zakazu bezpośrednich ataków na elektrownie oraz ich militarystacji. Negocjowaliśmy nawet kwestię konkretnego sprzętu wojskowego, gdyż np. obecność ciężkiej artylerii czy wieloprowadnicowych wyrzutni raketowych na terenie elektrowni fundamentalnie zmieniałaby jej charakter. Stałaby się nie tylko potencjalnym celem, ale również miejscem, z którego można prowadzić działania militarne. Innymi słowy, istniało realne niebezpieczeństwo, że została wykorzystana jako swego rodzaju tarcza dla tego typu sprzętu, przekształcając się w bardzo potężną bazę wojskową. Strona konfliktu, która by coś takiego zrobiła, liczyłaby, że przeciwnik zawała się przed atakiem. Nasze negocjacje miały zapobiec takiemu scenariuszowi.

Czy doprowadzili do podpisania formalnego porozumienia?

Nie, ale po kilku miesiącach starań udało nam się przekonać Rosję i Ukrainę do przestrzegania ustalonych reguł. Ponadto monitorowaniem porozumienia zajmuje się nasza misja ISAMZ (IAEA Support and Assistance Mission in Zaporizhzhia – przyp. red.), która cały czas jest obecna w Zaporoskiej Elektrowni Jądrowej. MAEA ma też analogiczne kilkusobowe ekipy ekspertów we wszystkich pozostałych ukraińskich elektrowniach jądrowych, które pracują pełną parą. Rotujemy je co kilka tygodni, zresztą głównie podróżując przez Polskę.

Co przede wszystkim przekonało obie strony do porozumienia?

Kluczowe okazało się znalezienie wspólnego mianownika, jakim jest uniknięcie wypadku jądrowego.

Mimo brutalnej wojny i faktu, że jedna ze stron jest ofiarą, a druga agresorem?

Tak, choć nie mamy złudzeń, że element pragmatyki też tu zadziałał. Ukraina niezmiennie postrzega Zaporoską Elektrownię Jądrową, największą tego typu siłownię w Europie, jako kluczowy element swojej infrastruktury energetycznej. Jej sześć reaktorów dostarczało przed wojną 20 proc. energii elektrycznej kraju. Trudno zatem doszukać się interesu w zniszczeniu takiego obiektu. Rosjanie z kolei zamierzali włączyć tę elektrownię w swoją sieć energetyczną, ale nadal znajduje się w stanie „uśpienia”.

I pewnie będą chcieli to zrobić.

Tylko że jest m.in. poważny problem z chłodzeniem reaktorów wodą, którą czerpano ze Zbiornika Kachowskiego. Na skutek wysadzenia zapory na Dnieprze przez Rosjan poziom wody gwałtownie się w nim obniżył, co stwarza potencjalne zagrożenie dla systemów chłodzenia elektrowni.

To pierwszy przypadek w historii, gdy jeden kraj zajął zbrojnie działającą elektrownię jądrową innego państwa. Póki więc trwa wojna, nie bardzo wiadomo, kto ponosi odpowiedzialność za taki obiekt.

Niewątpliwie mamy do czynienia z precedensową i bardzo trudną sytuacją. Dlatego znów rozmawiałem w czerwcu na ten temat i w Kijowie z najwyższymi władzami Ukrainy i w Królewcu z delegacją rosyjską.

Jak zatem zareaguje MAEA, kiedy Rosjanie powiedzą: woda do chłodzenia reaktorów już jest, więc je włączamy, a prąd będziemy przesyłać do nas?

Kto ma broń?

Broń jądrową oficjalnie posiadają następujące państwa: Stany Zjednoczone, Rosja, Wielka Brytania, Francja, Chiny, dodatkowo: Indie, Pakistan, Korea Północna oraz Izrael, choć tego nie potwierdzają ani nie zaprzeczają.

Na ten moment mogę tylko przestrzec Rosję, żeby nie podejmowała tak poważnych kroków bez pełnego przekonania, że wszystkie systemy bezpieczeństwa działają prawidłowo i że warunki zewnętrzne, w tym sytuacja militarna, na to pozwalają. Powtórzyłem to Rosjanom w Królewcu.

Czy obie strony konfliktu będą przestrzegać porozumienia o specjalnym traktowaniu elektrowni jądrowych?

W warunkach aktywnego konfliktu zbrojnego trudno mówić o absolutnych gwarancjach. Na przykład ostatnio sytuacja w Zaporoskiej Elektrowni Jądrowej zrobiła się znów niestabilna, gdyż obserwujemy wzrost aktywności wojskowej w tym rejonie. Doszło też do incydentów z udziałem dronów, które naruszały teren siłowni, m.in. w bezpośrednim sąsiedztwie reaktorów.

Pańską kadencję jako dyrektora generalnego MAEA, która zaczęła się w 2019 r.,

cechuje m.in. to, że aktywnie włącza się pan w promowanie energetyki jądrowej.

Nie postrzegam tego jako promowania dla samego promowania. Moim celem jest, by globalna debata na temat energetyki opierała się na faktach i realizmie, zwłaszcza w obliczu wyzwań, przed którymi stoimy. Powodów jest kilka. Po pierwsze, globalne ocieplenie to niezaprzeczalny fakt, więc potrzeba czystych i niezawodnych źródeł energii staje się coraz pilniejsza. Energetyka jądrowa jako stabilna i niskoemisyjna ma tu istotną rolę do odegrania.

Po drugie, technologia jądrowa ewoluowała. Analiza dotychczasowych awarii, przy jednoczesnym uwzględnieniu całokształtu historii eksploatacji reaktorów, pokazuje, że jej bilans bezpieczeństwa jest bardzo dobry. Wskaźnik śmiertelności (zgonów podczas budowy i w trakcie eksploatacji – przyp. red.) jest nawet niższy niż w energetyce wiatrowej czy słonecznej.

Po trzecie, wcześniej dyskusja o globalnym ociepleniu była często zdominowana przez argumenty o konieczności zmiany dotychczasowego stylu życia, co oczywiście ma swoje zalety, ale nie rozwiąże problemu rosnących potrzeb energetycznych świata, które mają się podwoić lub wręcz potroić. Musimy zadać sobie pytanie, co realnie z tym zrobimy?

I po czwarte, przez lata finansowanie energetyki jądrowej było blokowane przez niektóre instytucje, takie jak Bank Światowy, co uważałem za bardzo niedobre podejście. Między innymi dzięki naszym staraniom udało się właśnie doprowadzić do zmiany tej sytuacji, aby kraje miały pełen wachlarz opcji przy podejmowaniu decyzji energetycznych.

Dlaczego w ostatnich dekadach hamowano budowę nowych elektrowni jądrowych?

Opór wobec nich często wynikał z mitów i nieporozumień. Dlatego organizujemy spotkania z dziennikarzami, społecznościami lokalnymi, burmistrzami miast położonych w pobliżu reaktorów jądrowych. Chcemy dać im głos i pokazać, że można żyć bezpiecznie i komfortowo w sąsiedztwie takich instalacji. Ta otwartość i przejrzystość, których moim zdaniem brakowało w przeszłości w instytucjach i przemyśle jądrowym, są kluczowe do zmiany negatywnego nastawienia.

Dziś mówi się o renesansie energetyki jądrowej. Kolejne kraje, a wśród nich Polska, chcą budować nowe elektrownie. I chodzi tu zarówno o duże obiekty, jak i małe reaktory modułowe, tzw. SMR. Czy MAEA jest na to przygotowana, bo w ostatnich latach miał pan problemy z finansowaniem agencji przez państwa członkowskie?

Wolę mówić o realizmie nuklearnym niż o renesansie. Jeśli chodzi o przygotowanie MAEA, to kwestie budżetowe zawsze stanowią pewne wyzwanie. Nie jest jednak dobrym pomysłem, by w obliczu rosnącej liczby zadań po prostu prosić o dodatkowe finansowanie. Taka logika nie sprawdzi się w relacjach z państwami członkowskimi. Oczywiście pewne wsparcie może być potrzebne, ale kluczem jest dla nas adaptacja i wykorzystanie nowych technologii. Jestem zwolennikiem sztucznej inteligencji i automatyzacji, które mogą znacząco usprawnić nasze procesy weryfikacyjne i inspekcyjne. Jeśli kraje mówią o potrojeniu czy nawet czterokrotnym zwiększeniu swoich mocy elektrowni jądrowych, to nie możemy po prostu czterokrotnie zwiększyć naszych zasobów ludzkich czy budynków. To wymaga skoku jakościowego w naszych zdolnościach do weryfikacji, ściślejszej współpracy z państwami członkowskimi i wprowadzania zabezpieczeń już na etapie projektowania elektrowni.

Co do regulacji, od lat mówi się, że są zbyt rygorystyczne, gdyż w sporym stopniu wynikają ze społecznych lęków, a nie z realnej oceny ryzyka. Co można w tej sprawie zrobić m.in. w związku z małymi reaktorami?

Kwestia ta rzeczywiście jest dyskutowana od lat i doskonale rozumiem podnoszone argumenty. Jednak ściśle zasady są absolutnie kluczowe, ponieważ mówimy o działalności wysoce zaawansowanej technologicznie, gdzie bezpieczeństwo i ochrona muszą być na pierwszym miejscu. Aczkolwiek procesy licencyjne bywają niekiedy niezwykle długie, a czasem nawet dochodzi do powielania procedur. Np. eksporter elektrowni jądrowej przechodzi wymagającą ścieżkę licencjonowania u siebie, a następnie kraj importujący powtarza wiele z tych czynności.

Do tej pory regulatorzy współpracowali jedynie w małych grupach, dążąc do uproszczenia i lepszego wykorzystania istniejących rozwiązań, np. amerykańskiego dozoru jądrowego (NRC) z regulatorami z Kanady i Wielkiej Brytanii, a francuskiego z Czechami czy Finami. My po raz pierwszy zgromadziliśmy w ramach Nuclear Harmonization and Standardization Initiative (NHSI) przy jednym stole regulatorów, sektor prywatny, operatorów elektrowni i inne zainteresowane strony. I widzimy już rezultaty tych działań. Nie chodzi jednak o to, by jeden regulator automatycznie akceptował decyzje innego, ale o większą harmonizację.

Jest to szczególnie istotne w kontekście małych reaktorów modułowych. Będą one, w pewnym uproszczeniu, brane jak z półki sklepowej, bo kupuje się je w jednym kraju i instaluje w innym. Jeśli każde państwo będzie

wymagało całkowicie odrębnego, długotrwałego procesu licencyjnego, model biznesowy SMR-ów może napotkać poważne problemy. Dlatego opracowujemy bardziej racjonalne, choć nie mniej rygorystyczne, regulacje dla tej technologii.

Co pan sądzi o niedawnych decyzjach USA dotyczących właśnie energetyki jądrowej? Prezydent Trump podpisał rozporządzenia zmniejszające wymogi wobec tego sektora i zrobił to bez konsultacji z wami...

Mam wrażenie, że intencją tych zmian jest raczej adaptacja przepisów i uczynienie ich bardziej elastycznymi, a nie obniżenie standardów bezpieczeństwa czy ich obchodzenie. Regulacje muszą nadążać za zmieniającymi się technologiami i dynamiką sektora. Aczkolwiek MAEA niezmiennie stoi na stanowisku, że dozór jądrowy powinien być absolutnie niezależny od polityki.

Czy agencja przygotowała jakąś pomoc dla krajów takich jak Polska, które chcą budować swoje pierwsze elektrownie jądrowe?

Tak, mamy specjalny program na każdy etap – od momentu podjęcia decyzji o budowie elektrowni jądrowej aż do jej uruchomienia. Obejmuje on m.in. tworzenie niezależnego dozoru jądrowego, rozwój kadr oraz wsparcie w całym procesie przygotowawczym i realizacyjnym. Przykładem skuteczności tego podejścia są Zjednoczone Emiraty Arabskie, gdzie w ciągu dekady i zaczynając praktycznie od zera – nawet bez małego reaktora badawczego czy urzędu regulacyjnego – z powodzeniem rozwinęto program energetyki jądrowej.

Zdajemy też sobie sprawę, że państwa takie jak Polska, rozpoczynając ambitne programy, będą potrzebowały tysięcy wykwalifikowanych inżynierów, technologów i specjalistów. Dlatego jedną z moich pierwszych inicjatyw było uruchomienie w 2020 r. programu stypendialnego dla młodych kobiet chcących studiować fizykę, chemię czy energetykę jądrową, który nazwałem na cześć Marii Skłodowskiej-Curie. Już ponad 760 studentek ze 129 krajów świata skorzystało z finansowego

wsparcia udzielanego przez MAEA i państwa członkowskie.

Poważnie rozważa pan kandydowanie w przyszłym roku na stanowisko sekretarza generalnego ONZ. Jeśli zostałby pan wybrany, to czy jakoś zmieni się podejście tej organizacji do energetyki jądrowej?

ONZ powinna przede wszystkim szanować działania MAEA jako wyspecjalizowanej agencji zajmującej się kwestiami jądrowymi i zachować neutralność technologiczną w kwestiach energetycznych.

Nie boi się pan obniżenia rangi ONZ, co wydaje się celem prezydentury Trumpa?

Nowa administracja amerykańska może mieć krytyczne spojrzenie, ale jeśli przyjrzymy się bliżej, to inni również podzielają, jeśli nie identyczne, to bardzo podobne oceny. Potrzebne jest więc świeże podejście do rozwiązywania kryzysów przez ONZ.

ROZMAWIAŁ MARCIN ROTKIEWICZ

Międzynarodowa Agencja Energii Atomowej (MAEA)

powstała w 1957 r. w celu promowania bezpiecznego oraz pokojowego wykorzystania nauki i technologii jądrowej oraz zapobiegania jej użyciu w celach wojskowych. Obecnie koncentruje się na trzech obszarach: weryfikacji, czy materiały i obiekty jądrowe są wykorzystywane wyłącznie w celach pokojowych; opracowywaniu norm bezpieczeństwa i promowaniu ich stosowania w celu ochrony ludzi i środowiska przed szkodliwymi skutkami promieniowania jonizującego; wspieraniu pokojowych zastosowań nauki i technologii jądrowej na rzecz zrównoważonego rozwoju oraz w takich dziedzinach, jak zdrowie, rolnictwo i przemysł. Do MAEA przystąpiło 180 państw, a jej główna siedziba znajduje się w Wiedniu.



A góry runą

Lód znika z alpejskich zboczy, a odsłonięte skalne ściany suną w dół, zagrażając mieszkańcom, turystom i infrastrukturze.

ANDRZEJ HOŁDYS

W szwajcarskim kantonie Valais w rozległej dolinie górnego Rodanu, zaledwie 30 km na północ od Matterhornu, winnice wspinają się po zwróconych ku słońcu zboczach na wysokość ponad 1000 m n.p.m. Niewykluczne, że w niezbyt odległej przyszłości będą się wspięły jeszcze wyżej, jeśli sprawdzą się prognozy niektórych szwajcarskich klimatologów, według których w 2060 r. wiele miejscowości w Valais będzie miało klimat podobny do tego, jaki dziś panuje w Toskanii. To, co sprzyja szwajcarskim winoroślom, jest jednak zabójcze dla szwajcarskich lodowców oraz dla turni, grani i urwisk, z których znika wieczna zmarzlina. Bez tego scalającego elementu skała łatwo wietrzeje, atakowana przez deszcz i wiatr. Rośnie ryzyko wielkich obrywów i osuwisk.

Najpierw powoli...

O tym, że dla Alp nadchodzą ciężkie czasy, przekonało się ostatnio w dramatyczny sposób kilkuset mieszkańców **górskiej wioski Blatten** w dolinie Lötschental, dochodzącej z północy do doliny Rodanu. W środę 28 maja po południu została ona niemal całkowicie zniszczona przez gigantyczne ilości mas skalnych i lodowych, które ześlizgnęły się ze zbocza wznoszącego się nad osadą na wysokości ponad 2 km.

Żywiół potrzebował mniej niż minutę, aby unicestwić Blatten. Brązowa skalno-lodowa breja zalała ponad 100 domów, szkołę i kościół parafialny. Budynki trzeba będzie rozebrać.

Na szczęście mieszkańców ewakuowano dziewięć dni wcześniej, bo naukowcy ostrzegli przed możliwym rozpadem niewielkiego lodowca Birchgletscher wsiąającego kilometr ponad miejscowością. W ostatnich latach jego czoło przemieściło się w dół o kilkadziesiąt metrów pod ciężarem coraz to nowych skał spadających z przepaścistych ścian szczytu Kleines Nesthorn (3335 m n.p.m.). Lód zsuwał się najpierw powoli, a z czasem coraz szybciej, aż w połowie maja zaczął tracić stabilność po serii potężnych obrywów, które doprowadziły do częściowego rozpadu trzytysięcznika. Wtedy zarządzono ewakuację.

Jednak nawet naukowcy byli zaskoczeni rozmiarami i impetem żywiołu. Birchgletscher jest maleństwem. Zanim się rozpadł, zajmował około jednej trzeciej kilometra kwadratowego i miał objętość 5,5 mln m sześć. W porównaniu z alpejskimi olbrzymami to mrówka. Ciepło dobiegało do niego już od pewnego czasu. Chudnąc, rozpadł się na trzy segmenty ułożone jeden nad drugim. Znajdował się pod stałą obserwacją, ale spodziewano się, że odejdzie po cichu, nie robiąc nikomu krzywdy. Na mapach zagrożenia nie oznaczono dolnego fragmentu Lötschental jako strefy wysokiego ryzyka.

Czyżby coś przeoczone? Raczej się nie spodziewano, że coraz cieplejszy klimat Alp zacznie w tak szybkim tempie wyganiać z nich wieczną zmarzlinę. Nadal trzyma się ona mocno powyżej 3700 m n.p.m., gdzie temperatury powietrza wciąż są bardzo niskie. Znika natomiast z wielu grani i stoków leżących niżej, na wysokości 2500–3500 m n.p.m. To dziś najbardziej czuła strefa podatna na obrywy i osuwiska. Właśnie w niej znajduje się Kleines Nesthorn. Zasypany przez niego materiałem skalnym lodowiec w końcu stracił równowagę, a zaraz potem ponad połowę swojej objętości. W dół poleciało 3 mln m sześć. lodu i 6,5 mln m sześć. skał, a szwajcarscy badacze mówią o wydarzeniu bez precedensu we współczesnej historii Alp. Masę tej olbrzymiej lawiny oszacowano na 20 mln ton. Przemieszczała się ze średnią prędkością 200 km/h i na dotarcie do leżącej 1200 m niżej wioski potrzebowała 40 sekund. Zasypała dno doliny na długości 2,5 km warstwą gruzu o grubości od 30 do nawet 100 m.

Tragedia pod Marmoladą

Czy taka właśnie przyszłość czeka Alpy i ich mieszkańców? Glaciolog Wilfried Haerberli, emerytowany profesor uniwersytetu w Zurychu, bada wieczną zmarzlinę w górach od trzech dekad. Z jego inicjatywy kilka uczelni i instytutów naukowych stworzyło sieć PERMOS, w ramach której w 27 miejscach w Szwaj-

carii monitoruje się tempo rozsypania się gór za pomocą zdalnie sterowanej aparatury pomiarowej. Haerberli ostrzega, że jeśli temperatury w Alpach wzrosną do końca wieku o kilka stopni, częstotliwość wielkich lawin skalnych, obrywów i innych szybkich ruchów grawitacyjnych gruntu wzrośnie setki razy. Być może z tego powodu trzeba się będzie wycofać z niektórych dolin.

W kwietniu 2024 r. równie wielkie osuwisko zasypało na długości 5 km górny odcinek doliny Val Roseg w Alpach Retyckich. Lawina skał i lodu zeszła błyskawicznie spod szczytów Piz Bernina i Piz Scerscen. Na szczęście nie było tam żadnych ludzkich osad, ale w 2017 r. spod Piz Cengalo, innego szczytu w tym samym paśmie górskim, stoczyła się lawina skał na o objętości 3 mln m sześć., która dotarła do wioski Bondo i zabiła osiem osób. A pod koniec 2024 r. władze kantonu Gryzonja zdecydowały o ponownej – i tym razem zapewne już ostatecznej – ewakuacji wioski Brienz/Brinzauls, na którą w każdej chwili może się zsunąć duży fragment skalnego zbocza.

Jak widać, tu i ówdzie odwrót już się rozpoczął. Nikt nie chce, żeby powtórzyła się sytuacja z lata 2022 r., gdy masy lodu spod Marmolady – najwyższego szczytu Dolomitów – zabiły jedenastu i raniły ośmiu turystów. Serak (wielotonowa bryła lodu) oderwał się od lodowczyka, który jest od dawna rozmięczany przez ciepło. W ciągu dwóch pierwszych dekad tego stulecia stracił jedną trzecią objętości i blisko jedną czwartą powierzchni, a kurcząc się, popękał na wypukłościach terenu. Odpadnięcie jakiegoś fragmentu było kwestią czasu. Ponieważ jednak nie sprawiał wrażenia niebezpiecznego, uspił czujność ludzi. Wystarczyło jednak kilka suchych i upalnych tygodni, aby zmienił się w śmiertelną pułapkę.

Takich dłuższych gorących okresów przybywa w Alpach. Austriacki klimatolog Reinhard Böhm twierdzi, że obecne temperatury w regionie są najwyższe od co najmniej 1500 lat. Taki okres objęła jego rekonstrukcja klimatu oparta na analizie pyłków roślin, osadów z dna jezior, stalagmitów w jaskiniach, słoje drzew i innych pośrednich źródeł. Według Böhma ostatnie dwa dziesięciolecia były w Alpach cieplejsze nawet od wieków X–XII, kiedy to Europa miała wyjątkowo łagodny klimat. Potem zaczął się on ochładzać i trend ten odwrócił się dopiero w połowie

XIX w. Wtedy też skończył się dobry czas dla alpejskich lodowców, które wcześniej przez wiele stuleci schodziły coraz niżej w doliny.

Topnieją po angielsku

W XX w. średnia roczna temperatura w Alpach wzrosła o ponad 2 st. C. W porównaniu ze średnią globalną klimat ociepla się tu zatem dwa razy szybciej. Daniel Farinotti, glaciolog z politechniki ETH w Zurychu, sięgnął po fotografie stereoskopowe wykonane przez służby geodezyjne w latach 30. XX w., aby ocenić, o ile skurczyły się od tego czasu szwajcarskie lodowce. Przejrzał 21 tys. takich zdjęć z 7 tys. lokalizacji, stwierdzając, że w okresie od 1931 do 2016 r. straty lodu wyniosły 55–60 proc. Im bardziej na południe, tym były większe. Proces ten przyspiesza.

Współczesne pomiary pokazują, że w latach 2016–21 szwajcarskie lodowce skurczyły się o kolejne 12 proc., a w dwóch kolejnych sezonach doszło do istnej rzezi. W 2022 r. ubytek wyniósł 6 proc., a w 2023 r. – 4 proc. „W dwa lata straciliśmy więcej lodu niż w ciągu trzech dekad od 1960 do 1990 r. Najmniejsze lodowce praktycznie pozniakały, a większe pękają, zapadają się i cofają. Mamy do czynienia z dramatyczną zmianą, której nie wyobrażaliśmy sobie jeszcze kilkanaście lat temu” – komentuje Matthias Huss, szef szwajcarskiej sieci pomiarowej GLAMOS monitorującej dzień po dniu stan 1400 lodowców. Większości z nich, według Hussa, nie będzie za ćwierć wieku.

Spośród ok. 5 tys. alpejskich lodowców cztery piąte to maleństwa o powierzchni poniżej 3 km kw. Wszystkie czeka zagłada. Część zniknie po angielsku, inne mogą sprząść przez pewien czas kłopoty, w końcu jednak i one przejdą do historii. Pozostaną te największe o powierzchni powyżej 10 km kw., których jest raptem ok. 20. I one jednak tracą znaczną część swojej masy, a jeśli sprawy przybiorą zły obrót, stracą ją całą. Największy francuski lodowiec Mer de Glace spływający z masywu Mont Blanc wycofuje się w tempie ok. 100 m na rok, Gorner w masywie Monte Rossa jest dziś krótszy o 3 km niż sto lat temu. Tyle samo ubyło pierwszemu na liście alpejskich olbrzymów – lodowcowi Aletsch w Alpach Berneńskich zajmującemu powierzchnię ok. 80 km kw.

Czy on też mógłby w ogóle zniknąć? Owszem. Jego objętość wynosi dziś 12–13 km sześć., a w połowie XIX w., czyli

na początku epoki przemysłowej, tego lodu było 21–22 km sześć., jak niedawno wyliczyli glaciolodzy Johannes Reinthaler i Frank Paul. Zatem schudł już znacznie, prawie o połowę, ale najgorsze dopiero przed nim. Huss i drugi badacz Guillaume Jouvét wykonali symulacje zachowania lodowca w kolejnych dekadach XXI w. W optymistycznym scenariuszu, w którym temperatura globalna nie przekracza 2 st. C, licząc od początku epoki przemysłowej, lodowiec kurczy się „tylko” o połowę do końca stulecia. W mniej korzystnym (ale realistycznym), w którym temperatura wzrasta o ok. 3 st. C, główny jezior lodowca o maksymalnej grubości 800 m znika całkowicie, a niedobitki lodu wycofują się do wysokogórskich mateczników pod pionowymi ścianami czterotysięczników.

Tysiące nowych jezior

Nawiasem mówiąc, rzeź ma charakter globalny. Pod koniec maja na łamach „Science” grupa naukowców (m.in. Farinotti i Huss) wykazała w serii symulacji komputerowych, że nawet gdyby temperatura globalna przestała rosnąć od jutra, lodowce górskie na Ziemi nadal by się kurczyły i w 2100 r. byłyby mniejsze o dwie piąte niż dziś. A wzrost temperatur o 3 st. C do końca wieku skończyłyby się redukcją łącznej objętości lodowców górskich o 76 proc. Skutki społeczne, ekonomiczne i środowiskowe byłyby olbrzymie – lodowce zasilają w wodę wiele ważnych rzek. Doszłoby również do sporych przeobrażeń w krajobrazie górskim, np. w Alpach pojawiłyby się tysiące nowych jezior w zagłębieniach wydrążonych przez lód.

Zresztą tak już kiedyś było. Badania paleoklimatyczne wykazują, że 4–5 tys. lat temu, gdy na Ziemi było nieco cieplej niż dziś, Alpy były prawie wolne od lodu. Zaczął on się znów gromadzić przed ok. 3 tys. lat w wyniku zmiany klimatu na chłodniejszy. Jednak ciepło odchodziło powoli, z czego skorzystał między innymi Hannibal, który w III w. p.n.e. powiodł wielką armię Kartaginy przez podniebne alpejskie przełęcze. W pierwszych wiekach średniowiecza nie zdołałby już narobić kłopotów Rzymianom. Zaczęły się bowiem chłody, które – z przerwą na ciepłe stulecia od X do XII w. – potrwały aż do początków ery przemysłowej. Potem, wiadomo, do gry wkroczył człowiek. ■

Inwazja Nikodemów



W jakiś czas po odzyskaniu suwerenności państwa następuje wymiana jego elit. Polityków z dorobkiem, o szerokich horyzontach zastępują partyjni karierowicze. Przypominamy, jak to wyglądało w II Rzeczypospolitej.

ANDRZEJ KRAJEWSKI

Czytelników katowickiego dziennika „Polonia”, wydawanego przez Wojciecha Korfantego, zaintrygowała wiosną 1930 r. debiutancka powieść Tadeusza Dołęgi-Mostowicza. Nosiła tytuł „Ostatnia brygada”, co było aluzją do powszechnie używanego określenia „czwarta brygada”. Tak nazywano karierowiczów, którzy zaczęli dominować w obozie sanacyjnym tak skutecznie, iż udawało im się odsuwać od stanowisk nawet legionowych weteranów z trzech istniejących niegdyś brygad. Mostowicz napisał o nich rymowaną parodiującą pieśń „My, Pierwsza Brygada”. Zaczynała się ona:

„Nie trzeba nam od was uznania,
Ni waszych serc, ni waszych brow.
Nam trzeba coś do całowania
I na to mamy pełnię praw”.

Kogo i w co zamierzali całować bohaterowie piosenki, słuchacze domyślali się bez podpowiedzi. Podobnie rzecz się miała z aluzjami odnajdowanymi w powieści. Jej bohaterem był Andrzej Dowmunt, który dorobiwszy się fortuny w Afryce, wrócił do Polski. Jak streszcza w biografii Tadeusza Dołęgi-Mostowicza „Parweniusz z rodowodem” Jarosław Górski, ów „był silnym pełnym energii i przedsiębiorczości Polakiem, takim jakich według endeckiego wyobrażenia było nam trzeba, aby móc budować silną politycznie i gospodarczo ojczyznę”. Ale Dowmunt zderzył się z rzeczywistością kraju rządzonego przez „ostatnią brygadę”, gdzie zmiany na lepsze okazywały się niemożliwe. Opowieść o nim mogła się kojarzyć z osobą Korfantego.



Prezydent Ignacy Mościcki wręcza buławę marszałkowską Edwardowi Rydzowi-Śmigłemu, Zamek Królewski w Warszawie, 11 listopada 1936 r. Powyżej: Tadeusz Dołęga-Mostowicz, ok. 1930 r.

Sławny przywódca trzeciego powstania śląskiego okazał się w niepodległej Polsce znakomitym biznesmenem. Był udziałowcem kilku banków, zasiadał w radzie nadzorczej Banku Wzajemnych Ubezpieczeń „Vesta” w Poznaniu. Należały do niego dzienniki „Rzeczpospolita” i „Polonia”. Finansował działalność Polskiego Stronnictwa Chrześcijańskiej Demokracji, mogącego pochwalić się 16 posłami w Sejmie. Sam też sprawował mandat poselski. Ale dawne zasługi dla kraju i wielki dorobek nie miały znaczenia dla rządzących, gdy poczuli się zagrożeni utratą władzy. Niedługo po tym, jak ukazał się ostatni odcinek powieści Mostowicza, życie dopisało do niej epilog. Na polecenie Józefa Piłsudskiego rozpoczęła się rozprawa z najbardziej niewygodnymi przywódcami opozycji. Korfantego aresztowano 26 września 1930 r. i dostarczono do Twierdzy Brzeskiej. Podobnie jak nieco wcześniej liderów Centrolewu. Dołęga-Mostowicz, uważnie obserwując te zachodzące w II RP zmiany, znów siadł do pisania i od stycznia 1931 r. na łamach dziennika „ABC” zaczęła ukazywać się w odcinkach „Kariera Nikodema Dyzmy”.

Elita nie do przecenienia

Jeśli spojrzy się na poczet polskich przywódców, którzy w 1918 r. stanęli na czele II Rzeczypospolitej, to trudno się nimi nie zachwycić. Każdy z nich to nieprzeciętna osobowość obdarzona licznymi talentami. Niedoszły lekarz (studiował przeciw medycynie) Józef Piłsudski był nie tylko przebiegłym konspiratorem, ale też znakomitym publicystą i felietonistą. Nie skończywszy żadnej uczelni wojskowej, czerpiąc wiedzę jedynie z fachowych podręczników, sam wyedukował się na dowódcę. Po czym potrafił zarządzać operacjami militarnymi, w których brały udział setki tysięcy żołnierzy.

Z wykształcenia przyrodnik Roman Dmowski okazał się ideologiem tak wpływowym, że od stu lat na niwie polskiej myśli narodowej nikt nie może się z nim równać. Ignacy Paderewski, nim został premierem, zażył sławy jednej z największych gwiazd muzyki tamtych czasów. Gdy odbywał tournée po Stanach Zjednoczonych lub Europie, sale koncertowe pękały w szwach. Podczas Światowego Expo w Chicago w 1893 r. zmuszono go do bisowania przez ponad trzy godziny. W tym czasie syn niepiśmiennego chłopca z Wierzchosławic Wincenty Witos poszedł do szkoły w wieku 10 lat i po drugim roku zakończył edukację, bo ojcu zabrakło pieniędzy. Ale nauczył się czytać i pochłaniał książki, które pożyczał mu dyrektor szkoły. Wszystko, co osiągnął, zdobył samodzielnie, począwszy od stanowiska wójta Wierzchosławic, po mandat posła do austriackiej Rady Państwa. W wolnej Polsce był trzy razy prezesem Rady Ministrów.

Nieco starszy Ignacy Daszyński w wieku zaledwie 30 lat wyrósł na lidera ruchu socjalistycznego w całej monarchii Habsburgów. To jego czescy i austriaccy socjaliści uczynili prezesem swego koła w austriackim parlamencie. Założyciel Socjaldemokratycznej Partii Robotniczej Austrii Victor Adler w 1899 r. napisał do towarzyszy: „Daszyński rzeczywiście jest wybitnym człowiekiem. Gdybyśmy go nie mieli w parlamencie, źle by nam się działo”. Potem

okazało się, iż Polak owszem jest liderem lewicy, ale patriotycznej, dla której odzyskanie niepodległego państwa stanowiło priorytet.

Do tej listy nieprzeciętnych osób można dodać jeszcze wiele znakomitych postaci. Wspomnianego już Korfantego, umiejącego zrobić karierę polityczną w Niemczech pomimo olbrzymiej wrogości, z jaką stykali się tam Polacy. Znakomitego ekonomistę Stanisława Grabskiego, wybitnego inżyniera i pioniera budowy hydroelektrowni Gabriela Narutowicza, wyróżniającego się matematyka i specjalistę od mechaniki prof. Kazimierza Bartła.

Ich wszystkich wyróżniało nie tylko wyrastanie ponad przeciętność, ale też dorobek, szerokie horyzonty i wiedza o świecie.

Zatem na początku istnienia II RP budowali ją wybitni światowcy. Po czym kilka lat później zaczęli znikać ze sceny politycznej. Ustępowali miejsca niespecjalnie lotnym wykonawcom rozkazów.

Na początek szeroki obóz

Po zamachu majowym Piłsudski, choć skupił w swym ręku narzędzia pozwalające na wprowadzenie dyktatury, narzucił sobie ograniczenia w korzystaniu z nich. Trzymając się ram nowelizowanej w sierpniu 1926 r. konstytucji marcowej, dążył do zbudowania szerokiego obozu politycznego, obejmującego lewicę, ugrupowanie centrowe i konserwatystów. Tak, by sprawować władzę w oparciu o niego. Jednocześnie

uderzał cały czas w endecję, chcąc ją rozbić i zepchnąć na margines sceny politycznej. „W tym czasie Piłsudski nie rządzi jeszcze Polską przez swych byłych oficerów, od których może żądać stawania »na bacność« przy każdej sprawie, lecz jak gdyby współpracuje ze społeczeństwem” – wspominał na kartach „Historii Polski od 11 listopada 1918 do 17 września 1939” Stanisław Cat-Mackiewicz. I uzupełniał: „Stosunek do większości sejmowej, która jest opozycyjna, reguluje się przy pomocy dowcipnych, lecz naciąganych interpretacji przepisów Konstytucji 17 marca”.

Mimo to proces selekcji negatywnej elit już się zaczął i to symbolicznie, bo od nominalnie najważniejszego stanowiska w państwie. Marszałek, choć został wybrany przez Zgromadzenie Narodowe na prezydenta, nie przyjął urzędu. Wolał kierować państwem z „tylnego siedzenia”. Natomiast do roli prezydenta za podpowiedzią Bartła wyznaczył jego kolegę z Politechniki Lwowskiej, prof. Ignacego Mościckiego. Wprawdzie ów

był znakomitym chemikiem, ale jeśli idzie o talenty polityczne, to najlepiej mówiła o nich relacja Bartła. Gdy sprowadził Mościckiego do Warszawy i oznajmił mu, że ma zostać prezydentem, ten wpadł w panikę. Jednak Bartel wiedział, jak ją przeczłując. „Połączyliśmy go telefonicznie ze Lwowem, żeby rozmówił się z panią Michaliną, znaczy profesoremką Mościcką” – wspominał. Uspokojonego i lepiej usposobionego profesora odwiedziono wówczas na rozmowę do Marszałka.

Piłsudski ujrzał w Mościckim dwie cenne zalety. „Był to piękny, rasowy okaz Polonusa z mlecznobiałą czupryną i takimż wąsem, jakby żywcem z dawnych wieków we współczesność przeniesiony” – opisywał potem prezydenta francuski ambasador w Warszawie Leon Noël. Od imponującej aparycji ważniejsza była druga ▶



„Kariera Nikodema Dyzmy”
Tadeusza Dołęgi-Mostowicza
– „najgłośniejsza powieść
niepodległej Polski”

► zaleta. „Mościcki rozplywał się w Piłsudskim, unicestwił się w religijnym jakimś oddaniu i nie ma mowy o tym, by mógł być dla niego głosem krytycznym – nie mówię już o tym, żeby mu się w razie potrzeby przeciwstawił” – odnotował w pamiętniku Maciej Rataj. Aż do śmierci Marszałka jego prezydent pozostawał ideałem posłuszeństwa. A inni zaczęli do niego równać.

Brygada pułkowników

„Okres drugi. Wchodzi tu sejm wybrany w roku 1930 i trwający do roku 1935, który już miał większość rządową (...). Wtedy już Piłsudskiemu ani demokraci Bartel, ani konserwatysta Meysz-towicz nie są potrzebni; władza przechodzi do »pułkowników«” – wspominał Cat-Mackiewicz. Owa zmiana zaszła dużo dramatycznie, niż wynika z opisu redaktora naczelnego wileńskiego „Słowa”. Wcześniej rządzący Polską obóz sanacyjny wymienił wojewodów i starostów na osoby ze swoich szeregów. Towarzyszyła temu czystka w armii, z której usunięto ok. 6 tys. oficerów, w tym ponad setkę generałów. Pozbywano się kadr, które karierę wojskową zaczynały w armiach zaborczych. Szkopuł w tym, że byli to ludzie starannie wykształceni w akademiach militarnych. Zastąpili ich szybko awansujący legionieści.

Potem to samo spotkało ministerstwa i instytucje kontrolowane przez państwo. Fachowców zastępowały „zaufane osoby”. Powszechna wymiana kadr otwierała szansę awansu najbardziej bezwzględny karierowiczom, umiejącym za pośrednictwem stworzonego przez Walerego Sławka Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem (BBWR) wejść do obozu sanacyjnego. Tak narodziła się osławiona „Czwarta Brygada”. W międzyczasie pod koniec 1929 r. światem wstrząsnął Wielki Kryzys, którego skutki Polska odczuła wyjątkowo mocno. Załamaniu ekonomicznemu towarzyszyła próba odzyskania władzy przez opozycję zjednoczoną w Centrolewie.

Piłsudski zareagował brutalnie. Na jego polecenie prezydent Mościcki rozwiązał Sejm i przywódcy Centrolewu we wrześniu 1930 r. trafili do Twierdzy Brzeskiej. Potem wybrano nowy parlament. Acz wybory zorganizowano tak, by BBWR na pewno zdobył w nich większość. Jednocześnie Marszałek przestał zabiegać o poparcie różnych ugrupowań politycznych od lewa do prawa, współpracujących dotąd z sanacją. Zajmujący się tym Kazimierz Bartel pełnił po raz trzeci urząd premiera do połowy marca 1930 r. Wówczas podał się do dymisji, wiedząc, że Piłsudski już nie widzi dla niego miejsca w wielkiej polityce. Po wycofaniu się z niej wrócił na Politechnikę Lwowską.

Z otoczenia Piłsudskiego zaczęli też znikać inni wierni mu politycy, umiejący coś więcej niż tylko wykonywanie rozkazów. „W maju 1933 r. doszło do istotnego przesilenia w obozie belwederskim. Premiera Prystora zastąpił Janusz Jędrzejewicz. W samym od wykonywania władzy konstytucyjnej został odsunięty kolejny (po Zaleskim) »samodzielny« piłsudczyk. Prystor uważał niepodważalny autorytet Marszałka, ale potrafił samodzielnie egzekwować swoje uprawnienia władcze” – tłumaczy Jerzy Gaul w monografii „Trzymajcie się z Zachodem...: Józef Piłsudski w poszukiwaniu polskiej racji stanu”. Tak najważniejsze stanowiska trafiły w ręce młodych oficerów z legionową przeszłością. Większość z nich dosłużyła się stopnia pułkownika.

Najbardziej samodzielny wśród nich płk Józef Beck został osobą odpowiedzialną za polską politykę zagraniczną. Reszta ślepo wykonywała rozkazy Komendanta, zarządzając państwem. Tak zmiany się domykały. „Piłsudski jako Naczelnik Państwa nie

uchyla się od pracy ze swoimi wrogami, nie odsuwa wybitnych indywidualności, przeciwnie, szuka ich” – wspominał Mackiewicz. Ale dodawał: „W czasie swej dyktatury nie szuka już indywidualności gotowych stawić mu czoło, spierać się, mieć własne zdanie. Przeciwnie, ucieka od takich indywidualności. Nie szuka już kontrowersji, żąda, by go słuchano i nie nudzono kontrargumentami czy własnym zdaniem”.

Triumf Dyzmy

„W rok 1932 wkracza Mostowicz jako autor najgłośniejszej powieści niepodległej Polski. Pierwszy nakład książkowy został rzucony przez wydawnictwo Rój do składów księgarskich na początku roku i rozszedł się błyskawicznie” – opisuje Górski. „Karierę Nikodema Dyzmy” puszczał wcześniej w odcinkach dziennik „ABC” i gdy jeden z nich skonfiskowała cenzura, zrobiło się głośno o powieści w całym kraju. „Rzecz niesłychana: na samym dniu wielkiego kryzysu książkowy debiut pisarza wydrukowany najprawdopodobniej (tu relacje się różnią) w nakładzie 50 tysięcy egzemplarzy, i to w drogim, dziesięcioczęściowym wydaniu w twardej okładce, leżał na półkach księgarskich może dwa tygodnie” – dodaje Górski. Ludzie chcieli czytać książkę o rzeczywistości, w której żyli, szukając w niej aluzji do znanych piłsudczyków.

Najbardziej spodobał im się opis, jak łatwo prymitywny cham z prowincji mógł zrobić wielką karierę tylko dlatego, że potrafił się odnaleźć we wszechobecnych układach spajających obóz władzy. W takich realiach dla osób nazbyt utalentowanych i samodzielnych pozostało niewiele miejsca. Witos i Korfanty, żeby nie trafić na dłużej do więzienia, wyjechali za granicę. Dmowski zaszył się na wsi. Daszyński podupał na zdrowiu i w 1936 r. zmarł. Władysław Grabski i Kazimierz Bartel wybrali pracę na wyższych uczelniach, a Paderewski spokojne życie na emigracji. W kraju po śmierci Marszałka władzą podzielili się: Ignacy Mościcki, Edward Rydz-Śmigły i Józef Beck. Godząc się, by kompromisowym premierem pozostawał Felicjan Sławoj Składkowski. Mackiewicz pisał o nim: „miał rozmach, dynamiczność, ujawniał ją zwłaszcza w sprawach, do których dorósł, a więc przede wszystkim w sprawach klozetów i urządzeń sanitarnych”.

Jakość triumwiratu zarządzającego premierem nie była o wiele lepsza. Ale nie mogła też być inna, ponieważ w obozie sanacyjnym zbudowano system selekcji blokujący awans jednostkom zbyt uzdolnionym z obawy o ich lojalność. Gdy zabrakło wodza, mierni politycy, których wyniósł na szczyty, potrafili zachować władzę dzięki zlikwidowaniu demokracji i zachowaniu kontroli nad aparatem państwa. Jednak poza utrzymaniem władzy na wiele więcej już ich nie było stać.

ANDRZEJ KRAJEWSKI



KUP TERAZ

Więcej w Pomocniku Historycznym POLITYKI
„DWIE DEKADY DRUGIEJ RP”,
do kupienia na sklep.polityka.pl



Orwellowskie imperium

Caroline Elkins, **Dziedzictwo przemocy. Historia imperium brytyjskiego**, przeł. Marek Fedyszak, Znak Horyzont, Kraków 2025, s. 896

Wielka Brytania kojarzy się zazwyczaj z dobrotliwą królową Elżbietą II lub muzyką The Beatles – miękką siłą byłego imperium. Jednak, jak zauważył kilka lat temu premier Boris Johnson, imperium brytyjskie w ciągu ostatnich 200 lat kierowało najazdami lub podbojem 178 krajów, czyli większość państw ONZ. To jedna z największych potęg w historii, zajmowała powierzchnię niemal jednej czwartej lądów zamieszkałych przez 700 mln ludzi i przypominała rozdwojoną postać doktora Jekylla i pana Hyde’a.

Caroline Elkins opisała jej ciemną stronę. We wcześniejszej, nagrodzonej w 2006 r. Pulitazerem książce „Rozliczenie z imperium. Przemilczana historia brytyjskich obozów w Kenii” opisała obozy koncentracyjne, przez które przeszło od 11 do 300 tys. więźniów. Doprowadziła do rozliczeń z częścią niechlubnej brytyjskiej przeszłości, a w finale do przeprosin Londynu oraz wypłacenia rekompensat ofiarom. W „Dziedzictwie przemocy” autorka powraca do mrocznej i brutalnej opowieści o imperium, w której ofiarami „misji cywilizacyjnej” stali się w równym stopniu kolorowi mieszkańcy, co Irlandczycy oraz Afrykanerzy. Dwoistość imperium jawi się niczym wyjęta z książki „1984” Orwella, która przecież została napisana w czasie, gdy Wielka Brytania zaczęła tracić swoje kolonie. Lektura „Dziedzictwa przemocy” może mieć także wymiar uniwersalny, gdy na wschodzie Europy następują próby odrodzenia imperialnego myślenia.



MAREK SOBCZAK

Pojedynek agentów

Mark Harmon, Leon Carroll, **Szpiedzy w Pearl Harbor**, przeł. Jacek Sikora, wyd. Przeżwyty, Warszawa 2025, s. 277

Japoński atak na Pearl Harbor zdecydował o przystąpieniu USA do drugiej wojny światowej i w pełni zasługuje na miano punktu zwrotnego w dziejach XX w. Harmon i Carroll nie szukają odpowiedzi na pytanie, dlaczego Japonia zdecydowała się na ten krok. Nie ma tu strategicznych ani politycznych analiz. Jest za to wartka opowieść spod znaku płaszcz

i szpady o szpiegach, podwójnych agentach i całkowitej bezradności służb supermocarstwa. Jest to również historia zbiorowej historii i naginania litery prawa w imię „bezpieczeństwa narodowego”. Autorzy bazują na relacjach z pierwszej ręki: powojennych zeznaniach amerykańskich i japońskich agentów biorących udział w rozgrywce na Hawajach. Główni bohaterowie, Douglas Wada i Takeo Yoshikawa, stoją po różnych stronach barykady i choć nie widzieli się na oczy, przez lata po ataku na Pearl Harbor toczą między sobą pojedynek, który nie kończy się wraz z kapitulacją Japonii. Książka jest zarazem odtrutką na teorie spiskowe, jakoby amerykański rząd wiedział o planowanej napaści, ale nie przeciwdziałal jej, bo chciał pretekstu, aby przystąpić do wojny. Z lektury wynika jednak, że ludzkie błędy i niekompetencja są bardziej szkodliwe niż spiski.



TOMASZ TARGAŃSKI

Czterej jeźdźcy i bestseller

Walter Scheidel, **Wielki Zrównywacz. Przemoc i historia nierówności od epoki kamienia do XXI wieku**, przeł. Paweł Szadkowski, wyd. Glowbook, Siedlce 2025, s. 536

Jedna z bardziej inspirujących książek ostatnich lat doczekała się polskiego przekładu. Autor, profesor historii starożytnej z Uniwersytetu Stanforda, stawia w niej tezę, że najbardziej skuteczne zmniejszenie nierówności w dziejach było zawsze efektem przemocy. Tylko czterej jeźdźcy Apokalipsy – wojna totalna, rewolucja, upadek państwa i pandemia – byli w stanie realnie wyrównać dochody i majątki. Pokoju, edukacji i reform Scheidel nie skreśla, ale pokazuje, że w perspektywie długiego trwania nie były w stanie zadziałać równie radykalnie. Autor analizuje dane od Cesarstwa Rzymskiego po współczesne USA, pokazując, że boom egalitarystyczny XX w. był raczej wyjątkiem niż regułą. Twierdzi, że tylko brutalne wstrząsy rzeczywiście zmniejszały nierówności społeczne. Ale jego teoria, choć przekonująca w ujęciu historycznym, staje się mniej adekwatna, gdy spojrzymy na wydarzenia współczesne. Pandemia Covid-19, która



przyszła już po publikacji książki, zamiast wyrównać szanse, pogłębiła istniejące podziały majątkowe. Wojna w Ukrainie czy napięcia geopolityczne nie doprowadziły do redystrybucji majątku ani reform porównywalnych z tymi po drugiej wojnie światowej. Czy to znaczy, że Scheidel się myli? Niekoniecznie – raczej jego model działa tylko w warunkach totalnej mobilizacji i systemowych zapaści. A te jeszcze się nie wydarzyły. Scheidel nie analizuje nowszych zjawisk – wpływu platform cyfrowych, przemian geopolitycznych czy nowych modeli akumulacji kapitału w Chinach, Indiach, państwach Zatoki Perskiej. Jednak książka pozostaje ważna jako ostrzeżenie. Jeśli nie znajdziemy skutecznych łagodnych mechanizmów, powrót któregoś z „jeźdźców” może być kwestią czasu.

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA

Bilet w jedną stronę

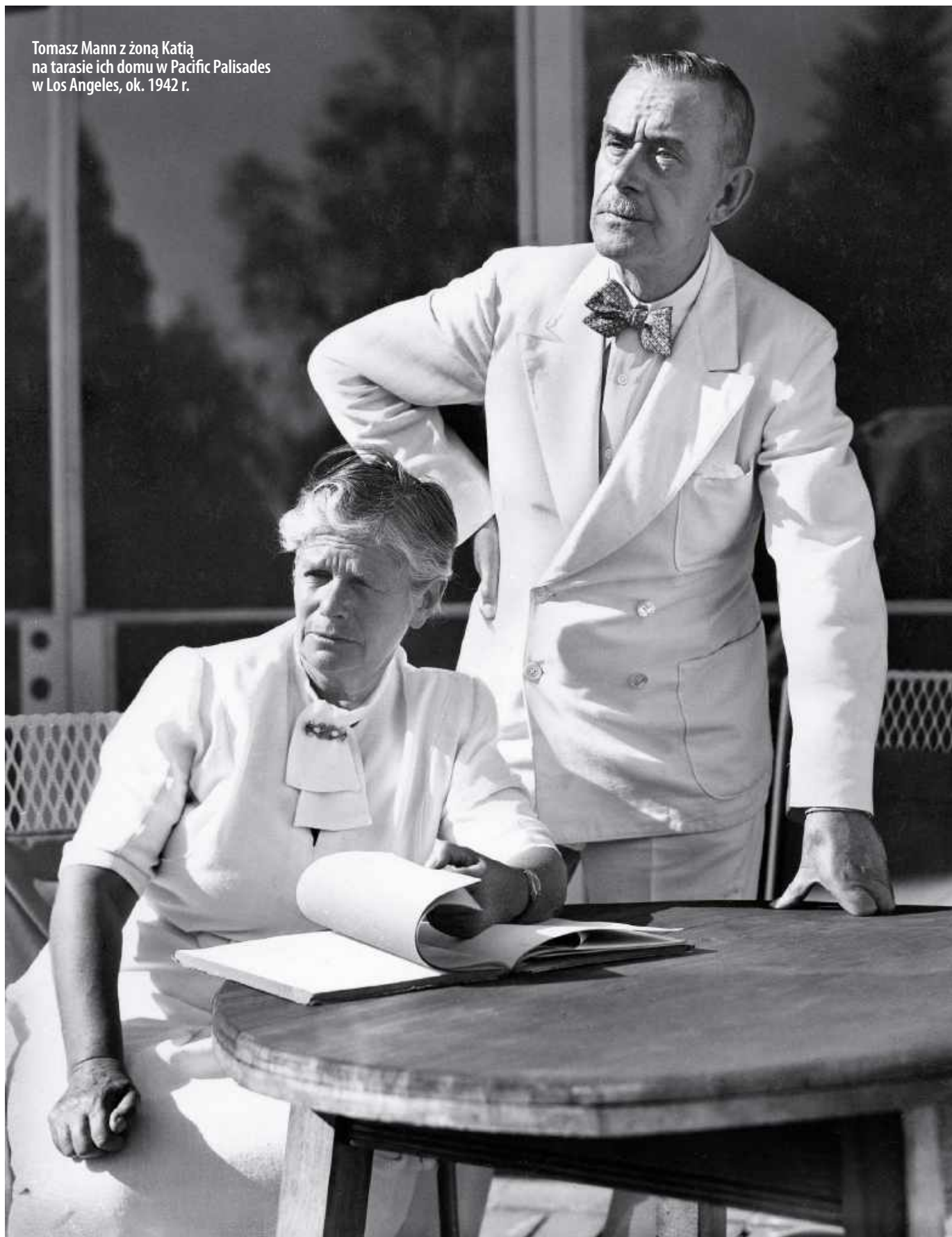
Ryszard Kaczmarek, **Czy jestem Niemcem? Przesiedleńcy z Polski do RFN i NRD w latach 1950–1991**, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2025, s. 492

Dreckige Polen (brudni Polacy) – taki stereotyp funkcjonował w Niemczech od końca XIX w. Niewiele lepiej określani byli sami Niemcy, którzy z Polski Ludowej emigrowali do obu państw niemieckich. Większość czytelników tej recenzji wrzuci ramionami – przecież w PRL żadnych Niemców nie było. Uciekli w latach 1944–45 bądź zostali wypędzeni zaraz po wojnie. Komunistyczna propaganda twierdziła, że udało się stworzyć państwo bez mniejszości etnicznych. A jednak na tzw. Ziemiach Odzyskanych Polacy nie tylko żyli w poniemieckich domach, jedli obiad na poniemieckich talerzach, ale też przez długi czas mieli Niemców za sąsiadów. Ilu ich pozostało w Polsce po 1950 r., trudno stwierdzić. Zachodni Niemcy szacunki mówiły o milionie. Na południu, np. w Wałbrzychu, pracowali w kopalniach, na północy w rolnictwie. Jeszcze w 1957 r. partyjny propagandysta przekonywał, że „hodowla w woj. koszańskim opiera się na sile robotniczej niemieckiej”. Ciekawa i dobrze udokumentowana książka Ryszarda Kaczmarka opowiada o drodze przez mękę tych Niemców, którzy chcieli opuścić Polskę, o dyplomatycznych grach ich kartą oraz nie zawsze miękkim ładowaniu w NRD i RFN, gdzie, o paradoksie, swoi traktowali ich jak obcych.



MARCIN ZAREMBA

Tomasz Mann z żoną Katią
na tarasie ich domu w Pacific Palisades
w Los Angeles, ok. 1942 r.



© ULLSTEIN BILD/GETTY IMAGES

Kazania Manna

Niemcy świętują 150-lecie urodzin Tomasza Manna – noblisty, wielkiego pisarza, który w czasie drugiej wojny światowej przemawiał do rodaków z amerykańskiego wygnania. Jego apele brzmią dziś przygnębiająco aktualnie.

ADAM KRZEMIŃSKI

WLubece, gdzie 6 czerwca 1875 r. urodził się autor „Buddenbrooków”, prezydent Frank-Walter Steinmeier otworzył znamieną wystawę „Moje czasy. Tomasz Mann a demokracja”. Przed uroczystym koncertem przemawiał wnuk noblisty – Frido – także pisarz. A w księgarniach stopy nowych prac „mannologów”, które rozchodzą się jak pączki w tłusty

czwartek. Przejaw tęsknoty za wartościami i splendorem staro-inteligenckiego świata? Literaci nadal duszą naródów? My mieliśmy sezon Gombrowicza i Miłosza, Niemcy mają rok Tomasza Manna. I ogólnokrajową galę.

Twórczość literacka jest zwykle jakimś odpryskiem zawirowań biograficznych autora na tle epoki. W powieściach Manna – od „Buddenbrooków” po „Doktora Faustusa” – było to egzystencjalne zderzenie artysty z jego rolą w mieszczańskim społeczeństwie. A w jego działalności publicznej – przejście od narodowego zadufania w czasie pierwszej wojny światowej do wsparcia Republiki Weimarskiej. I pozostanie na emigracji w Szwajcarii, a potem w Stanach Zjednoczonych po przejściu władzy przez Hitlera w 1933 r.

Do powojennych Niemiec Tomasz Mann już nie wróci. Odwiedzi w 1949 r. Weimar, Frankfurt, Monachium, ale z amerykańskim paszportem osiadł w Szwajcarii.

Lata rozchwiania

To był trudny wybór. W Ameryce Mann spalił swoje dzienniki sprzed 1933 r., ale potrzebne do „Doktora Faustusa” monachijskie zapiski z czasów rewolucji 1918–19 zostawił. I są one świadectwem silnego rozchwiania. Zagłosował na narodowych liberałów, ale cenił też socjaldemokratę Friedricha Eberta – przyszłego prezydenta. Gdy w marcu 1919 r. powstała w Monachium „Republika Rad”, bał się rozstrzelania za swoje wojenne publikacje. Sam miotał się między skrajnościami: „Jestem w stanie wybiec na ulicę i krzyknąć »Precz z zachodnią kłamliwą demokracją! Niech żyją Niemcy i Rosja! Niech żyje komunizm!«”.

To jednak tylko papierowy radykalizm, bo wkrótce cieszył się z „przywrócenia mieszczańskiego ładu”. Notował: „W dyktaturze wojskowej swobodniej się oddycha”, a także: „Nie miałbym nic przeciwko temu, by tych szkodników rozstrzelano”. Co okrop-

ne, bo komunistów rzeczywiście zabijano. Jest też w tych zapiskach nieobecna jeszcze w szerszym obiegu formuła „rewolucji konserwatywnej”.

13 października 1922 r. w mowie ku czci 60-letniego Gerharta Hauptmanna nazywa autora „Tkaczy” „ludowym królem” republikańskich Niemiec, „socjaldemokratycznego prezydenta – „ojcem Ebertem” i „uzdolnionym dzieckiem szczęścia”, przeciwstawieniem „wymiękłego wielkiego pana”, zbiegłego w 1918 r. do Holandii cesarza Wilhelma II. Zakończył wezwaniem: „Niech żyje republika!”. Prawica szydziła, że poprzednio światowiec zmienił się w narodowca, a teraz odwrotnie... I do dziś pokolenia badaczy roztrząsają, na ile ta przemiana brała się z serca, a na ile była wykalkulowana.

Mann, jak wielu, był także koniunkturalistą, ale pozostał na republikańskim kursie. I – co znamienne – gdy w latach 20. katolicki burmistrz Kolonii (po wojnie kanclerz Republiki Federalnej) Konrad Adenauer występował na rzecz odzyskania dla Niemiec utraconych kolonii w Afryce, pisarz głosił, że te czasy już minęły, a jego sympatie są po stronie Mahatmy Gandhiego. Złośliwi twierdzą, że mówił tak, mając na uwadze Nagrodę Nobla, którą – z pewnymi oporami wewnątrz szwedzkiej Akademii – przyznano mu w 1929 r. Nie za niedawno ukończoną „Czarodziejską górę”, dziś uchodzącą za „powieść stulecia”, lecz za „Buddenbrooków” z 1901 r.

Prezydent na wygnaniu

W ostatnich latach Republiki Weimarskiej przemówienia Manna były zakłócanie przez hitlerowskie bojówki, czemu przyglądali się ubrani w smokingi przedstawiciele „rewolucji konserwatywnej”. Gdy 30 stycznia 1933 r. naziści marszami z pochodniami witali kanclerstwo Hitlera, Mann przygotowywał się do odczytów w Amsterdamie, Brukseli i Paryżu. Wyjechał 10 lutego. I na wiadomość z domu, by nie wracał, poprosił syna o jak najszybsze wysłanie mu – bez czytania – jego dzienników z minionych lat. Wpadł w panikę, gdy zostały zatrzymane na granicy, bo były w nich homoerotyczne wyznania. Jednak gestapo interesowały jedynie dowody ewentualnych wykroczeń podatkowych i w kwietniu dzienniki dotarły do Francji. Częściowo spalone zostały dopiero w Kalifornii.

Mann nie chciał wracać do Niemiec, ale zwlekał z ostatecznym zerwaniem. Wciąż miał tam czytelników. Decyzję podjął wiosną 1936 r. Władze odczekały berlińską olimpiadę i jesienią pozbawiły Manna obywatelstwa. Od ręki uzyskał czechosłowackie, a jego miejscem pobytu stała się Szwajcaria. Ale jedno i drugie było niepewne. W 1938 r. przeniósł się z rodziną do Ameryki. ►

► Już trzy lata wcześniej był tam honorowany jako „najznamienitszy niemiecki literat”, a jako twarz „innych Niemiec” gościł go w Białym Domu prezydent Franklin D. Roosevelt. Choć sam nie bardzo czuł prozę Manna, to na nobliście zrobił wielkie wrażenie.

Przybывая do Ameryki, pisarz oświadczył niczym niekoronowany monarcha: „Tam są Niemcy, gdzie ja jestem”. Przed 20 tys. zebranych na mityngu w Madison Square Garden wołał: *Hitler must fall!* Appearance Anglii i Francji poprzez zgodę na okrojenie Czechosłowacji uznał w eseju „Ten pokój” za zdradę i „jedną z największych hańb w historii”. Słusznie przewidywał, że Hitler się nie zatrzyma.

Tomasz Mann był już wprowadzonym tłumaczony na angielski, ale w Ameryce jeszcze niezbyt czytany. Toteż źródłem jego dochodów były najpierw głównie dotowane *lecture tours*. Do 1943 r. w coraz lepszej angielszczyźnie wygłosił w pięciu turach 90 odczytów, także w domach wpływowych osób. To zainteresowanie sytuacją w Rzeszy spadło po Pearl Harbor w grudniu 1941 r., ale ruszyło z kolei zainteresowanie Mannem na amerykańskim rynku książkowym. Zatem finansowo był niezależny i w styczniu 1942 r. rodzina mogła się przenieść do reprezentacyjnej willi w Pacific Palisades na przedmieściach Los Angeles. Prezydent Steinmeier nazwał ją teraz „Białym Domem emigracji”, ponieważ zbierała się tu śmietanka mieszkających w pobliżu prominentnych uchodźców z Trzeciej Rzeszy, a Mann był swoistym „prezydentem na wygnaniu”. Willa Mannów przetrwała niedawne kalifornijskie pożary i wykupiona w 2016 r. przez rząd niemiecki, jest „miejszem transatlantycznych spotkań”.

To tam Tomasz Mann roztrząsał pakt niemieckiej historii z diabłem. Prawą ręką pisał „Doktora Faustusa”, a lewą – to jego słowa – „rzucił kamieniami w okna Hitlera”. Rewersem 700-stronicowej powieści są niespełna 10-minutowe felietony dla niemieckich słuchaczy nadawane co miesiąc przez BBC. Dla brytyjskiej propagandy wojennej na Niemcy pozyskała Manna córka Erika, która w czasie bitwy o Anglię poleciała do Londynu, by pracować w sekcji niemieckiej tej stacji. Pierwszy z 59 felietonów „Niemieccy słuchacze!” nadano już w październiku 1940 r. i podobnie jak kilka następnych został odczytany przez lektora. Z czasem do Rzeszy docierał także i głos noblisty – nagrywany w studiu NBC w Hollywood, przesyłany na płytach pocztą lotniczą do Nowego Jorku i kablem do Londynu, gdzie – znów nagrany na płytę – był odtwarzany przed mikrofonem. Według ocen BBC mimo zagłuszenia i drakońskich kar docierał do ok. 3 mln słuchaczy.

Uzgodniono, że Mann będzie mówił do Niemców z perspektywy amerykańskiej, a nie brytyjskiej – i to do Niemców popierających Hitlera, a nie tych w opozycji. Miał pokazywać niezłomną wolę i siłę Anglosasów w obronie demokracji i wartości Zachodu. Był też dobrze poinformowany. W Kalifornii otrzymywał materiały wprost z Białego Domu – już w 1941 r. mówił o masowym gazowaniu Żydów, terrorze w Polsce i Czechach, o masowej



Tomasz Mann roztrząsał pakt niemieckiej historii z diabłem. Prawą ręką pisał „Doktora Faustusa”, a lewą – to jego słowa – „rzucił kamieniami w okna Hitlera”.

likwidacji jeńców radzieckich. Z pasją i odrazą analizował przemówienia Hitlera, Goebbelsa, Schiracha. Jego bohaterami byli Roosevelt i Churchill, a z czasem także siła oporu armii radzieckiej. Bronił alianckich bombardowań – także rodzinnej Lubeki. I – nieco na wyrost – żywił nadzieję, że jednak Niemcy sami obalą hitleryzm. Nie wiedział, że studenci z Białej Róży, którzy po Stalingradzie rozrzucili na uniwersytecie w Monachium ulotki, za co zostali ścięci na gilotynie, inspirowali się jego audycjami.

Nie było reakcji Manna ani na lądowanie aliantów w Normandii, na zamach Stauffenberga ani na powstanie warszawskie i wyzwolenie Paryża, bo od maja 1944 r. do stycznia 1945 r. przerwał nadawanie. Otrzymał amerykańskie obywatelstwo, pisał „Faustusa” i wykładał w Princeton. Do audycji wrócił tuż przed Jałtą i zakończył je 10 maja, po klęsce Niemiec, by 8 listopada zabrać jeszcze raz głos na antenie BBC, odpowiadając na list otwarty, by wrócić

do okupowanego kraju. Tłumaczył, że z egoistycznych powodów nie wróci. Nie chce ceremonii powitalnych, a potem podgryzania, że porzucił Niemców w trudnej chwili, że „emigracja wewnętrzna” byłaby większym patriotyzmem niż zewnętrzna.

Mann, Miłosz, Sołżenicyn

„Mnie obczyzna zrobiła dobrze. Swoje niemieckie dziedzictwo zabrałem ze sobą. Nie ominęło mnie też nic z niemieckiej niedoli tych lat, nawet jeśli osobiście nie byłem przy tym, jak w Monachium runął mój dom. Niechaj mi będzie wolno trwać przy mojej światowej niemieckości, w domu i na wysuniętym posterunku niemieckiej kultury, który postaram się jeszcze przez kilka lat życia z godnością utrzymać” – mówił. Wojenne felietony dla niemieckich słuchaczy brzmią dziś przynębiająco aktualnie.

Czymże się różnią cytowane przez Manna złowieszcze słowa Goebbelsa z 1944 r.: „Spójrzmy na świat i zadajmy sobie pytanie, czy życie miałoby dla ludzkości jeszcze sens, gdyby nasi wrogowie dopięli celu”, od słów Putina z 2018 r.: „A cóż jeszcze jest wart świat, w którym nie ma Rosji”? Różnią się tym, że Hitler nie miał bomby atomowej, a atlantycki Zachód był zjednoczony – w sojuszu ze stalinowskim ZSRR, już wówczas kosztem środkowo-wschodniej Europy. Dziś Putin w imię rosyjskiego rewizjonizmu najeżdża sąsiednie kraje i grozi bronią atomową, podczas gdy atlantycki Zachód jest podzielony i nieodecydowany.

Oto, co mówił Mann Niemcom w Wigilię 1940 r.: „Bezgraniczna jest wasza wiara, a raczej wasza łatwowierność. Wierzyście podtemu krętaczowi i rzekomemu triumfatorowi, że za jego i waszą sprawą nastać ma świat odarty z wszystkich wartości, takich jak prawda, wolności i prawo, bez których nie tylko chrześcijanin nie może być chrześcijaninem, ale po prostu człowiekiem”. Po czym wzywa Niemców do opamiętania, bo przecież nie chcą być nienawidzeni, ale kochani. W gruncie rzeczy przeraża ich i wprawia w rozpacz „konieczność odgrywania wroga ludzkości”.

Te „kazania” Mann traktował poważnie jako kluczową część swej rozprawy z niemieckością. Podobną rolę wobec swoich rodaków odgrywali z emigracji dwaj inni nobliści – Czesław Miłosz i Aleksander Solżenicyn. Choć Białym Domem polskiej emigracji była raczej siedziba „Kultury” w podparyskim Maisons-Laffitte, a pustelni Solżenicyna w stanie Vermont niepodobna nazwać centralą demokratycznej Rosji.

Mann nie doczekał się samowyzwolenia Niemców i nie wrócił do okupowanych Niemiec ani do żadnej z dwóch konkurencyjnych republik, choć je odwiedził w 1949 i 1955 r. – z jednej strony honorowany, z drugiej znienawidzony za wojenne odczyty. Niemieccy emigranci wcale nie byli kochani. Miłosz wrócił do Polski „okrągłostołowej”, ale przez neoendeckich „prawdziwych Polaków” też nie został zaakceptowany. Solżenicyn natomiast – nie kryjąc mimo swych „amerykańskich lat” niechęci do Zachodu – wrócił do Rosji od wschodu, przejechał triumfalnie przez Syberię i czuł się nieźle w imperialnych oparach Cerkwi i putinizmu. Aneksji Krymu i najazdu na Ukrainę nie doczekał, ale trudno sobie wyobrazić, żeby stanął po stronie Ukraińców.

Gdyby zobaczył Trumpa...

Co Tomasz Mann powiedziałby dziś na Amerykę Trumpa? Trochę ją poznał, gdy w czasie zimnej wojny zaczęto go szarpać o „przedwczesny antyfaszyzm” w latach 20. Magazyn „Life” uznał go za „przyjaciela komunistów” – obok Einsteina i Chaplina. W 1943 r. pisarz twierdził, że „prerażenie mieszczańskiego świata na samo słowo komunizm, tak długo będące pożywką

faszyzmu, ma coś z zabobonu, dziecinady, jest główną głupotą naszych czasów”. Mówił to mimo czystek i obozów, paktu Hitler-Stalin i Katynia, na fali rooseveltowskiego zbratania z „wujkiem Joe” po Stalingradzie i Teheranie. A w 1952 r., obawiając się przesłuchania przed komisją McCarthy’ego, z amerykańskim paszportem osiadł w Szwajcarii.

Na pytanie redakcji „Zeit Geschichte”, co Mann sądziłby o Ameryce Trumpa, getyński profesor germanistyki Heinrich Detering odpowiada, że wprawdzie Mann uciekł z realnej Ameryki, bo zawsze obawiał się tamtejszej odmiany faszyzmu, to jednak pozostał wierny amerykańskim ideałom. Byłby szczęśliwy ze zwycięstwa Joe Bidena w 2021 r., „teraz jednak ziściłaby się jego zmosfera. Zwyciężyła karykatura kapitalizmu, jakiej nawet Tomasz Mann w »Czarodziejskiej górze« nie był sobie w stanie wyobrazić”.

U nas Tomasz Mann zawsze miał entuzjastów. W dwudziestoleciu u „Fukiera” otoczyła go literacka „warszawka”. W 1955 r. w Weimarze była pod jego wrażeniem Maria Dąbrowska, potem jej „Przygody człowieka myślącego” miały być „polskim Faustusem”. W latach 70. nowofalowi poeci na „Czarodziejskiej górze” ćwiczyli pytanie – czy być jak Naphta, czy jak Settembrini? Potem okazała się ulubioną książką Lecha Kaczyńskiego. A w końcu Olga Tokarczuk przeniosła „Czarodziejską górę” w Sudety („Empuzjon”).

Oby tylko nikt spoza gór i rzek czy zza oceanu nie musiał wygłaszać kazań „europejskim słuchaczom!”.

ADAM KRZEMIŃSKI

REKLAMA

POLITYKA



PODKASTY I WIDEOKASTY



słuchaj i oglądaj

polityka.pl/podkasty

youtube.com/@PolitykaPL



film

Irackie piekło 3/6

Wojna (Warfare), reż. Alex Garland, Ray Mendoza,
prod. USA, 95 min, Prime Video

Kilka lat temu w „Civil War” Alex Garland ponuro fantazjował, jak mogłaby wyglądać kolejna amerykańska wojna domowa. I choć rzeczywistość (jeszcze) fabuły nie dogoniła, podczas drugiej kadencji prezydenckiej Donalda Trumpa ogląda się ten film z nieco większym niepokojem. Teraz brytyjski reżyser postanowił przypomnieć, jak wojna – nie bratobójcza, lecz prowadzona przez Amerykanów na obcej ziemi – wygląda z bliska. Nie siląc się na epicki fresk, skupił się na wydarzeniach z jednego dnia bitwy o Ramadi w 2006 r., gdy oddział Navy SEALs wpadł w zastawioną przez Irakijczyków zasadzkę. Tytułowa wojna została tu skondensowana do jednostkowego doświadczenia (scenariusz powstał wyłącznie na podstawie wspomnień i relacji amerykańskich żołnierzy). Akcja filmu rozgrywa się z grubsza w czasie rzeczywistym, w jednym budynku i jego najbliższym otoczeniu.

Krótką wizyta w piekle na ziemi: kilkadziesiąt minut pełnego napięcia wyczekiwania na rozwój wydarzeń, drugie tyle bezlitosnej krwawej jatki toczącej się w ogłuszającym huku wystrzałów i krzyku rannych żołnierzy.

Pod względem realizacyjnym to majstersztyk: lekcja montażu obrazu i dźwięku warta pewnie paru nominacji do Oscarów. Garland, który do reżyserskiej współpracy zaprosił Raya Mendozę, weterana z Iraku i uczestnika pokazywanych na ekranie wydarzeń (jego rolę gra w filmie D'Pharaoh Woon-A-Tai, znany z serialu „Rdzenni i wściekli”), wie, jak utrzymać napięcie. Nie mitologizuje wojny, pokazuje ją z trudną do zniesienia krwawą dosłownością. Jego film nie może być doświadczeniem przyjemnym, lecz z pewnością jest imponujący. Tylko niewiele z tego wynika: wojenne piekło pokazywane było w kinie w jeszcze bardziej ekstremalnej formie (od „Szeregowca Ryana” Stevena Spielberga po niedawną oscarową ekranizację „Na Zachodzie bez zmian” Edwarda Bergera), operacji w Iraku także poświęcono kilka znaczących produkcji. Na ich tle „Wojna”, choć zrealizowana z biegłością, sprawia wrażenie zaledwie przypisu do większej opowieści.

JAKUB DEMIAŃCZUK

Strach przed obcym 3/6

28 lat później (28 Years Later), reż. Danny Boyle,
prod. Wielka Brytania, USA, 2025, 122 min

Nowy sequel głośnego horroru „28 dni później”, luźno inspirowanego dystopijną powieścią Johna Wyndhama „Dzień tryfidów”, wygląda jak opowieść o inicjacji 12-letniego chłopca (**Alfie Williams**), który odkrywa, że wszyscy naokoło kłamią. Niezwykle w jego drodze ku dojrzałości jest to, że aby przetrwać, wszyscy – łącznie z ojcem – wymagają od niego, by szybko nauczył się iść dalej – refleksja jednego z ocalańców oddaje intencje tego nieznośnie brutalnego, ale chyba na swój sposób ambitnego horroru Danny'ego Boyle'a. Piszę „chyba”, gdyż coś więcej na temat głębszych treści będzie można powiedzieć dopiero po obejrzeniu całego cyklu (druga część zaplanowanej trylogii wejdzie na ekrany za pół roku). Z dziwnych, wyglądających na punkową



chronikę ludzkości wstawek z czasów drugiej wojny światowej wymieszanych z fragmentami „Henryka V” Laurence’a Oliviera, włączając w to wysmarowaną jodem postać wyglądającą jak pułkownik Kurtz, graną przez **Ralphę Fiennesa**, można wysnuć wniosek, że rzecz jest zakrojona na dużo szerszą metaforę. Brytyjskiej mitologii podboju? Supremacji białej rasy? Wkrótce się przekonamy.

JANUSZ WRÓBLEWSKI

Teatr i alimenty 4/6

Kobieta samotna, reż. Anna Smolar, Teatr Powszechny w Warszawie i Malta Festival Poznań

Po świetnym „Melodramacie” sprzed dwóch lat, prezentującym współczesne spojrzenie na motywy i bohaterów „Pętli” Wojciecha Jerzego Hasa, Anna Smolar na podobnej zasadzie sięga po inny film – „Kobietę samotną” Agnieszki Holland. Tam tematem było współzależnienie, tu w centrum jest sprawa samodzielnego/samotnego rodzicielstwa, gdy ojciec nie tylko nie angażuje się w opiekę nad własnym dzieckiem, ale także nie płaci na nie alimentów, a państwo (i Kościół) od lat nie wykazuje się determinacją w walce z alimentciarzami. Spektakle łączy scenografia (głaz), w dużej mierze obsada, taniec jako środek wyrazu rozbijający realizm spektaklowych sytuacji oraz pewne wątki – choćby rozmowa o wynajmie mieszkania w wykonaniu Anny Ilczuk i **Karoliny Adamczyk**. „Kobieta...” opowiada bardziej zwartą historię, z jedną główną bohaterką (Ilczuk), próbującą pogodzić pracę i wychowywanie syna (w tej roli raperka i freestyle’owa tancerka Ryfa Ri), w otoczeniu nauczycielki i rodziców dzieci z klasy Bogusia, próbujących pomagać, ale też nieustannie oceniających. To spektakl dobrze podsumowujący 11-letnią dyрекcję Pawła Łysaka, który Powszechny widział jako teatr silnie angażujący się w sprawy społeczne. Dobitnie też potwierdza, że swojej następczyni Mai Kleczewskiej zostawia perfekcyjny zespół aktorski. Czego tym razem zabrakło? Może więcej skrótów i metafory, więcej takich scen jak udawane rozmowy telefoniczne w wykonaniu Ilczuk i Michała Czachora – wtedy ważny spektakl staje się też porównywalnym teatrem.

ANETA KYZIOŁ



Kult biznesu 4/6

Władysław Reymont, **Ziemia obiecana**, reż. Maja Kleczewska, Teatr Zagłębia w Sosnowcu

„Ziemia obiecana” w adaptacji Tomasza Śpiewaka i reżyserii Mai Kleczewskiej (od września dyrektorki Teatru Powszechnego w Warszawie) jest grana w zabytkowym budynku dawnego banku, który, jak zapowiada teatr, „ma stać się nowoczesnym centrum łączącym biznes i kulturę”. Ambicją twórców było wpisanie klasycznej powieści w kontekst współczesnego, cyfrowego kapitalizmu i jednocześnie w historię miejsca – Sosnowca, którego początki przypominają łódzkie, opisane przez Reymonta. Jednak wszystko to można wyczytać raczej z rozłożenia akcentów i dosadnego prowadzenia postaci, bo dwugodzinny – kameralny, filmowy i filmowany – spektakl jest zaskakująco wiernym streszczeniem książki i mógłby być świetną pomocą dla licealistów, gdyby nie sceny nagości, które mogą odstraszyć nauczycieli. To wciąż historia o wyzysku i bezwzględności, na których zbudowany jest kapitalizm, ten XIX-wieczny i ten XXI-wieczny, i o nieustającej fascynacji (a może raczej czci) biznesmenami-wizjonerami, którym – mimo kolejnych plajt – ludzie, firmy i instytucje powierzają oszczędności. Karol Borowiecki (**Paweł Charyton**), tutejsza wersja Elona Muska, wręcz nie może się opędzić od inwestorów, pracodawców i zakochanych w nim kobiet, gotowych na każde poświęcenie i upokorzenie. I jemu, i jego współnikom, Maksowi (**Aleksander Bli-tek**) i Morycowi (**Tomasz Kocuj**), zdarzają się momenty wyrzutów sumienia, ale machina kapitalizmu: rozkręcanie biznesu, wizja przyszłych zysków i pozycji zabija w nich wątpliwości. I człowieczeństwo. Zwycięzców się nie sądzi, a przegrani są w tym świecie żałośni. AK



Przed lustrem 4/6

FAUNA. Zwierzęta na wojnie i ich ludzie, Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku, do 30 grudnia

galeria



Wystawa kreśli panoramę relacji między ludźmi a innymi zwierzętami. Tłem jest zakończona 80 lat temu druga wojna światowa. Mnogość ról, w jakich obsadzamy zwierzęta, wiele mówi o nas samych jako ludziach: towarzysze, ofiary, a nawet żywa broń (przykładem radzieckie psy przeciwpancerne, wbiegające podczołgi z przypiętymi materiałami wybuchowymi). Jest również druga strona medalu. Wstrząsające rysunki z płonącej Hiroszimy, gdzie cierpienie po detonacji bomby atomowej dotyka zarówno ludzi, jak i bezbronne zwierzęta. Ból jest naszym wspólnym ponadgatunkowym doświadczeniem, o czym tak wielu z nas niestety zapomina. To niewątpliwie jeden z najmocniejszych wątków ekspozycji, w którą sztuką została subtelnie wpleciona i zręcznie wzbogaca narrację. Całość uzupełniają prace m.in. Kingi Burek oraz Łukasza Surowca. Wielowątkowość może jednak odrobinę przytłoczyć, a granica między umiarem a nadmiarem jest cienka. Nie zmienia to faktu, że wystawa zadaje wiele słusznych, nader aktualnych pytań. Skłania do pogłębionej refleksji nad tym, w jaki sposób podchodzimy do zwierząt. Czy traktujemy je jako rzeczy, czy czujące istoty? Ekspozycja w znacznej mierze stanowi bowiem studium ludzkiego okrucieństwa.

ALEKSANDER ŚWIESZEWSKI

książki Fragmenty książek na stronie: www.polityka.pl/czytelnia

Dzika Rzeczpospolita 5/6

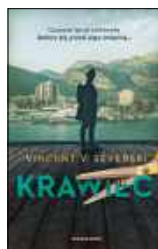
Paweł Rzewuski, **Krzywda**, ArtRage, Warszawa 2025, s. 352

Awanturczka, emocjonująca powieść w realiach I Rzeczypospolitej? Pierwsze myśli biegną w stronę Trylogii, ale „Krzywda” ucieka od skojarzeń z Sienkiewiczem. Nie powiela sarmackich mitów, lecz raczej próbuje je naruszać, a wielką historię spycha na drugi plan, odsłaniając chwilami paskudne (a znacznie rzadziej szlachetne) oblicze Polski – buzującego tygla narodów i wyznań, wstrząsanego kolejnymi wojnami, rokoszami, zajazdami. W prozie Rzewuskiego to kraj fascynujący, lecz nieprzewidywalny i niebezpieczny, bo „Krzywda” łączy historyczne realia z horrorem, inspirowanym zarówno słowiańską mitologią, jak i klasyką gatunku, od Stokera po Lovecrafta. I okazało się, że sarmacka Polska – z okrucieństwem Dzikich Pól, krwią



przelewana za najmniejsze zniewagi, potworami w ludzkich i nieludzkich skórach – doskonale współistnieje z literaturą grozy. Pięć spiętych narracyjną klamrą opowiadań o Stanisławie Wróblewskim herbu Krzywda, szukającym zemsty na swoim okrutnym bracie Gedeonie, układa się w całość gęstą i ciemną niczym piekielna smoła, pisaną z pasją i bez kompleksów. Rzewuskiemu udało się przy tym zachować równowagę między językową stylizacją a czytelnością przekazu, wiernością historycznym realiom a gatunkową swobodą. „Krzywda” nie jest debiutem – autor ma na koncie, obok książek popularyzujących historię, także udany retrokryminał „Syn bagien” – ale to dla niego nowe otwarcie. Literatura popularna w najlepszym wydaniu.

JAKUB DEMIAŃCZUK



Kalejdoskop szpiegów 4/6

Vincent V. Severski, **Krawiec**, Czarna Owca, Warszawa 2025, s. 464

Ten emerytowany pułkownik wywiadu, który w 2007 r. odszedł ze służby na własną prośbę, by stać się autorem powieści sensacyjnych, ma wiernych czytelników. Powodzeniem cieszą się jego dwie czterotomowe serie: „Nielegalni” i „Sekcja”. Nowa powieść jest prequelem „Sekcji” – pojawiają się tu znani czytelnikom bohaterowie Roman Leski i dopiero rozpoczynająca przygodę

z wywiadem Monika Arent, a rzecz się dzieje w 2003 r., gdy Polska szykuje się do członkostwa w Unii Europejskiej i ma przystąpić do amerykańskiej operacji w Iraku. Na czele państwa stoi budzący sympatię premier, jednak z powodu zniknięcia młodej kobiety opiekującej się jego córeczką jest bliski kompromitacji. To zniknięcie łączy się z pojawieniem się w pobliżu rosyjskiego szpiega. Jednocześnie akcja toczy się w Budwie, gdzie jeden rosyjski oligarcha planuje spotkanie z podobnymi sobie na swoim luksusowym jachcie, a inny zamierza zapobiec groźbie spisku przeciwko coraz potężniejszemu, ale wciąż jeszcze początkującemu dyktatorowi – Putinowi. Pomiędzy nimi wszystkimi plasują się szpiegi brytyjskiego wywiadu oraz nielegalny agent, syn Greczynki i Polaka z Peru (Dima, również znany z cyklu „Sekcja”). Jak inne książki Severskiego, powieść ma swoje mankamenty: zbyt wiele rozwlekania pobocznych wątków, zwalnianie tempa, by nagle przyspieszyć w finale. Jednak w sumie fani powinni być zadowoleni.

DOROTA SZWARCMAN



Powieść o Żabce 4/6

Zofia Lorek, **Stany przejściowe**, Wydawnictwo Drzazgi, Okoniny 2025, s. 179

Podobno pisanie o tym, co najbardziej pospolite, pod ręczną, znane jest najtrudniejsze. A Zofii Lorek, i to jeszcze w debiutanckiej powieści, udaje się to bez problemu. Żabka to tutaj metafora naszego życia: trudności technologicznych, ograniczonych kontaktów, abnegacji. Główna bohaterka „Stanów przejściowych” cierpi na potężną depresję, choć słowo to ani razu w powieści się nie pojawia, a ona sama tak zajęta jest walką z rzeczywistością na jej najprostszym poziomie, że ani nie znajduje pomocy, ani nie potrafi się poddać leczeniu. Lekceważona przez Narodowy Fundusz Zdrowia, niewidzialna w pracy, namiastkę kontaktu ludzkiego odnajduje właśnie w rozmowach z kasjerami i agentami Żabki czy Carrefoura. Lorek stworzyła jednocześnie powieść skrajnie realistyczną, osadzoną w świecie doskonałym nam znanym, i paraboliczną, opowiadającą poprzez przenośnię. Że nie będzie to tylko realizm, orientujemy się, kiedy bohaterka zaczyna mówić o intencjach działań rybaków. Później pojawia się motyw kafkowski, nawiązanie do „Przemiany”. O ile jednak Gregor Samsa budzi się pewnego dnia jako robak i z tej perspektywy opowiada o absurdzie świata, o tyle bohaterka Lorek powoli zmierza do tej formy, jakby ku transformacji ponadgatunkowej. Nie jest to historia optymistyczna. Skrajna samotność nie ustępuje tutaj, lecz rośnie, tak samo jak poczucie słabości, zmęczenia, zniechęcenia. Świat przejmuje kontrolę nad ciałem, a uciekanie od niego możliwe było tylko w stronę zrobaczenia.

PAULINA MAŁOCHLEB

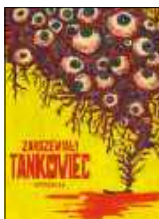
Młoda Polska

Proza Stefana Grabińskiego doczekała się ostatnio kilku wznowień, a po lekturze dzieł klasyka grozy warto sięgnąć po ich graficzną adaptację.

„**Błonia tajemnicy**” (Kultura Gniewu, 5/6) to kilka opowiadań przepisanych na scenariusze komiksowe przez Mateusza Wiśniewskiego i zilustrowanych przez pięcioro utalentowanych artystów: **Michała Araszewicza, Piotra Marca, Antoniego Serkowskiego, Judytę Sosnę oraz Magdę Zwierchowską**. Każde w innym stylu, ale wszystkie mistrzowsko chwytające esencję dokonania Grabińskiego: to, co swojskie i przyziemne, skręca nagle w rejony nadnaturalne, swojska rzeczywistość staje się domeną upiórów i szaleństwa. Proza autora „Demona ruchu” doskonale przekłada się na komiks, ciąg dalszy powinien więc nastąpić.



Wyprawą w rejony grozy i weird fiction jest również lektura „**Zardzewiałego tankowca**” **Otoicha** (BestComics, 4/6), komiksu inspirowanego teorią Donalda Hoffmana o subiektywnej percepcji rzeczywistości. Centralną postacią jest Antoni cierpiący po śmierci żony. Jednak choć jego



przyjaciele starają się mu pomóc, nikt nie pamięta zmarłej kobiety, jak gdyby nigdy nie istniała. Być może odpowiedzi trzeba szukać za pomocą tytułowego tankowca, tajemniczego bytu, który jako jedyny postrzega świat takim, jaki jest naprawdę. Skomplikowane hipotezy zostały tu wplecione w fabułę mieszającą horror z dramatem obyczajowym i opatrzone psychodelicznymi ilustracjami. Dla okazjonalnych czytelników komiksów rzecz niesie wysoki próg wejścia, jest raczej dla tych, którzy poszukują tytułów wychodzących poza sztywne granice gatunkowe.

„**Mój daleki bliski**” **Anny Poszepczyńskiej** (Timof Comics, 5/6) już

na pierwszy rzut oka wydaje się przystęniejszy, dowcipny, z łagodnymi ilustracjami i niespiesznie prowadzoną, romantyczną fabułą. Jednak historia Mai – dwudziestoparolatki, która angażuje się w związek na odległość z młodym Japończykiem – mimo niewielkiej objętości porusza sporo ważnych tematów: od asekualności, poprzez zmagania ze społecznymi fobiami, po uzależnienie od nowoczesnych technologii. „Mój daleki bliski” to dowód, że można śmiało łączyć atrakcyjną formę z wagą tematu i lekkością przekazu. I nawet jeśli docelowymi odbiorcami komiksu są rówieśnicy głównej bohaterki, to i przedstawiciele starszego pokolenia śmiało się mogą z niego czegoś nauczyć.



JAKUB DEMIAŃCZUK

Doba hotelowa 4/6

Alex Freiheit & Aleksandra Słyż, **Ghsting**, Maple Death

Już fakt, że tę polską płytę publikuje wydawca z Bolonii, wydaje się dziwny. W końcu mamy tu długie monologi w poetyzującej, choć zarazem mocnej i potocznej polszczyźnie przywołującej co rusz skojarzenia ze światem „Innych ludzi” Doroty Masłowskiej. „Przecież ja wiem, czego nie robi się w hotelach, od kiedy je sprzątam” – mówi narratorka głosem Alex Freiheit, bo całość, rozpoczynając się w sylwestrowy wieczór, jest ilustrowanym muzyką cyklem opowieści hotelowych z perspektywy obsługi. Intensywne, elektroniczne drony o metalicznym charakterze brzmieniowym przygotowane przez Aleksandrę Słyż, potęgują duszną atmosferę. A żywiołowej ekspresji towarzyszą wątki związane z Paszportami POLITYKI – Freiheit zdobyła naszą nagrodę jako członkini duetu Siksa, Słyż była do niej nominowana w 2023 r., a gościnnie pojawiająca się tu flecistka Ania Karpowicz odebrała Paszport za ten sam rok (2020) co Freiheit. „Ghsting” to płyta dość teatralna, nie należy się tu spodziewać piosenek, ale to połączenie jest zaskakujące i oryginalne.



BARTEK CHACIŃSKI

Music Week Poland, Warszawa, 26–29 czerwca

Nowa impreza w stolicy zapowiada się na fantastyczny przegląd młodych kadr, butlę z tlenem dla młodych warszawskich scen, a przy tym haust świeżej inspiracji podczas paneli dyskusyjnych w Muzeum Historii Polski. Pełna, imponująca lista wykonawców

na stronie musicweekpoland.com, nie można jednak przeoczyć występów **Cinnamon Gum**, Coals czy Nene Heroine,

warto też wykorzystać okazję na spotkanie z duetem Sw@da & Niczos oraz grupą Izzy & The Black Trees, a spośród twórców zagranicznych – belgijską artystką Cathérine Graindorge. BCH



Open'er Festival 2025, Lotnisko Gdynia-Kosakowo, 2–5 lipca

Największa biletowana impreza muzycznego lata tym razem podzieli się na dwa nurty pokoleniowe. Dla starszych słuchaczy zagrają Massive Attack, Nine Inch Nails czy Muse, dla młodszych – Bambi, **Doechii** czy Future. Może te dwie grupy pogodzą reaktywowane Linkin Park albo łącząca muzykę z niezwykłą oprawą wizualną i taneczną FKA Twigs. Ale program jest tak obszerny, że każda z nisz znajdzie tu coś dla siebie. BCH

14. Krakowski Festiwal Komiksu, Klub Studio i inne miejsca, 27–29 czerwca

Krakowska impreza już jakiś czas temu awansowała do grona najważniejszych w Polsce wydarzeń poświęconych komiksowi: nie tylko ze względu na szansę spotkania z artystkami i artystami (przyjedzie silna reprezentacja twórców z Włoch), lecz także program rozmów, debat i dyskusji panelowych, poświęconych m.in. sztucznej inteligencji i przyszłości komiksu internetowego. Tegoroczna edycja upłynie pod znakiem 30-lecia słynnego anime „Neon Genesis Evangelion”, atrakcją będą także wystawy (m.in. prac Sławomira Kiełbusa) oraz obchody 80-lecia pisma „Świerszczyk”. JD



Rajza po Gierałtowicach czy spacer szlakiem hałd?

Letnie rekomendacje wyjazdowe zaczynamy od wakacji w skondensowanej, weekendowej wersji. 194 wycieczki, cztery wydarzenia specjalne, 41 gmin i miast – wszystko to w trakcie trzydniowego festiwalu Kierunek GZM, który startuje już 27 czerwca na terenie Górnośląsko-Zagłębiowskiej Metropolii.

Mikro makro metropolia

Wielkie odkrycia nie zawsze wymagają wielkich podróży. Tak twierdzą fani mikrowypraw – zyskującej coraz większą popularność aktywności, polegającej na odkrywaniu niezwykłych miejsc położonych bliżej, niż mogłoby się wydawać – nieopodal wielkich miast lub w ich obrębie, za rogiem ulicy, którą przechodzimy co dnia, lub w ukrytej części znanego parku. Od takich tajemnic roi się w Górnośląsko-Zagłębiowskiej Metropolii. Istniejący od ośmiu lat pierwszy polski związek metropolitalny składa się z 41 miast i gmin, które po raz czwarty wspólnie organizują festiwal poświęcony odkrywaniu lokalnych tajemnic. – *Staramy się, by nasza oferta była atrakcyjna dla osób o różnych stylach życia i zainteresowaniach. Będzie coś dla aktywnych sportowo, kochających przyrodę, miłośników dziedzictwa, rodzin z dziećmi, a nawet tych, którzy lubią tańczyć* – mówi Daria Kosmała, dyrektor Departamentu Marki i Komunikacji Marketingowej GZM.

Niedostępne wnętrza, ukryte widoki

Jednym z najciekawszych aspektów festiwalu jest możliwość zobaczenia miejsc niedostępnych na co dzień. Swoje drzwi otworzą pracownie artystyczne w Katowicach – oprowadzą po nich malarka Lena Achtelik i Marta Węglarska, pracująca z ceramiką. W ramach festiwalowych wycieczek odwiedzimy także studia nagraniowe zabytkowej siedziby Radia Katowice, Stadion Śląski czy zajezdnię autobusową PKM Świerklaniec, gdzie można będzie zobaczyć, jak funkcjonuje serce lokalnego transportu miejskiego, i przejechać się zabytkowym Ikarusem.



Lot balonem nad Będzinem pozwala podziwiać zamek z nowej perspektywy

Widoki niedostępne na co dzień odsłoni lot balonem nad Będzinem oraz wycieczka po trzech miejskich wieżach w Świętochłowicach i Chorzowie.

Wiosła, koła i liny

Dużą częścią programu są aktywności sportowe. Doświadczeni rowerzyści mogą wziąć udział w rajdzie na trasie o długości ok. 80 km. Nieco bardziej krajoznawczy charakter będzie miała rowerowa wycieczka śladem rzekiawy – około 30 km miejskich ścieżek i leśnych duktów pokonamy, zatrzymując się w 15 punktach, by mieć pretekst do rozmowy o wpływie wody na miejską aglomerację. Rodziny z dziećmi mogą się wybrać na krótką rowerową przejażdżkę do siemianowickiego Parku Dinosaurów. Nocna rajza po Świętochłowicach przybliży zabytkową architekturę miasta osobom na każdym poziomie sprawności – wystarczy umiejętność jazdy na rowerze. Jednoślądami przejedziemy także ze Stacji Kultury Pyskowice do „Bałów” – poniemieckiego zespołu mostów nad Dramą, gdzie z użyciem sprzętu wspinaczkowego będzie można się wdrapać na niezwykły wiadukt kolejowy.

Niecodzienne widoki na metropolię zobaczymy w trakcie wypraw wodnych. Krótki spacer po Dzierżnie zakończy się przy moście nad Kanałem Gliwickim, gdzie uczestnicy wycieczki rozpoczną spływ kajakowy do Zatoki Kormoranów. Ewa Błachut z katowickiej AWF poprowadzi grupę na deskach SUP po tafli Zbiornika Pławniowickiego. Z wody obserwować będzie można zabytkowy pałac, a także wziąć udział w koncercie, który odbędzie się na specjalnie przygotowanej scenie pośrodku zbiornika.

Kierunek GZM to także wydarzenia specjalne – plenerowe Metrodisco, przebiegająca impreza Retrodisco w Muzeum Historii PRL, śniadanie w Parku Chopina i spacer śladami katowickiego hip-hopu w towarzystwie Gutka, zakończony spotkaniem z dziennikarzami i imprezą z didżejem Feel-X. Festiwal potrwa od 27 do 29 czerwca. Wstęp na wszystkie aktywności jest bezpłatny, wystarczy zarejestrować się na wybrane wydarzenia za pośrednictwem strony internetowej, gdzie zamieszczono pełny program imprezy. Po metropolii będzie można się przemieszczać komunikacją miejską, korzystając z darmowych kuponów.

RED.

ODKRYJ GÓRNOŚLĄSKO-ZAGŁĘBIOWSKĄ METROPOLIĘ

KIERUNEK ➔ GZM

NAJWIĘKSZY W POLSCE FESTIWAL MIKROWYPRAW

27-29 CZERWCA 2025

➔ 41 MIAST I GMIN ➔ 198 WYCIECZEK I WYDARZEŃ ➔ SETKI OPOWIEŚCI

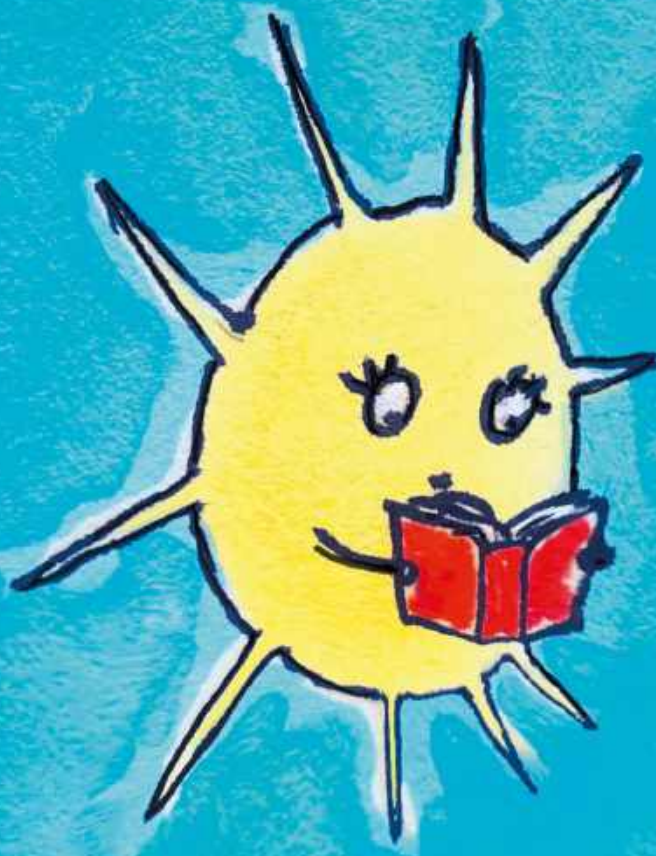


SPRAWDŹ PROGRAM

➔ [KIERUNEKGZM.PL](https://kierunekgzm.pl)

Lektury do walizki

15 książek, które warto zabrać ze sobą na tegoroczne wakacje.





atem można wreszcie spokojnie poczytać. Dlatego proponujemy starannie dobrany zestaw gorących powieści, kryminałów, biografii, klasyki, podróży w czasie i przestrzeni, a także książek dla młodszych i starszych. Wciągających, poruszających, odkrywczych, zabawnych, a przede wszystkim: różnorodnych.

WCIĄGAJĄCE: KRYMINAŁ, THRILLER, COSY CRIME

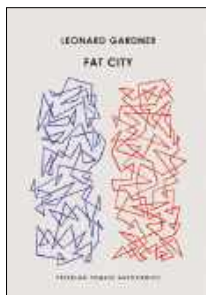
- Katarzyna Gacek, **Wypadek? Nie sądzę**,
Cykl: **Pensjonat Jaśminowy Dwór, tom 1**, Agora

A utorka książek z gatunku cosy crime, czyli kryminału kocykowego, wie, jak zbudować ciekawą intrygę oraz oddać małomiasteczkowy klimat. Tym razem rzecz dzieje się w Nałęczowie, dokąd przyjechała była lubelska policjantka Gabriela, żeby wspomóc rodziców w prowadzeniu pensjonatu Jaśminowy Dwór i odpocząć po dramatycznych przeżyciach. Z policjantki przeobraziła się w recepcjonistkę, ale na miejscu szybko okazuje się, że jej umiejętności z poprzedniej pracy mogą się przydać. Czy śmierć znanej aktorki to rzeczywiście samobójstwo, jak twierdzi miejscowa policja? Przy okazji śledztwa dowiadujemy się sporo o przeszłości głównej bohaterki. Znakiem rozpoznawczym Gacek są ciekawe i pełnokrwiste bohaterki, i tak jest tutaj. Nie rozczarują nawet drugi plan oraz pies. Niebanalna i wciągająca historia napisana z humorem, idealna na kocyk. JS



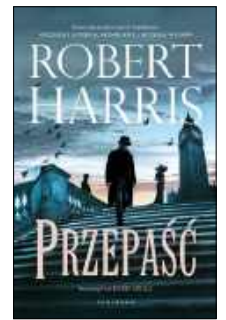
- Leonard Gardner, **Fat City**,
przeł. Tomasz Antosiewicz, ArtRage

Przypadkowe spotkanie dwóch bokserów – początkującego młodzika i rozczarowanego życiem weterana – staje się dla obu okazją do odmiany podłego losu. Ale w powieści Leonarda Gardnera nie ma miejsca na cuda i drugie szanse, jest znoś, pot, krew, rozpaczliwa próba przetrwania z dnia na dzień, wreszcie topienie frustracji w alkoholu i narastającej agresji. Obyczajowa powieść o życiowych rozbitkach w surowym, oszczędnym stylu czarnego kryminału. Nic dziwnego, że krótko po premierze zekranizował ją John Huston (w Polsce film znany jest jako „Zachłanne miasto”). 91-letni dziś Leonard Gardner nie napisał już nigdy żadnej powieści (choć od czasu do czasu pisał opowiadania), jednak tą jedyną zapewnił sobie stałe miejsce wśród klasyków amerykańskiej prozy. JD



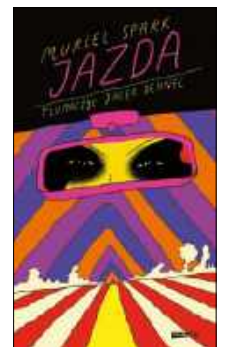
- Robert Harris, **Przepaść**,
przeł. Andrzej Szulc, Albatros

Lato 1914 r. Świat stoi u progu wielkiej wojny, lecz brytyjskiego premiera Herberta Asquitha bardziej niż polityka interesuje romans z młodą arystokratką Venią Stanley. Do tego stopnia, że w pisanych do niej listach zdradza sekrety wagi państwowej, a kochankowie nie wydają się świadomi, że ich korespondencję może czytać ktoś trzeci. Robert Harris – korzystając m.in. z autentycznych listów premiera – ponownie zagląda za kulisy wielkiej polityki i łączy historię z fikcją w elegancko skonstruowanym dramacie szpiegowskim. „Przepaść” to przede wszystkim solidna rozrywka, jednak – choć dotyczy wydarzeń sprzed wieku – bywa nieprzyjemnie aktualna. Dziś układy sił są inne, politykę robi się inaczej, lecz w epoce globalnych zmian i społecznych niepokojów Harris potrafi umiejętnie podsunąć czytelnikom pewne analogie. JD



- Muriel Spark, **Jazda**,
przeł. Jacek Dehnel, Znak Literanova

Mroczna, wywrotowa mikropowieść jednej z ciekawszych szkockich pisarek XX w. I wyborny przekład Jacka Dehnela. Lise, bohaterka tej historii, to ekscentryczna 36-latką. Właśnie rusza na urlop, jest zręczliwa, bywa bezzcelna, na zmianę zalewa się łzami i wybucha śmiechem. Budzi niepokój, również dlatego, że nosi nieodpasowane, krzykliwe ubrania. Niby jest w centrum uwagi, ale nikt nie traktuje jej serio. Poza Billeem, współpasażerem z samolotu, który próbuje ją namówić na swój program diety makrobiotycznej. Muriel Spark odwraca role i konwencje. Zadbła, żeby czytelnik bohaterce nie kibicował, tworzy mizantropijny, duszny, a zarazem absolutnie wciągający świat, w którym ludzie wymieniają luźne myśli, ale nie rozmawiają. Jest krindź, jest trup. A Z



► PORUSZAJĄCE: OBYCZAJOWE, MIŁOSNE, EMOCJONALNE

- Radclyffe Hall, **Źródło samotności**, przeł. Agata Ostrowska, Znak Literanova

Tę powieść sto lat temu uznano za gorszącą i „aresztowano”, a nakład w Wielkiej Brytanii trzeba było wycofać. Meandry jej historii opisuje we wstępie Renata Lis, na pociechę dodając, że pierwsze polskie wydanie czytelnicy otrzymali już w latach 30. XX w., opatrzone empatycznym komentarzem Ireny Krzywickiej. Nowy przekład daje książce drugie życie, dziś inne może być też jej odczytanie: nie jest jasne, czy centralna postać to lesbijka, osoba transpłciowa czy niebiarna. Nie jest to też istotne, liczy się poczucie wyobcowania, towarzyszące Stephen od dziecka. Jej rodzice pragnęli syna, urodziła się córka, imię pozostało. Stephen wymyka się granicom płci i podziałów klasowych, chce miłości, nie litości. Powieść nie budzi sensacji, skandaliczna wydaje się za to jej aktualność. AŻ



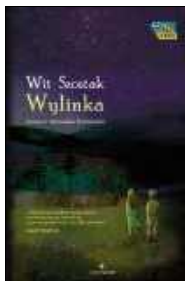
- Franz Kafka, **Listy do Mileny**, przeł. Feliks Konopka, Znak Literanova

Jedną z najbardziej niezwykłych korespondencji w historii. To pierwsze kompletne wydanie „Listów do Mileny” zostało uzupełnione o teksty nieznanne, listy do Maxa Broda i felietony Jesenskiej. Listy Kafki chce się czytać wielokrotnie, odkrywając kolejne warstwy, bo stoją na równi z jego utworami literackimi. Nie ma odpowiedzi Mileny, ale możemy je sobie wyobrazić. Ona była zamężna, on zaręczony i udręczony. Spotkali się tylko dwa razy. Listy stają się tutaj ratującą obecnością w oceanie niemożliwości i przeszkód, które są kwintesencją życia. Ale czasem już nawet list nie wystarcza. Kafka uważał, że łączył ich z Mileną przede wszystkim lęk. Śnił nawet, że przenikali się nawzajem: „Ja byłem Tobą, Tyś była mną. W końcu w jakiś sposób zajęłaś się płomieniem”. JS



- Wit Szostak, **Wylinka**, Powergraph

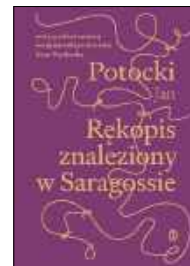
Klara budzi się w pustym domu, bez rodziców, którzy gdzieś zniknęli. Okazuje się jednak, że nie jest sama: spotyka Janka, którego nie zna, lecz który twierdzi, że od dawna w tym domu – czy raczej, jak mówi, sanatorium – mieszka. Para dziesięciolatek musi wspólnie rozwiązać tę zagadkę, odkryć, co łączy teraźniejszość z przeszłością. „Wylinka” niby przeznaczona jest dla młodszych czytelników, lecz dla rodziców lektura też będzie w pełni satysfakcjonująca. Sekret nie tkwi w tym, że w przygodowej, tajemniczej fabule Wit Szostak poukrywał tropy (literackie i filozoficzne) zrozumiałe dla dorosłych. Krakowski autor przede wszystkim dziecięcych czytelników



potraktował z należytą powagą. Nie infantylizuje, nie próbuje skupić uwagi efekciarską akcją albo szybkimi dialogami. Fabułę buduje z rozmysłem, spokojem, mądrością. Gatunkowo to inna kategoria niż choćby cykl „Aglą” Radka Raka, lecz w podobny sposób zostaje w głowie – i w sercu – na dłużej. JD

- Jan Potocki, **Rękopis znaleziony w Saragossie**, przeł. Anna Wasilewska, Wydawnictwo Literackie

Arcypowieść „Rękopis znaleziony w Saragossie” można czytać przez całe wakacje, zwłaszcza że wznowiono właśnie przekład kompletnej wersji dzieła z 1810 r. Problem z powieścią Potockiego, napisaną po francusku, polegał na tym, że do niedawna znany był tylko przekład Edmunda Chojeckiego z 1847 r. (słysząc go w filmie Wojciecha Hasa), swobodnie skompilowany z dwóch wariantów. François Rosset i Dominique Triaire odnaleźli rękopisy Potockiego, które okazały się dwiema równoległymi wersjami powieści – z 1804 i 1810 r. Te wersje znacząco się różnią – widać, że Potocki zmienił całą koncepcję książki, jej tonację. Wersja późniejsza jest poważniejsza i tylko ona została ukończona. Po raz pierwszy ukazała się w przekładzie Anny Wasilewskiej 10 lat temu, a teraz dostaliśmy wznowienie. Potocki jest tu bliższy, możemy mieć poczucie wędrowania pomiędzy ideami, które go zaprzętały. JS



ODKRYWCZE: PODRÓŻE W PRZESTRZENI I W CZASIE, FANTASY

- Piotr Kępiński, **Neapol słodki jak sól**, Wydawnictwo Czarne

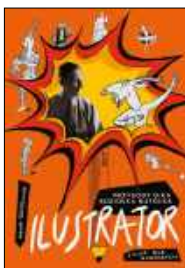
Reportaże Piotra Kępińskiego to więcej niż erudycyjne przewodniki – to sama esencja Włoch, tym razem Neapolu. Miasto jest pełne sprzeczności, śmieci, labiryntów i lodziarni, kiedyś słynęło z lemoniady (to też pasjonująca opowieść). Ma futurystyczny dworzec i – dla równowagi – bogatą historię zatargów z kamorrą. Mieszkańcy wolą tu czytać o przeszłości, niż myśleć o przyszłości wzorem Włochów z północy. Co do zasady, mniej się też spieszą i nie zawsze na tym dobrze wychodzą. Ale i nie są jednorodni. Nieodległe wyspy zatoki zasiedlają już „inne narody”, inne dialekty. Autor uwzględnił w swojej wyprawie również elementy literackie i polskie akcenty. Często zresztą na jedno wychodzi, tu osiadł na stałe m.in. Gustaw Herling-Grudziński. I naprawdę trudno się dziwić. AŻ



- Marek Górlikowski, **Ilustrator. Przygody ojca Koziołka Matołka**, Znak

Marian Walentynowicz został – jak sugeruje autor biografii – wymazany ze zbiorowej świadomości. Nawet przygody Koziołka Matołka są tu wspomniane jako dzieło Kornela Makuszyńskiego, zresztą pewnie mało kto czyta ten nieco archaiczny protokomiks. Ale Górlikowski przypomina Walentynowicza nie tylko jako współtwórcę przygód kozła, który szukał

Pacanowa, lecz także jako weterana dwóch wojen, projektanta, architekta. A przede wszystkim utalentowanego grafika, w którego portfolio obok komiksów dla dzieci znalazły się także prace reklamowe, obrazki pornograficzne czy antysemickie karykatury – Walentynowicz, niestety, czasami używał swojego talentu niewłaściwej sprawie. Oparty na źródłach i wypowiedziach współczesnych badaczy „Ilustrator” to fascynująca biografia artysty, którego życie przypadło na najbardziej burzliwe dekady w polskiej historii. JD



- Jacek Cygan, **Ciao Goethe!** Śladami Goethego w Italii, Marginesy

Mistrz polskiej liryki śpiewanej Jacek Cygan zaczynał od piosenki turystycznej, ale tu zajmuje się raczej turystyką poetycką. Zafascynowany „Podróżą włoską” Johanna Wolfganga von Goethego przez 15 lat przemierzał trasę, w którą niemiecki romantyk wyjechał w 1786 r. z Karlowych Warów (ówczesnego Karlsbadu), docierając aż na południe Włoch. I podobnie jak w przypadku Goethego zamieniło się to w coś więcej niż tylko cykl krajoznawczych wycieczek. Owszem, autor „Czas nas uczy pogody” opowiada o architekturze i sztuce, tropi miejsca upamiętniające poetę w miejscowościach, które odwiedzał. Ale robi też notatki związane z potrawami i drinkami, zbiera ciekawostki, które prowadzą go do długich dygresji (są wśród nich i historie piosenek). Zestawia też obficie cytowanego Goethego z Różewiczem czy Tuwimem. Dowiadujemy się m.in., że w Wenecji można sobie jeszcze załatwić miejsce parkingowe w zamian za tomik poezji, a w Rzymie – postawić kolejkę gościom restauracji za centa. BCH



- Jeremy Renner, **Mój następny oddech**, przeł. Małgorzata Hesko-Kołodzińska, Piotr Budkiewicz, Media Rodzina

Dwa i pół roku minęło od wypadku ze śnieżnym ratakiem, który o mało nie kosztował życia Jeremy’ego Rennera. Aktor, dwukrotnie nominowany do Oscara – za role w „The Hurt Locker” i „Mieście złodziei” – wrócił już na plan filmowy, lecz wcześniej opisał swoją drogę do zdrowia. „Mój następny oddech” nie jest więc klasyczną autobiografią, lecz właśnie drobiazgowym zapisem doświadczenia wypadku, leczenia i wyczerpującej rehabilitacji, połączeniem pamiętnika i książki motywacyjnej – w swoim gatunku całkiem zresztą udanym. Choć lepiej się nie zastanawiać, czy książka ukazałaby się, gdyby jej autor nie był hollywoodzkim celebrytą (ani jak wyglądałaby jego rehabilitacja, gdyby nie był zamożnym człowiekiem). Ale czyta się zaskakująco dobrze, a najciekawsza robi się wtedy, gdy ze strzępów wspomnień i anegdot odśladania prawdziwe (a nie piarowo wygładzone) oblicze Rennera, z jego ambicjami, słabościami, odrobiną gwiazdorskiej próżności. JD



- Karolina Lewestam, **Strażniczka perły, cykl: Opowieści Świata Zorzy**, ilustracje Mariusz Andryszczyk, Agora dla dzieci

Drugi tom tej znakomitej sagi fantasy, który otrzymał właśnie Nagrodę Literacką m.st. Warszawy w kategorii literatura dziecięca, można czytać, nawet nie znając pierwszego. Opowiada o północnym świecie z dwoma księżycami, w którym na równych prawach współistnieją ludzie i zwierzęta. Kutik wyrusza w podróż do granic świata, by znaleźć lekarstwo na śpiączkę wywołaną przez „ukąszenia” tajemniczych ptaków, które atakują mieszkańców Świata Zorzy. To historia o przyjaźni, tożsamości, uprzedzeniach, o tym, że nie zawsze pochodzi się z miejsca, w którym się urodziło. Każdy by chciał mieć śnieżną panterę za przyjaciela. Wyprawa Kutik przypomina, że nie trzeba być potężnym i silnym, żeby dokonać czegoś wielkiego i uratować wspólnotę. JS



- Carlo Ginzburg, **Ser i robaki**, przeł. Radosław Kos, Państwowy Instytut Wydawniczy

Mikrohistoria może być fascynująca. Przykładem jest klasyczna książka Carlo Ginzburga, syna pisarki Natalii Ginzburg. Na podstawie akt procesów inkwizycyjnych, wytoczonych pod koniec XVI w. pewnemu oskarżonemu o herezję młynarzowi z prowincji Friuli we Włoszech, autor rekonstruuje światopogląd oraz wizję świata tego człowieka. Nie do końca jest on zwykłą postacią, bo posiadał książki i umiał pisać. Można czytać tę książkę na wielu poziomach: jako opowieść o wyzwaniu rzuconemu Kościołowi, ale też o starciu kultury ludowej z kulturą warstw wykształconych. Ginzburg pokazuje oryginalną recepcję nowych prądów filozoficznych przez przedstawiciela klasy chłopskiej i znajduje w światopoglądzie młynarza pozostałości mitu kosmogonicznego – chodzi o tytułowy ser i robaki, z których według młynarza miał się wyłonić świat. JS



REKLAMA

Rosenthal

LETNIA PROMOCJA

Kupując elementy legendarnego serwisu MARIA lub TAC za 2500 pln otrzymasz **BONUS 1000 pln!**

www.rosenthal.pl

Obraz na siedem minut

Wychodzę z założenia, że na niczym się nie znam, ale wiele mnie interesuje – mówi **Radek Kotarski**, popularny youtuber, który zajmuje się m.in. kolekcjonowaniem sztuki.

PIOTR SARZYŃSKI: – Pamiętam taki dowcip o Leonardzie Bernsteinie. Słynny dyrygent wsiada do taksówki. „Dokąd jedziemy?” – pyta taksówkarz. „Wszystko jedno – odpowiada Bernstein – wszędzie mam coś do załatwienia”.

RADEK KOTARSKI: – Świetnie! To w sumie o mnie. Często, gdy ktoś pytał, co u mnie słychać, odpowiadałem, że nie wiem, bo nie mam czasu o tym pomyśleć. Lista moich aktywności od zawsze była długa i czasami myślę, że się skraca, ale to złudzenie, bo gdy coś odchodzi, to na to miejsce natychmiast pojawia się nowe zajęcie.

No to sobie trochę o nich porozmawiajmy. Zastanawiam się na przykład, czy jesteś bardziej youtuberem czy dziennikarzem telewizyjnym? Bo z jednej strony trzy własne programy w internecie, a z drugiej – ciągle coś nowego na antenie.

Nie przykładałam do tego większej wagi, bo są to jedynie środki przekazu lub narzędzia do opowiadania historii. Mam w sobie rodzaj naiwnej ciekawości, co łączę z brakiem wstydu przed zadawaniem naiwnych pytań, i wielokrotnie wprawiałem tym w osłupienie ludzi z różnych dziedzin. Przy pracy nad pierwszym odcinkiem mojego programu „Polimaty” zapytałem pewną ekspertkę, ile kosztowała „Dama z gronostajem” i gdzie została



Radosław Kotarski – popularyzator wiedzy, dziennikarz, scenarzysta, przedsiębiorca i autor książek popularnonaukowych i fabularnych. Twórca programu „Polimaty” na YouTube (ponad 100 mln wyświetleń) oraz telewizyjnych „Podróży z historią”. Współtwórca „Podsiadło Kotarski Podcast”, jednego z najpopularniejszych polskich podcastów. Właściciel wydawnictw Altenberg i Altbuch. Zwycięzca plebiscytu Mistrz Mowy Polskiej Vox Populi w 2022 r.

kupiona. Nikt jej o to wcześniej nie pytał, a to są szczegóły, które mnie interesują, bo zazwyczaj się o nich nie mówi. W każdej dziedzinie takie są.

Edukacja cię nie ukierunkowała?

Formalnie mam tylko wykształcenie średnie. Studia zaczynałem, ale ich nie kończyłem. Historię na Uniwersytecie Warszawskim studiowałem dwa lata. Gdy przerobiliśmy antyk, pojechałem do Rzymu, by zrobić program o starożytnych drogach. Stałem na Via Appia,

zaczęłem opowiadać o nasypach, budulcu itp. I zdałem sobie sprawę, że tego absolutnie nie da się słuchać, bo brzmi jak wykład kogoś, kto pozjadał wszystkie rozumy. I że muszę wrócić do podstaw, uruchamiając dziecięcą ciekawość świata. Dlatego w programach telewizyjnych czy internetowych mam w sobie coś z naturzyczka, który ma to szczęście, że w miarę biegle posługuje się rodzimym językiem, może dlatego, że moja mama jest nauczycielką polskiego.

No dobrze, przejdźmy do działalności wydawniczej.

Ona jest skutkiem obserwacji rynku. Mówiąc w skrócie, miałem nie do końca pozytywne doświadczenia z wydawnictwem, które wydało moją pierwszą książkę. Potężna oficyna, zupełnie niezainteresowana dodrukiem, choć pierwszy nakład rozszedł się błyskawicznie, a pojedyncze egzemplarze na Allegro osiągały kosmiczne ceny. Dowiedziałem się, że na wznowienie nie ma szans, bo oni są zadowoleni z tego, co osiągnęli. Założyłem więc wydawnictwo Altenberg, a wspomnianej książki sprzedałem jeszcze 35 tys. egzemplarzy. Zaczynałem od publikacji książek własnych i moich koleżanek, co później przerodziło się w regularne wydawnictwo.

I wielki sukces. Jakość produktu to jedno, ale chyba pomysł na biznes też miał znaczenie.

Polegał na konsekwentnym pomijaniu tradycyjnych kanałów dystrybucji. Sami wydajemy, wysyłamy i reklamujemy się wyłącznie w sieci, co pozwoliło nam dotrzeć do grona odbiorców dużo szerszego niż tradycyjni bywalcy księgarń. Postawiliśmy też na niekonwencjonalne metody promocji. Dla każdej nowej książki musimy znaleźć nowoczesny i atrakcyjny sposób mówienia o niej. Bo o uwagę odbiorców nie konkurujemy z innymi tytułami, ale z Netflixem i całą popkulturą. Dlatego np. książkę o technikach zapamiętywania reklamowaliśmy jako publikację o nauce języka obcego w pół roku, a ja, by dać przykład, zastosowałem je na sobie i nauczyłem się szwedzkiego. Dlaczego szwedzkiego? Bo został wylosowany. Na początku rynek wydawniczy się z tego śmiał, wieszczono mi szybką plajtę.

Kiedy przestali się śmiać?

Myślę, że po pierwszych 10 tys. egzemplarzy. Gdy dobiliśmy z tą książką do ćwierć miliona, to już nikt nie miał większych wątpliwości, że ten model może działać z dużymi sukcesami. Wyniki mojego wydawnictwa były jawne, bo z każdej sprzedanej książki fundowaliśmy jeden obiad w ramach akcji dożywiania dzieci Pajacyk. W ten sposób przekazaliśmy Polskiej Akcji Humanitarnej ponad 2,5 mln zł.

Pewną nieufność budzi we mnie to morze zainteresowań zamienianych na książki, programy telewizyjne i materiały na YouTube: psychologia,

prawo, historia, nauka... A przecież jest jeszcze Radek Kotarski – scenarzysta i reżyser teatralny, autor opowiadań, wizytówka Banku Millennium itd.

To ciekawe, bo ludziom najczęściej imponuje ta mnogość zainteresowań, co mnie wprawia w zakłopotanie. Głównie dlatego, że w naszej kulturze ceni się specjalizację i mówi się: „Kto jest od wszystkiego, jest od niczego”. Jest w tym sporo prawdy i pewnie miałbym z tym u siebie problem, gdybym uważał, że... ja się na tych rzeczach znam. Tymczasem wychodzę z założenia, że na niczym się nie znam, ale wiele mnie interesuje. Rola ucznia odpowiada mi znacznie bardziej niż rola mistrza. Łatwiej mi wtedy rozmawiać z innymi uczniami. Długo wzorem cnót był dla mnie Jiro Ono, japoński mistrz sushi, który przez całe swoje długie życie perfekcyjnie klei ryż z rybą. W tym widzi sens swojego istnienia. Przez długi czas chciałem być taki jak on i znaleźć tę jedną rzecz. Dziś wiem, że to absolutnie niemożliwe.

Nie ma nic, co „wkręciłoby” cię trwale?

Próbę czasu przetrwała chyba tylko sztuka. Może dlatego, że to bardzo pojemna kategoria.

Sztuka kontemplowana czy tworzona?

Zaczął się od kontemplowanej, bo moi rodzice od zawsze ciągali mnie i mojego brata do muzeów, czego nie znosiliśmy, ale dzisiaj jesteśmy im za to wdzięczni. A potem całkiem dawno, ze 30 lat temu, przeszło to do sztuki tworzonej. I trwa do dziś jako forma relaksu, odreagowania licznych zajęć. Zamykam się i maluję. Mówiąc ogólnie, to nie są profesjonalne dzieła i nie wiem, czy sam bym je kupił. Najpierw była to abstrakcja, teraz częściej figuracja. Dla mnie tworzenie czegokolwiek to szczególny moment. Gdy jadę samochodem lub ćwiczę na siłowni, to przy okazji słucham audiobooka lub jakiegoś podcasta. Jednak malując, niczego nie włączam, bo całkowicie zanurzam się w to, co robię.

Malowanie, oglądanie albumów czy chodzenie na wystawy najwyraźniej jednak przestało ci wystarczać i zostałeś kolekcjonerem. Bardzo poważnym. Jak to się zaczęło?

W domu rodzinnym zawsze wisiły obrazy, więc miałem zakodowany prosty schemat: jeśli jest pusta ściana, to trzeba ją czymś zapełnić. Oczywiście pierwsze zakupy były na miarę kieszeni studenckiej, później przyszły nieco odważniejsze, ale

wspominam je jako okres błędów i wypażeń. A pierwszy zakup poważnego dzieła był związany z aukcją charytatywną „Spragnieni Piękna” na rzecz Muzeum Narodowego w Warszawie. Na licytację przeznaczono wazon stworzone przez Malwinę Konopacką, na których artyści namalowali ważne dla nich rzeczy. Moje oko przykuł wazon pomalowany przez Jarosława Modzelewskiego, w którym odnalazłem siebie. Był na nim facet, który wychodzi do pracy, a w oknie stoi żona i patrzy jakoś tak z powątpiewaniem. „To my” – pomyślałem.

Wylicytowałeś?

Chyba nigdy tego nie zapomnę. Aukcjoner zapowiedział, że przechodzimy do wazonu Modzelewskiego i ręce zaczęły mi się trząść. Cena wywoławcza wydawała mi się wtedy kosmiczna, chyba było to 10 tys. zł, ale momentalnie poszła w górę, bo inni nie chcieli odpuścić. Aż doszło do 17 tys. Zadałem sobie pytanie, czy jestem w stanie zapłacić 18 tys. To przecież dużo forsy! Ale wcześniej licytowałem 16 tys., więc to już nie tak duża różnica... Uniosłem tabliczkę i myślałem tylko, żeby nikt mnie już nie przebił. Udało się! Ten wazon stał się dla mnie wehikułem do świata sztuki współczesnej. Dzięki niemu lepiej poznałem Grupę i innych twórców. To był początek 2018 r.

A zaledwie siedem lat później masz już imponującą kolekcję ok. 250 obrazów.

Co ciekawe, nie wciągnęła cię Grupa i inni klasycy, lecz młode malarstwo.

Złapałem bakcyła sztuki współczesnej, ale równocześnie miałem świadomość, że ceny za prace klasyków awangardy po 1945 r. były dla mnie nie do przyjęcia zarówno finansowo, jak i mentalnie. Na to otworzył mnie dużo później pan Wojtek Fibak, ale wcześniej nie mogłem się przełamać, że można za obraz zapłacić kilkadziesiąt tysięcy lub więcej. I pojawiła się u mnie jakaś taka parszywa myśl, że skoro nie mam możliwości, żeby kupować obrazy Modzelewskiego, to... spróbuję go znaleźć w kolejnym pokoleniu. Wprawdzie żadnego nowego Modzelewskiego nie odkryłem i nie wylansowałem, ale słabość do młodszych artystów pozostała.

Co w nich jest pociągającego?

Choćby nieustanne poznawanie świata z perspektywy kogoś, kto jest na studiach lub po dyplomie. Poprzez malarstwo nieustannie się dowiaduję, co myślą osoby w tym wieku, co uważają za ważne ▶

► problemy i jak się z nimi mierzą. Ostatnio odkryłem młodego malarza Mateusza Drozdowskiego. Zafascynowało mnie, jak wiele ma w sobie dojrzałości, nazywając i pokazując w sztuce różne przywary Polaków i narodowe archetypy. Przy tym nie boi się szokujących, ale i zabawnych środków wyrazu pełnych dystansu do otaczającej nas rzeczywistości.

Jeśli podzielić kilkaset kupionych prac przez siedem lat, to rodzi się podejrzenie, że należysz do gatunku kolekcjonerów kupujących kompulsywnie.

To może być całkiem trafiona diagnoza. Na pewno nie należę do ludzi, którzy oglądają obraz, a potem zastanawiają się tygodniami, czy go kupić, czy nie. Często przy zakupie nie rozumiem, dlaczego ciągnie mnie do jakiegoś dzieła, i mogę to nazwać dopiero później. Tak miałem z Mikołajem Sobczakiem. Jego prace otwierają się powoli, jak najlepsze francuskie wino, ale chętnych jest bardzo wielu, więc trzeba działać sprawnie. Poza tym na rynku sztuki współczesnej mimo delikatnego spowolnienia nadal wiele wystaw jest sprzedanych przed ich otwarciem, więc trzeba umieć szybko podjąć decyzję i nieustannie być na bieżąco. To właściwie praca na drugi etat, czyli w moim przypadku – na czwarty lub piąty.

Czym się kierujesz przy zakupach? Własnym gustem? Opiniami innych? Jakimiś zbiektywizowanymi kryteriami typu „dobry warsztat” lub „tematyka”?

Na pewno zwracam uwagę na warsztat, zapewne dlatego, że sam maluję, więc potrafię zrozumieć problemy, z jakimi mierzą się artyści. Dlatego umiem – przynajmniej tak mi się wydaje – odróżnić dobrą warsztatowo sztukę od tej gorszej. Mam w sobie nieco konserwatorskiego zacięcia. Weźmy taką technikę jak tempera jajowa. Farby temperowe bardzo szybko schną i trudno nimi nanosić poprawki. Jeżeli więc ktoś maluje ekspresjonistyczny obraz temperą jajową i robi to dobrze, jak np. Kinga Burek, to od razu budzi mój szacunek.

Jednak najważniejsze jest dla mnie wsiąknięcie w życie artystów, a wtedy otaczam się nimi z każdej strony. Weźmy Wojciecha Bąkowskiego, laureata Paszportu POLITYKI. Kupuję jego prace, ale też słucham muzyki, którą komponuje, oglądam jego filmy eksperymentalne. I widzę, jak ważne jest dla niego pielęgnowanie wspomnień z poznańskich

blokowisk lat 90., dzięki czemu przypominam sobie, że na Osiedlu Piastowskim w Zielonej Górze u mojej babci był magiel. Przypomina mi się nawet jego zapach! A wszystko dlatego, że wyruszyłem do świata genialnego artysty i przywołałem z tej podróży masę pamiątek.

Wspominałeś o jeszcze jednym sposobie na zakupy, czyli tzw. kryterium siedmiu minut. Wyjaśnij.

To całkiem proste. Jeżeli nie jestem w stanie opowiadać swoim znajomym, na wykładzie lub w social mediach o danym dziele sztuki przez co najmniej siedem minut, to nie kupię takiego obrazu. Bo to oznacza, że jest dla mnie zbyt słabym wehikułem do opowiadania historii.

I tu dochodzimy do najbardziej fascynującej dla mnie sprawy – opowieści o obrazach w podkaście, który prowadzisz z Dawidem Podsiadłą. W każdym programie poświęćcie około kwadransa, by porozmawiać o jednym wybranym z twojej kolekcji obrazie jakiejś młodej polskiej malarki.

Nieustannie zanudzam Dawida opowieściami o sztuce i pewnego razu powiedziałem mu o artykule, który wykazywał, że prace kobiet stanowią zaledwie 4 proc. rocznej sprzedaży wszystkich dzieł w domu aukcyjnym Sotheby's. Same tylko obrazy Picassa przewyższają cały obrót sztuką kobiecą, co było dla nas obu szokujące. Od słowa do słowa Dawid stwierdził: „Masz tyle tych obrazów, często mi o nich opowiadasz, to opowiadaj mi o nich na wizji, ale z naciskiem na prace kobiet”. Było to o tyle proste, że większość dzieł w mojej kolekcji namalowały właśnie kobiety, na które skierowaliśmy nasze reflektory.

Ludzie wchodzą na stronę, może liczą na to, że posłuchają śpiewającego Podsiadłą, a tu Kotarski opowiada o współczesnej sztuce.

Nie ma z nami lekko! Jesteśmy już po 12 odcinkach i pokazaliśmy w nich obrazy tak niesamowitych artystek jak Karolina Jabłońska, Agata Kus, Martyna Czech, Lia Kimura czy Karolina Szwed. Ciekawe, że dla większości naszych odbiorców był to pierwszy kontakt ze sztuką nowoczesną, bo szkoła w zakresie sztuk wizualnych kończy przecież edukację na Matejce lub Chełmońskim. Wielu osobom ze świata sztuki wydaje się, że wszyscy znają Ewę Juszkiewicz czy Aleksandrę Waliszewską, ale to nieprawda. Dlatego staramy się tłumaczyć sztukę

językiem, który nie operuje skomplikowanymi pojęciami.

Dociera?

To jak sadzenie ziarenek, z których coś wyrośnie lub nie. Często wyrasta. Od prozaicznego zaobserwowania tych artystek na Instagramie, przez śledzenie ich wystaw, aż po wchodzenie do ich świata i szukanie tam czegoś dla siebie, co mnie najbardziej cieszy. Nie zapomnę komentara, w którym ktoś napisał, że pokazany przez nas obraz Agaty Słowak pomógł mu przetrwać rozstanie z bliską osobą i zrozumieć wiele rzeczy. O to właśnie chodzi! Dostajemy też mnóstwo sygnałów, że ktoś zabrał ze sobą rodzinę i po raz pierwszy poszedł na wystawę sztuki nowoczesnej, która nie musi wcale oznaczać emocjonowania się bananem przyklejonym taśmą do ściany galerii. Na początku trochę się obawiałem, że pojawią się szyderstwa i standardowe uwagi w rodzaju „mój syn lepiej by to namalował”, ale nic takiego się nie stało, wręcz przeciwnie. To dla mnie wielka nagroda i satysfakcja.

Potrafisz powiedzieć, co jest największym atutem tej kolekcji?

Chyba różnorodność. Pamiętam rozmowę z szefową działu kuratorskiego MOCAK-u, która mnie spytała, czy to naprawdę jest kolekcja jednej osoby, bo wygląda tak, jakby była kolekcją instytucji mającej w swoim statucie nakaz posiadania prac niemal z każdego klucza. A dla mnie obrazy nie są celem samym w sobie, ale tylko (i aż) narzędziem, wehikułem do innych rzeczywistości i do snucia opowieści. I tak mamy zamiar je pokazać na pierwszej wystawie mojej kolekcji, która odbędzie się jesienią właśnie w MOCAK-u, o czym marzyłem od dłuższego czasu.

I naprawdę tych opowieści nie dostrzegasz w nieco dawniejszym malarstwie?

Oczywiście dostrzegam i na pewnym etapie pojawiły się u mnie marzenia o posiadaniu w zbiorach takich klasyków jak Leon Tarasewicz czy Ryszard Winiarski. Udało się je spełnić, ale nie potrzebuję więcej. Czuję, że sztuka nowoczesna odpowiada na pytania, które mnie prawdziwie interesują, bo są ważne tu i teraz: co myślimy o wykluczeniu społecznym, o poprawności politycznej, o tożsamości płciowej czy choćby o tym, jak rynek wpływa na nasze myślenie i zachowania. Takich odpowiedzi szukam we współczesnej sztuce. I je znajduję.

ROZMAWIAŁ PIOTR SARZYŃSKI

Konkurs „Postaw na #CzystyPrzekaz”

Fundacja PZU zorganizowała konkurs dla uczniów szkół ponadpodstawowych, zachęcając ich do działania na rzecz świadomego i bezpiecznego korzystania z Internetu. Celem było stworzenie projektu lub pomysłu na działanie, które pomoże radzić sobie z dezinformacją i wyzwaniem cyfrowego świata.

Zespoły uczniowskie miały za zadanie przygotować pomysł na projekt edukacyjny, który w innowacyjny sposób odpowiada na wyzwania cyfrowego świata. Otrzymaliśmy wiele inspirujących zgłoszeń, które zachwyciły nas swoją oryginalnością, zaangażowaniem i dojrzałością podejścia do tematu.

Ze względu na bardzo wysoki poziom nadesłanych prac, a także kreatywność i innowacyjność zaprezentowanych rozwiązań, postanowiliśmy wyróżnić aż 5 zespołów uczniowskich, które w szczególnie sposób zasłużyły na uznanie:

#FiveForTrue (#FFT) Zespół Szkół Zawodowych i Ogólnokształcących im. Kombatantów Ziemi Lubańskiej w Lubaniu

Inicjatywa oparta na pięciu działaniach edukacyjnych skierowanych do różnych grup wiekowych – od przedszkolaków po seniorów. Projekt promuje rzetelne źródła informacji, uczy weryfikacji faktów i wspiera budowanie społeczności opartej na zaufaniu. „Piątka dla prawdy” to symbol wspólnego działania przeciwko dezinformacji.

Kształtowanie Postaw Empatycznych w Dialogu Online Zespół Szkół Nr 1 w Hrubieszowie

Projekt promujący empatię jako kluczową kompetencję w komunikacji internetowej. Uczniowie uczą się rozumieć perspektywę innych, przeciwdziałają przemocy rówieśniczej i budować relacje oparte na szacunku. Działania projektowe mają formę pracy indywidualnej i grupowej, wspierając rozwój emocjonalny i społeczny młodzieży.

W to mi graj Zespół Szkół Ekonomicznych w Nowym Targu

Innowacyjna gra karciana dla dzieci i młodzieży (10+), która rozwija umiejętność rozpoznawania zagrożeń w sieci, takich jak fake newsy, phishing czy hejt.



Gracze uczą się reagować na zagrożenia, argumentować swoje wybory i wspólnie szukać najlepszych rozwiązań. Edukacja cyfrowa w formie angażującej rozgrywki.

Zanim udostępnisz – sprawdź! I Liceum Ogólnokształcące im. Tadeusza Kościuszki w Łomży

Projekt edukacyjny skierowany do uczniów szkół podstawowych i ponadpodstawowych, którego celem jest budowanie odporności informacyjnej. Poprzez warsztaty, debatę o sztucznej inteligencji i deepfake'ach oraz stworzenie „Koła Weryfikatorów”, uczniowie uczą się rozpoznawać fałszywe informacje i odpowiedzialnie korzystać z Internetu. Zwieńczeniem działań będzie miniporadnik „5 kroków do czystego przekazu”.

#ZobaczSiebieWSieci

Liceum Ogólnokształcące Nr I im. Jana III Sobieskiego w Oławie

Artystyczno-edukacyjny happening w formie mobilnej instalacji z pięcioma lustrami, które symbolizują różne aspekty tożsamości cyfrowej młodych ludzi. Projekt łączy sztukę uliczną z refleksją nad presją wizerunku, dezinformacją i samotnością w sieci. Lustra prowokują do autorefleksji i rozmowy o tym, kim jesteśmy w świecie online.

Laureaci konkursu otrzymali **wyjątkową nagrodę – wyjazd do Brukseli** i możliwość uczestniczenia w wydarzeniach kulturalnych związanych z polską prezydencją w Radzie Unii Europejskiej, m.in. udział w koncercie **UNITY** w centrum kultury Flagey – wydarzeniu kończącym program kulturalny polskiej prezydencji w Radzie Unii Europejskiej.

Konkurs został objęty **patronatem polskiej prezydencji w Radzie Unii Europejskiej oraz Ministra Edukacji Narodowej**. Oficjalnym przewoźnikiem wydarzenia są **Polskie Linie Lotnicze LOT**.

KONKURS „POSTAW NA #CZYSTYPRZEKAZ”

ORGANIZATOR

PZU FUNDACJA

PATRONI

Patronat honorowy

Minister Edukacji

OFICJALNY PRZEWOŹNIK

POLSKIE LINIE LOTNICZE

LOT

A STAR ALLIANCE MEMBER

Quo vadis, Que?



Kuba „Quebonafide” Grabowski zakończy spektakularną karierę rapową chwilę przed swoimi 34. urodzinami. Szybko dotarł do mety, choć nierzadko wyznaczał drogę.

KRZYSZTOF NOWAK

„**N**iezwykle się cieszę, że akurat tutaj mogłem zagrać po raz ostatni” – powiedział 13 sierpnia 2022 r. wyraźnie wzruszony Quebonafide podczas Polish Hip-Hop Festival w Płocku. Od tamtego wydarzenia minęły niemal trzy lata, a polski raper, zodiakalny Rak, zdążył się szybko zbliżyć do Scorpionsów w stylu długiego żegnania się ze sceną. 25 listopada 2024 r. ogłosił, że nadchodzi wydarzenie online Północ/Południe. Początkowo miało się odbyć w marcu kolejnego roku, ale przełożono je na 26 czerwca. Projekt połączy muzykę rapera z filmem. Żeby podgrzać atmosferę, sprawca zamieszania opublikował utwór

„Futura 3”. Za reżyserię teledysku, stworzonego z pomocą sztucznej inteligencji, odpowiadał prof. Andrzej Dragan, na co dzień fizyk kwantowy.

27 i 28 czerwca zgromadzeni na PGE Narodowym w Warszawie zobaczą tzw. Akt II. Gospodarz stanie się tym samym pierwszym polskim artystą dzień po dniu wypełniającym ten stadion. Reszta raperów będzie musiała go gonić, gdy on sam będzie już odpoczywać. Tylko gdzie?

W marcu 2012 r. odpoczywał na murku w Ciechanowie. Historia polskiego hip-hopu dobrze pamięta ten kadr: trzech mężczyźni siedzący w czapkach z daszkiem i ubraniach kojarzonych z zespołem Hemp Gru. Za nimi niedopasowane do siebie budynki, wysuszona ziemia

i kilka smętnych drzew. Ten kadr mógłby ilustrować betonozę i stagnację małych miast, ale przedstawiał twarde głowy polski rap. Nawet w Ciechanowie jeszcze nie wiedzieli, że niedługo jedna z tych osób stanie się sensacją gatunku.

Jeszcze rok przed wielkim wybuchem ciechanowianin nie wyglądał jednak na człowieka mogącego zrewolucjonizować polski rap. Zdradzać go mógł sposób rapowania nowocześniejszy niż u uliczników, a skojarzenia z tekstów miały akademickie podłoże. Na razie bardziej znany był Fuso, jego kompan z ujęcia, a zarazem nauczyciel informatyki w szkole, do której uczęszczał młodszy kolega. W 2008 r. ich duet nazwał się Yochimu, a działalność skończył na trzech przegapionych materiałach. Ostatni z nich, ten z 2012 r., zbiegł się w czasie z karierą Quebo na scenie freestyle'owej. Raper sumiennie odhaczał eliminacje Wielkiej Bitwy Warszawskiej (WBW), w wielkim finale finiszował na miejscach od piątego do ósmego, ale doświadczenie zdobyte w potyczkach na rymy na żywo pomogło mu w karierze studyjnej.

Wydana nieoficjalnie „Eklektyka” (2013 r.) to zgrabna synteza starego typu pisania i nowego podejścia do rapowania, wpisująca się w czas przełomowej stylistycznej. Brakuje tu tylko osobistej głębi, bo to głównie rap o rapie. Ten sam problem dotyczy wydanej na koniec wspomnianego roku, nagranej z krakowskim artystą Eripe „Płyty Roku”, choć ta ma inną konwencję. Do głosu dochodzi agresja skutkująca przerzucaniem się skojarzeniami na bojowych podkładach, mających obrócić niewdzięczną branżę w pył. To tutaj Quebonafide pozwala sobie na jeden z nielicznych komentarzy związanych z polityką w całej karierze. W utworze „Prowo” rapuje, że „każdego z Platformy pousypiałbym jak psa za to, że napędza to, co robi Tusk”, po czym dodaje, że Jarosław Gowin jest w porządku. Wydaje się jednak, że to odprysk antysystemowości wpisanej w rap. Ważniejszy jest fragment, w którym oświadcza, że nie będzie pracować na kogoś. I szybko dotrzymuje słowa.

Na 10-lecie wydanej 10 lipca 2014 r. piosenki „Euforia” producent Pawbeats mówił mi w wywiadzie: „Po usłyszeniu refrenu (Quebonafide – przyp. red.) tylko wspomniał, że aż się boi jego hitowości, co mnie wtedy bawiło”. O występie Kuby Grabowskiego w pop-rapowym przeboju

zdecydował przypadek. Do skutku nie doszedł bowiem brudny rapowy utwór ze wspomnianym Eripe, więc był to spon-taniczny plan B. Za sprawą tej kompozycji polski rap po raz pierwszy podbił stacje radiowe na swoich zasadach.

Niedługo później Quebo z gościa stał się na nowo gospodarzem, publikując utwór „Hype” inaugurujący działalność wytwórni QueQuality. Już przestał się nosić jak ulicznik, prezentując się w teledysku jako pobudzony młokos pobudzony fluorescencyjną farbą. „Chyba nie myślisz, że jeszcze podziemie?” – pytał oniemiałego słuchacza, zaczynając rewolucję stylistyczną i biznesową polskiego rapu. Wkrótce też wydarzył się incydent na dobre zmieniający paradygmat gatunku. „To nie jest hip-hop i nigdy nie będzie hip-hopem” – zakrzyknął 20 grudnia 2014 r. przez mikrofon ze sceny w stołecznym klubie niePowiem Pih, jeden z prekursorów tego nurtu w polskim wydaniu. Atakowany podczas swojego występu Quebo nie zgodził się z weteranem, po czym w sieci sparafrazował radomskiego rapera KęKę: „robię rap, serio nie wiem, co to hip-hop”. Brzmi pozornie niewinnie, lecz ma swoje semantyczne konsekwencje. To symboliczny moment, w którym kultura hipopowa traciła na znaczeniu, a jej element, czyli rap, zaczął funkcjonować już tylko bardziej jako metoda twórcza niż część całego pakietu.

Ledwie kilka dni po warszawskiej potyczce nastąpił wyciek, przez który wstępna wersja debiutanckiego albumu Que znalazła się w sieci. Twórca spróbował to obrócić na swoją korzyść. Skupił na sobie całą uwagę, wrzucając kilka dopracowanych singli z płyty w jednym momencie – i to z teledyskami. Co więcej, zapowiedział, że w drodze jest mixtape „Erotyka”. Zabiegi się opłaciły, bo pierwszy raz stanął na szczycie. Elokwentna, napisana obrazami i rozstrzelona muzycznie „Ezoteryka” (2015 r.) zdobyła pierwsze miejsce Oficjalnej Listy Sprzedaży. To się do tej pory nie zdarzało rapowym debutantom.

„Najpierw chcę krzyknąć: Quebonafide!” – zarapował w 2017 r. w języku angielskim KRS-One, legenda amerykańskiego hip-hopu. Stało się tak w utworze „To nie jest hip-hop”, do którego Polak nagrał klip w USA. Zanim do tego doszło, Grabowski stworzył solidne fundamenty biznesowe i artystyczne. W QueQuality wydawał zdolnych młodych raperów, takich jak Żabson czy Guzior. Zarabiał

dzięki rozwijającemu się streamingowi. Wyszedł poza muzykę, komentując piłkę nożną w Canal+ oraz promując firmę Nike.

O tym, w jakim punkcie w życiu i karierze się znalazł, najlepiej świadczy album „Egzotyka” z 9 czerwca 2017 r. Przy okazji tego krążka gospodarz przeschepił na nasz grunt kulturę roll-outu, czyli zapowiedzi danego dzieła, celowo skróconych lub rozciągniętych w czasie. Sam utwory z nowej płyty wydawał przez dobre dwa i pół roku. Żeby ją stworzyć, odwiedził aż 70 krajów, a każda z 14 piosenek wiązała się z innym miejscem na świecie. Równocześnie podbijał sieć swymi stylizacjami odzieżowymi oraz fryzurami.

Po tak totalnej promocji powstało pytanie: co dalej? Naturalną drogą byłoby pewnie nagranie płyty z reprezentantem popu, by rozszerzyć ekspansję, lub zmiana konwencji. Stało na opcji pośredniej, czyli niespodziewanym aliansie z Taco Hemingwayem, raperem kojarzonym z dbałością o treść, a niekoniecznie formę wersów. Album „Soma 0,5” z 2018 r., wspierany EP-ką „0,25 mg”, połączył pop-rap i trap, stając się hybrydą pasującą zarówno do rozpędzonego rynku rymów i bitów, jak i stacji radiowych. Paradoksalnie artyści, zmęczeni sławą i pieniędzmi, zaczęli być jeszcze bardziej rozpoznawalni poza maticznikiem, zarabiając krocie. Z jednej strony byli atakowani za zbytne zbliżenie się do polskiego mainstreamu muzycznego, z drugiej – zagrali bodaj największy rodzimy koncert w historii Open'er Festivalu i zdobyli diamentową płytę.

7 września 2018 r. zmarł – po przedawkowaniu substancji psychoaktywnych – Amerykanin Mac Miller, jeden z najbardziej cenionych raperów młodego pokolenia. Dzień później jego wierny słuchacz Quebo przerwał karierę, by dać sobie czas na przemyślenie własnej działalności muzycznej i aktywności medialnej. Przez półtora roku rzadko pojawiał się na scenie. Dał o sobie znać tuż przed pandemią, zaskakując wszystkich: zakrył tatuaże, zmienił fryzurę na stonowaną, założył okulary i przywdział niebieskie polo z białą koszulką (pisaaliśmy o tej przemianie w POLITYCE 11/20). Wrócił niejako do „ustawień fabrycznych”, prezentując się jak zawstydzony, przygaszony chłopak, dopiero czekający na szansę na sukces.

Wydał też trzy poruszające, bezbrzeżnie smutne single: „Romantic Psycho” (rolę psychologa odgrywał Taco Hemingway),

„Jesień” (z wokalistką Natalią Szroeder, ówczesną partnerką) oraz „Przytobie”. Zanim wszystkie pojawiły się w sieci, zdążył odwiedzić w nowej kreacji studio „Dzień Dobry TVN”. Tak nie-gwiazda zapowiedziała album „Romantic Psycho”, którego pierwsza część ukazała się 27 marca 2020 r. Płytę potraktowano jak wydawniczy żart, ignorując fakt, że na tym poziomie biznesowym nie ma przypadkowych ruchów. Rzekomy dowcip okazał się manifestem przeciwko przesyтови (na wzór *overtourismu* – przesadnej turystyki – mówi się o *overrappingu*). Całość brzmiała chałupniczo, nieskładnie, przynosiła partie gości parodiujących samych siebie, a także hermetyczne odwołania stylistyczne i tekstowe do najdawniejszych formacji polskiego rapu. A jego rozwinięcie pod postacią drugiego krążka to wyznaczenie miłośnic i dla ówczesnej partnerki, i dla chwalebego dziedzictwa polskiej realizacji gatunku.

Byla w tym i łyżka dziegciu. Punktem kulminacyjnym promocji miała być bowiem trasa Romantic Psycho Experience, zapowiadana jako zbiór doświadczeń. Ostatecznie zobaczyliśmy i usłyszeliśmy cykl Psycho Relations, wyreżyserowany przez Grzegorza Jarzynę, wtedy dyrektora artystycznego TR Warszawa. Występy odbyły się w największych halach kraju. Wydarzeniem było bliżej do spektakli teatralnych niż koncertów – liczni znani goście byli wystylizowani i odgrywali swoje role wspólnie z zapraszającym. Równocześnie w małych miejscowościach występował Jakub Grabowski, alter ego rapera znane z promocji albumu, zaliczając choćby takie wydarzenie jak Festiwal Maśła w Lubochni.

Tak naprawdę nie jest pewne, kogo i w jakiej formie zobaczymy na PGE Narodowym. Artysta uzasadniał w 2022 r. zakończenie kariery tym, że tworzenie przestało mu sprawiać przyjemność. Dodał, że woli skupić się na studiach oraz tworzeniu żywności (ma markę Miss Ti, zajmującą się m.in. wyrabianiem mochi, japońskich ciastek ryżowych). Mimo to fani wypatrują nowych nagrań. Mają nadzieję nie tylko na wydanie drugiej części Taconafide, ale i premierę rzekomego albumu „Galaktyka” z zagranicznymi gwiazdami rapu i okolic. Nawet jeśli idol zostawi ich z niedosytem, w swoim przekonaniu zrobi to w dobrej wierze. Bez zdrowego egoizmu nadal siedziałyby na murku. ■



Mea pulpa

czyli kronika popkulturalna Kuby Wojewódzkiego

Onet donosi: „Justyna Dobrosz-Oracz pokazała się w stroju kąpielowym. Internauci podzieleni”. Kolejny dowód na to, jak prawica skłóciła Polaków.

● Ryszard Rynkowski spowodował kolizję, mając 1,6 promila alkoholu we krwi. Jego menedżer twierdzi, że przyczyną wypadku było oślepiające słońce. Statystyki nie kłamią. Jesteśmy najbardziej następcznym narodem w Europie.

● Media spekulują o udziale Sebastiana Fabijańskiego w „Tańcu z gwiazdami”. Jeśli będzie tańczył tak, jak walczył w MMA, to kłops. Bo do tanga trzeba dwojga. W pionie.

● Jedną z nagród w plebiscycie Gwiazda Plejady otrzymał 21-letni aktor Hugo Tarres. Brawo. Nareszcie od czasów Somosierry Polacy i Hiszpanie zrobili razem coś brawurowego.

● Najśłynniejsza para influencerów, Natalia Karczmarczyk i Marcin Dubiel, rozstała się. To był paradoksalny związek. Ona znana była z tego, o czym nie chciała mówić, a on z tego, o czym mówili wszyscy.

● Kolejnym uczestnikiem 17. edycji „Tańca z gwiazdami” będzie prezydent Polsatu Aleksander Sikora, znany wcześniej z TVP. To miły chłopak. Z gatunku tych, którzy nie zrobią krzywdy. Ani kłamstwa, ani prawdy.

Największym przebojem festiwalu w Opolu był koncert z piosenkami Jacka Cygana. Obejrzało go ponad 2 mln widzów. Pewnie widownia mogłaby być większa, gdyby ci, co oglądali koncert Debiuty, przeżyli.

● „Jako jedyny na zgrupowaniu dobrze wyglądał Matty Cash, bo nie zna języka i nie rozumiał, co się dzieje” – to Zbigniew Boniek o sytuacji w kadrze. Ciekawe. To nie nekrolog decyduje o śmierci, tylko brak tętna.

● Magda Gessler ujawniła, że odrzuciła niegdyś oświadczyń irańskiego księcia – „Modlił się nade mną trzy dni”. Życie Magdy jest takie, jak jej kuchnia. Pełne fantazji.



© ARTUR ZAWADZKI/REPORTER

Maffashion pokazała się w bikini na balkonie. „Ciało, za które można umrzeć” – krzyczy Wirtualna Polska. Zatrudnianie nastoletników w mediach jest intratne, ale niektóre organy dalej pracują teoretycznie.

● Hanna Lis ostro wypowiedziała się o doniesieniach w sprawie Ryszarda Rynkowskiego: „Mógł kogoś zabić”. Pod ciężarem tego miażdżącego publicystycznego rozpoznania sam czuję się nieżywy.

● Plejada donosi, że Paweł Deląg nie ma kompleksów wobec hollywoodzkich aktorów – „Jestem na tym samym poziomie”. Lubię takie wyznania. Stawiają kabareciarzy i satyryków do pionu.

● Według raportu Reuters Institute prawie połowa Polaków ufa informacjom w mediach. Na czele RMF FM. Jasne. To tam Joanna Senyszyn wyznała, że nie korzysta z aplikacji randkowych, bo ma powodzenie i wzięcie.

● „Jest nowa szefowa Pudelka” – ustalił nieoficjalnie portal Wirtualne Media, który należy do tej samej grupy co Pudelek. Czekamy na potwierdzenie w TV Republika. Oni ostatnio mają najświeższe wieści.

● Hanna Turnau pokazała się nago na Instagramie. W saunie. Zdjęcie podpisała hasłem: „Zero potrzeb”. To zrozumiałe. Im dłuższa kariera, tym zapotrzebowanie na odzież jest większe.

● Michał Wiśniewski wyznał, że w latach 90. zespół Ich Troje szukał wokalistki i zaproponował współpracę Anicie Werner. Ich Troje i TVN coś łączy. Coraz trudniej znaleźć kogoś, kto to kupi.

Blanka Lipińska poinformowała społeczeństwo, że po liftingu twarzy z okazji swoich 40. urodzin wciąż nie ma czucia w niektórych partiach. Jak widać, po wyborach prezydenckich społeczeństwo ma podobnie.



Moja jest pomsta

Myśli pan, że się zemści? – zapytała mnie sąsiadka w ten irytujący sposób, który wyrażał pewność, że czyta mi w myślach.

– Kto i na kim? – udawałem, zanurzony w piwnicznej komórce w poszukiwaniu klucza do odkręcania kranu.

– Jeśli jest tak zły, jak mówią, to na pewno. Ale jeśli jest zły tylko trochę, to zemści się bardziej – stwierdziła, spoglądając krytycznie na nieład mojej piwnicy.

– Zna pani to przysłowie: „Idziesz się mścić, wykop dwa groby”? Mam nadzieję, że się pani myli, bo za zemsty polityczne zawsze płaci lud. Poza tym – dodałem z ironicznym patosem – „Moją jest pomsta – mówi Pan”.

– O, widzę, że obaj cytujecie Biblię – skwitowała. Po czym podniosła z podłogi koszyk ze słoikami ogórków i zostawiła mnie samego, nadal bez klucza.

Zaintrygował mnie ten fragment z Księgi Kronik przytoczony przez prezydenta elekta po ogłoszeniu wyników wyborów. Wersy rzadko cytowane; nieznane nawet pilnym słuchaczom niedzielnych mszy. Łatwiej zrozumieć same słowa niż człowieka, który ich używa. A już filologowi na pewno. Zwłaszcza że zawodowo jesteśmy kontynuatorami interpretatorów Biblii, a pamiętać trzeba, że tradycja chrześcijańska miała starszą siostrę w postaci komentarzy do Tory. Obie wielkie tradycje dowodzą,

Łatwiej zrozumieć słowa niż człowieka, który ich używa. A jak ktoś Biblię cytuje, to nie wiadomo, co ma na myśli.

że jak ktoś Biblię cytuje, to nie wiadomo, co ma na myśli. Dlatego ustalono zasadę rozdzielania słowa na czworo. Opisuje ją łacińska instrukcja o czterech znaczeniach każdego fragmentu Biblii: *Littera gesta docet, quid credas allegoria, moralis quid agas, quo tendas anagogia* (dosłowne uczy o wydarzeniach, alegoryczne – w co wierzyć, moralne – jak postępować, anagogiczne – do czego zmierzać).

No to do roboty! Słynny już fragment z Księgi Kronik opowiada o tym, jak Salomon ukończył budowę świątyni i pochwalił się nią Bogu. Ten przyjął łaskawie dar, obiecał, że w świątyni zamieszka, ale dał Salomonowi do zrozumienia, żeby sobie nie myślał, że podarunkami go przekupi. Jeśli ludzie nie będą mu wierni, ześle suszę, szarańczę lub zarazę. Historycznie fragment ów prawdopodobnie dokumentuje moment, kiedy Jahwe jeszcze nie rządzi niepodzielnie w umysłach i sercach Izraela, ale czas swobodnego wyboru między bóstwami się skończył.

Bóg jest jeden. Może udzielić łaski tym, którzy pobłądzili, ale tylko „jeśli upokorzy się mój lud, nad którym zostało wezwane moje Imię, i będą błagać, i będą szukać mego oblicza, a odwrócą się od swoich złych dróg, Ja z nieba wystucham i przebaczę im grzechy, a kraj ich ocale” (2 Krn 7, 14).

Dosłownie cytując ten oznaczałby zapowiedź, że wyborcy lojalni oraz pokornie nawróceni zostaną nagrodzeni, a zatwardziałą opozycję się ukarze. Ale ponieważ trudno zesłać suszę, szarańczę lub zarazę tylko na przeciwników, literalny sens nie ma sensu i trzeba go zastąpić alegorycznym. Świątynia zatem to Polska; a Salomon to prezydent, którego Bóg sprzyja, pod warunkiem że lud będzie się porządnie zachowywał. W przeciwnym razie czekają nas plagi (wiadomo: Zielony Ład, imigranci, gender). I tu przechodzimy do znaczenia trzeciego – moralnej przestrogi, jakiej Biblia nam udziela. Ten „zły” lud musi się opamiętać, poglądy zmienić i za dwa lata stosownie głosy oddać. I tak docieramy do czwartego znaczenia, które odsłania kluczowy cel nadchodzącej prezydentury. A jest nią ciąg dalszy konserwatywnej rewolucji.

W wymiarze politycznym Biblia jest bowiem głęboko pesymistyczna. Postęp jest fikcją; metodami politycznymi świata naprawić się nie da, można jedynie powstrzymać jego dalszy upadek. Bezskutecznie, gdyż ostatni rozdział to Apokalipsa. Nadzieja poprawy jest tylko dla ludzi. Polacy zawsze mogą się „nawrócić”, czyli wrócić na swoje miejsce, które opuścili, aby zajmować się Europą, klimatem, Ukrainą, imigrantami, cudzymi wojnami, prawami mniejszości. To nie nasze sprawy, nasze miejsce jest w domu. Koniec świata najlepiej przeczekać w domu.

Gdyby te cztery objaśnienia nie wystarczyły, podsumowuję – autoteliczne. Cytujemy, bo to dobrze brzmi i wygląda. Poetycki walor cytatu biblijnego wykorzystał Quentin Tarantino w „Pulp Fiction”. Nawrócony gangster Jules (Samuel L. Jackson) tłumaczy koledze biblijny cytat, który zwykł wygłaszać przed „skasowaniem gościa”: „Droga sprawiedliwego jest ze wszystkich stron otoczona przez nieprawości samolubnych i tyranie złych ludzi. Błogosławiony ten, kto w imię miłosierdzia i dobrej woli prowadzi słabych przez dolinę ciemności, bo on prawdziwie jest opiekunem swego brata i odnajduje zagubione dzieci. I uderzę z wielką zemstą i płomiennym gniewem na tych, którzy próbują zatruwać i niszczyć moich braci. I poznacie, że nazywam się Pan, gdy wykonam na was moją zemstę” (rzekomo Ezechiel 25:17).

Tarantino sfalszował ten cytat. Naprawdę z Ezechiela jest tylko to: „Dokonam na nich wielkiej pomsty za pomocą srogich kar. Wtedy poznają, że Ja jestem Pan, gdy dokonam na nich pomsty”. Na szczęście Jules też zaczął rozumieć te słowa na cztery sposoby, a nie tylko dosłownie.

RYSZARD KOZIOŁEK



Kieliszek jodyny

Jak każdy nauczyciel chemii, najbardziej lubię te chwile, gdy osoba uczniowska pyta: „A kiedy mi się ta wiedza przyda w życiu?”. Cóż, liceum ogólnokształcące powinno przekazywać wiedzę ogólną. Czy ona się do czegoś przyda, to osobna kwestia. Prosty przykład to pojawiające się raz na jakiś czas gdzieś na świecie większe skażenie radioaktywne. Ostatnio mieliśmy z nim do czynienia przy katastrofie w Fukushima, teraz być może się pojawi w ramach wojny Izraela z Iranem. Wtedy w mediach roi się od pojęć takich jak „izotop”, „mikrosiwert” czy „rozpad połowiczny”, bo występują one w oficjalnych komunikatach, pisanych z założeniem, że każdy rozumie, co to znaczy (bo to jest w podstawie programowej chemii w szkole średniej).

Cóż, podstawa programowa jest tworem równie wirtualnym jak gotowość naszej drogiej koalicji rządzącej do wygrywania wyborów. Postanowiłem więc napisać felieton korepetycyjny. Jeśli dojdzie do jakiegoś większego skażenia na Bliskim Wschodzie, będzie jak znalazł. A jeśli nie, to... uff! Ale i tak obawiam się, że ta wiedza może się kiedyś przydać. Zaczniemy od tego, że raczej nic nie wybuchnie na naszym terytorium. Czyli że nie interesuje nas promieniowanie gamma i inne przyjemności występujące w pobliżu *ground zero*. Ładnych kilka stron z podręcznika radiochemii możemy więc pominąć. Grozi nam natomiast opad materiałów promieniotwórczych, wyrzuconych w powietrze siłą wybuchu. Jak bardzo nam grozi, to zależy oczywiście od tego, co wybuchnie, ale przede wszystkim od kierunku wiatru.

I tu ciekawostka raczej geograficzna niż chemiczna. Charakterystyczną cechą irańskiego klimatu jest tzw. wiatr studwudziestodniowy, który między majem a wrześniem wieje w kierunku południowo-wschodnim. To znaczy, że jeśli do eksplozji dojdzie w najbliższym czasie (np. między wysłaniem felietonu do redakcji a jego publikacją), opad nie będzie naszym problemem. Większość wiatr zwieje do Oceanu Indyjskiego. Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że ktoś w Izraelu to celowo tak zaplanował. To nie jest teoria spiskowa, ten wiatr jest wystarczająco sławny, żeby mieć własne hasło w Wikipedii.

W razie wybuchu głowicy jądrowej (a zwłaszcza termojądrowej) ten wiatr nie ochroni nas w stu procentach. Tutaj trzeba się już liczyć z tym, że opad wyleci do stratosfery i rozniesie się na tysiące kilometrów. Opad z Czarnobyla doleciał do Anglii i Francji, a to nie był przecież wybuch atomowy. Zakładając jednak, że dojdzie do konwencjonalnego uderzenia w jakiś irański reaktor, nie musi już być tak źle. To znaczy nie musi być źle w Europie, bo oczywiście kawał Iranu

może ulec lokalnemu skażeniu. Gdy do tego dojdzie, media będą usiłowały nakręcać sensację klikalnymi nagłówkami. Żenujące przykłady widzieliśmy przy okazji Fukushima oraz co jakiś czas wracającego tematu „wzrostu promieniowania w Ukrainie” (promieniowanie zawsze wzrasta przy suchej pogodzie, co czyni jego „niespodziewany kilkakrotny wzrost” idealnym tematem na letni sezon michałków w mediach).

Czy wpadać w panikę? Artykuły informujące po prostu o „wzroście” (bez liczb i jednostek) proponują całkowicie ignorować. A co z tekstem, w którym pojawi się konkretna liczba, powiedzmy 5 mikrosiwertów na godzinę? Jest taka żartobliwa jednostka zwana „ekwiwalentem banana”. Potas zawiera domieszkę radioaktywnego izotopu K40, co wystarcza, żeby za pomocą licznika Geigera wykryć bogate w potas banany i pomidory w czyimś plecaku (bawiłem się tak w czasach studenckich). Otóż 1 mikrosiwert to 10 bananów, czyli powyższe promieniowanie przeliczamy na 50 bananów na godzinę. Prędzej od tego dostaniemy biegunki niż choroby popromiennej.

A czy zażywać płyn Lugola? Do najbardziej niebezpiecznych składników opadu należy radioaktywny izotop (czyli odmiana pierwiastka różniąca się liczbą neutronów) jodu I-131. Nasz organizm gromadzi jod w tarczycy, więc nawet niewielka dawka jego radioaktywnej odmiany jest groźna dla zdrowia, bo skupi się w jednym wrażliwym organie. Profilaktyka polega na zażyciu uderzeniowej dawki „zwyčajnego” jodu, żeby organizm przestał przyswajać na jakiś czas wszystkie odmiany. Płyn Lugola podawano dzieciom w 1986 r., bo można było go przyrządzić ze składników dostępnych w każdym ambulatorium. Człowiek dorosły może się napić jodyny, czyli roztworu jodu w spirytusie, ale powyżej pewnego wieku to już nie jest zalecane, bo ryzyko przewyższa korzyść.

Materiały promieniotwórcze zanikają wykładniczo. Po upływie pewnego okresu zostaje połowa, potem połowa tej połowy, potem jedna ósma, jedna szesnasta itd. Dla radioaktywnego jodu ten okres wynosi osiem dni, czyli że z jodu po Czarnobylu nie zostało już nic, niewiele też pozostało w wygaszonej trzy lata temu elektrowni atomowej w Zaporozżu. Zagrożenie jodem występuje tylko w razie awarii czynnego reaktora albo wybuchu bomby atomowej, ale nie np. w wyniku zbombardowania zakładu wzbogacania uranu albo wygaszonego reaktora. No, ale dla niektórych każdy pretekst do wypicia kieliszka czegokolwiek zawierającego alkohol jest dobry. A choćby i jodyny. No to cyk!

WOJCIECH ORLIŃSKI



Żadnych królów!

Obyś żył w ciekawych czasach! Te niewątpliwie należą do frapujących, chociaż słusznie budzą i lęk. Jedni chodzą na Parady Równości, inni chcą „silnego przywódcy”. W części z nas kipi potrzeba wolności, podczas gdy na pozostałych pada błąd przed nią strach. Zachód popadł w drgawki, co jest bardzo na rękę Wschodowi. Gdy w wyborach wygrywają zamordyści, natychmiast na ulice wychodzą obywatele, by protestować przeciw zakusom autorytarnym. Ludzie słusznie czują, że grozi im zamach na podstawowe wartości demokracji, z wolnością i równością na czele. Trudno bez słowa złożyć buławę w ręce mściwego staruszka.

Widać to pięknie w USA, gdzie na ulicach Los Angeles i ponad 2 tys. innych miast demonstrowało ponad 13 mln osób pod hasłem „No Kings Day”. Domagano się przestrzegania konstytucji, wściekano na krucjatę przeciw uniwersytetom, żądano ludzkiego traktowania obywateli, w tym imigrantów, których wrogiem publicznym uczynił prezydent Donald Trump. Tymczasem on sam w Dniu Flagi sprawił sobie w prezencie urodzinowym paradę czołgów. Za pokazem siły kryje się coś znacznie poważniejszego: zamach na niezawisłość sądów, deportacje, tępienie intelektualistów. Kolejne etapy znamy z naszej historii. Wrogiem będzie każdy, kto postawi się autorytarnej władzy, a odważnych wsadzi się do więzienia.

Nazywanie populistów oszustami nie robi już na nikim wrażenia. A ich przekaz trafia do wielu.

Można się wyśmiewać z narcyzów u sterów, ale to nic nie da. Bo oni nie tyle narzucają własne wizje, ile sprawnie zagospodarowują ludzki strach. Nie ma się co oburzać: ludzie chcą żyć, pracować, spędzać czas z bliskimi, a zarządzanie państwem oddać w czyjeś ręce, choćby nawet pazerne. Nazywanie populistów złodziejami, oszustami czy szaleńcami nie robi już na nikim wrażenia. A oni wysyłają spójny przekaz, który trafia do wielu.

Niestety, lewica tego nie umie. Nie zainwestowała środków w bombardowanie mediów społecznościowych spójnym przekazem dającym się streścić w jednym zdaniu. Nie przebiła się z informacją, do czego młodzi mieliby aspirować, czego być częścią, z czego mogliby być dumni. Narracja postępową ich nie porывa, głównie dlatego, że jej nie słychać. Fakt, populiści mają łatwiej, bo dzielenie ludzi na wrogie obozy nie wymaga od obywateli zmiany sposobu myślenia. Wystarczy dotrzeć do źródła frustracji

i na tym grać, rytmicznie, bez znaków zapytania. Przykładem do tego świat mediów społecznościowych, w których rządzą algorytmy. Przy systematycznym spadku czytelnictwa i zanikającej umiejętności niezależnego myślenia nie trzeba się natrudzić, by osiągnąć polityczny cel.

Hasło „zmieniamy” wymaga finezji. Niestety mało jest na razie przykładów skutecznego dotarcia z tym przekazem. A to, czego nie umieją partie ani politycy, zagospodarowuje właśnie ulica. To dlatego w USA tłum skandował: „Żadnych tronów. Żadnych koron. Żadnych królów”. Gdyby progresywni politycy podjęli to hasło, pojawiłoby się światło w tunelu.

Najciekawszy wydaje się w tym wszystkim głos młodych. Część z nich się burzy, gdy ich nazywać pokoleniem uzależnionych od smartfonów. Francuska licealistka w audycji radia France Inter powiedziała, że traktowanie całej generacji, jakby była jedną osobą, upokarza i nie odpowiada rzeczywistości. Ma rację. Z jednej strony młodzi ludzie strauumatyzowani zamknięciem w czasach covidu popadają w uzależnienie od świata wirtualnego. Z drugiej dojrzewają do tego, by z niego wyjść, bo, jak mówią, „za dużo się dzieje”. Wspierają ich rodzice, którzy organizują się, by wywrzeć nacisk na rządzących, żeby odgórnie zabronić korzystania z komórek w szkołach, jak to się dzieje we Francji. I znów, obywatelskie społeczeństwo jest mądrzejsze od polityków. Wie, że jeśli wyjmie się z rąk młodego pokolenia mały przedmiot współodpowiedzialny za tworzenie podziałów, dojrzeją osoby, którymi będzie trudno manipulować za pomocą fake newsów, algorytmów czy propagandy. Ludzie, których nie będzie kusiło, by kręcić wulgarne filmiki, chwalić się przemocą czy wyzywać kolegów od „tęczowych Rafałków”.

„Patriotyzm jest remedium na nacjonalizm. Zacieranie różnicy między patriotyzmem zorientowanym na dobro wspólnoty narodowej a agresywnym nacjonalizmem jest niebezpiecznym zabiegiem politycznym. Jak wiemy, patrioci czują się zobowiązani walczyć w agresywnych wojnach wywołanych przez nacjonalistów” – mówi badaczka Agnieszka Golec de Zavala w rozmowie z Dorotą Wodecką („Gazeta Wyborcza”).

Coraz wyraźniejszy staje się podział na głos obywateli i na ten polityków wciągających państwa w wojny. Nazanin Boniadi, urodzona w Teheranie brytyjska aktorka i działaczka na rzecz praw człowieka, znana m.in. z roli w serialu „Homeland”, mówi: „O losach Iranu powinni i będą decydować Irańczycy, a nie obce stolice. Nie rozmowy w zamkniętych gabinetach, lecz irańska ulica, z własnym głosem, i dzięki własnej walce”. Własne znaczą obywatelskie. W tym kierunku zmierza świat traumatyzowany przez tyranów. Ludzie nie chcą „królów”.

SYLWIA CHUTNIK, GRAZYNA PLEBANEK



Czyimi głosami przegrał Trzaskowski

Wybory prezydenckie zakończyły się sukcesem, ale umiarkowanym, bo prawdziwe wyniki mogą być trochę inne od tych, które oficjalnie ogłoszono. Z tym że jeszcze nie zapadła decyzja, czy je kiedykolwiek poznamy.

Wiadomo, iloma głosami wygrał kandydat popierany przez PiS. Wiadomo też, że na skutek błędnego przypisania głosów w niektórych komisjach części z nich nie oddano na niego, tylko na jego rywala z KO, który w zamian otrzymał głosy oddane na kandydata PiS. Ponieważ na zamianach zyskiwał ten ostatni, są podejrzenia, że zwycięstwa nie zawdzięcza sobie, tylko dobremu wynikowi konkurenta i zręczności niektórych członków komisji.

Najbardziej podejrzliwi uważają, że choć to Trzaskowski był lepszy, w niektórych komisjach uznano, że lepszy będzie Nawrocki, i to jemu przyznano głosy Trzaskowskiego. Nic dziwnego, że pojawiły się żądania powtórnego przeliczenia głosów w komisjach w celu potwierdzenia, jaka część głosów, które dostali poszczególni kandydaci, była głosami oddanymi na nich, a jaka – na ich rywali. I w konsekwencji – jaka liczba głosów oddanych na Trzaskowskiego zadecydowała o tym, że drugą turę wygrał ostatecznie Nawrocki.

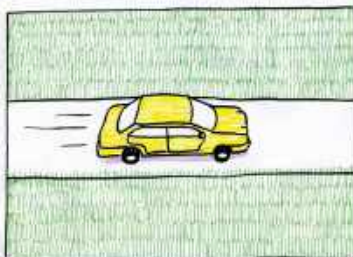
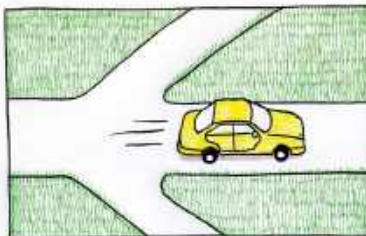
Politykom PiS i Andrzejowi Dudzie najwyraźniej nie przeszkadza, że Nawrocki mógł wygrać głosami

zdobytymi przez Trzaskowskiego, bo ostro sprzeciwiają się ponownemu ich przeliczaniu. Według nich demokracja nie polega na ustalaniu, na kogo oddano głosy, którymi wygrał dany kandydat, jeśli to ich kandydat, tylko na pogodzeniu się z faktem, że każdy głos jest tak samo ważny, a zwycięzcą jest ten, kto po podliczeniu przez komisje ma ich więcej.

Sporo wyborców domaga się ponownego przeliczenia głosów, żeby tylko pierwszą damą nie została Nawrocka, która się do tej roli nie nadaje. Wielu internautów ocenia jej wizerunek krytycznie; twierdzą, że w porównaniu do poprzedniczek brak jej kompetencji w takich sprawach, jak zbyt często otwierające się stroje.

Nie wiem, co który dzień należy coś na siebie zakładać, żeby nie być oskarżonym, że zakłada się to za często, ale uważam, że kwestionowanie wyniku wyborów z tego powodu to przesada. Zwłaszcza że zdaniem ekspertów obecny wizerunek Nawrockiej jako kobiety nie najlepiej ubranej po wysypie hejtu zostanie wkrótce zastąpiony bardziej przyjaznym wizerunkiem kobiety niesprawiedliwie ocenianej z powodu ubioru. Dzięki temu nowa pierwsza dama będzie przyciągać wyglądem życzliwą uwagę Polaków bez konieczności częstej zmiany ubrań, co powinno uspokoić polityczne nastroje.

GALERIA POLITYKI



ISKRA, ZNANY JAKO AUTOR „SMUTNYCH HISTORII SPISANYCH NA KACU I TANIM PAPIERZE”

POLITYKA

WYDAWCA POLITYKA Spółka z o.o. SKA
ADRES ul. Słupecka 6, 02-309 Warszawa

RECEPCJA GŁÓWNA
tel. 22 451-61-33, 451-61-34

POCZTA ELEKTRONICZNA polityka@polityka.pl

PREZES I REDAKTOR NACZELNY

Jerzy Baczyński
tel. 22 451-60-00

CZŁONKOWIE ZARZĄDU

Mariusz Janicki (Wiceprezes),
Katarzyna Białek, Bartek Chaciński

DYREKTOR ZARZĄDZAJĄCY

Katarzyna Białek

Z-CY REDAKTORA NACZELNEGO TYGODNIKA POLITYKA

Mariusz Janicki (Pierwszy Zastępca),
Witold Pawłowski, Bartek Chaciński

BIURO REKLAMY

tel. 22 451-61-36, e-mail: reklama@polityka.pl

Izabela Kowalczyk-Dudek (dyr.),
Julian Sobiech (reklama cyfrowa)

PROJEKTY SPECJALNE tel. 22 451-61-93

**ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ REDAKCJA PONOSI
ODPOWIEDZIALNOŚĆ W GRANICACH WISZĄCZYCH
W UST. 2 ART. 42 USTAWY PRAWO PRASOWE**

PRENUMERATA PAPIEROWA

www.sklep.polityka.pl

Infolinia: tel. 67 210 86 30,

e-mail: infolinia@polityka.pl

Monika Grabowska,

tel. 22 451-61-00, 451-61-15

e-mail: prenumerata@polityka.pl

PRENUMERATA CYFROWA

www.polityka.pl/cyfrowa

Infolinia: tel. 22 336-79-16,

e-mail: cyfrowa@polityka.pl

WYDANIE INTERNETOWE

www.polityka.pl

REDAKTOR NACZELNA
Aleksandra Żelazińska

Konto: POLITYKA, Spółka z o.o. SKA

BNP Paribas Bank Polska S.A.

18 1750 0009 0000 0000 1004 2763

SWIFT: RCBWPLPW

Sprzedż bezumowna numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona, nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

COPYRIGHT © POLITYKA SPÓŁKA Z O.O. SKA

Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułów, w tym artykułów na aktualne tematy polityczne, gospodarcze i religijne opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.

Przedruki po uzyskaniu zgody Wydawcy.
Kontakt: Justyna Sadowska,
tel. 22 451-61-50,
e-mail: przedruki@polityka.pl

Administratorem Państwa danych osobowych jest Polityka Sp. z o.o. SKA z siedzibą w Warszawie 02-309, ul. Słupecka 6. Państwa dane osobowe będą przetwarzane w celu udzielenia odpowiedzi na Państwa listy i mogą zostać opublikowane w tygodniku POLITYKA, chyba że Państwo zastrzegli ich nieujawnianie (art. 15 ust. 2 pkt 1 ustawy prawo prasowe).



© MICHAŁ RADWAŃSKI/URBDA PUBLISHING

Janka i kryminały

Jedną z pasji naszej nieodżałowanej komentatorki politycznej Janiny Paradowskiej, zmarłej 29 czerwca 2016 r., były kryminały. Czytała dużo i zachłannie, a do tego sama oceniała i polecała najlepsze książki. Przez wiele lat była też Przewodniczącą Jury Nagrody Wielkiego Kalibru za powieść kryminalną lub sensacyjną przyznawanej od 2004 r.

Organizatorzy Nagrody w 2017 r., by uczcić pamięć naszej publicystki, postanowili przyznać nagrodę Jej imienia. Miło nam zatem poinformować, że w tym roku Nagrodę Specjalną im. Janiny Paradowskiej w ramach Nagrody Wielkiego Kalibru otrzymał Maciej Rozeń za książkę „Zła krew” (Wydawnictwo Znak).

To trzymająca w napięciu od pierwszej do ostatniej strony historia policjantki rozgrywająca się w jednym z małych polskich miasteczek w latach 90. Jury Nagrody oceniło przy tym, że Maciej Rozeń to autor o największym potencjale. Nagrodę główną i nagrodę publiczności Wielkiego Kalibru otrzymała zaś Mathia za powieść „Szept” (Wydawnictwo Czwarta Strona). Juan Gómez-Jurado, bestsellerowy autor z Hiszpanii, został zaś laureatem Honorowej Nagrody Wielkiego Kalibru.

Wszystkim nagrodzonym serdecznie gratulujemy.

REDAKCJA

POLITYKA w Biedronce

Drodzy Czytelnicy, **od bieżącego numeru POLITYKĘ możecie nabyć również w sklepach sieci Biedronka.** W ten sposób dostępność POLITYKI zwiększa się o 2100 sklepów tej popularnej sieci handlowej. Nasz tygodnik będzie można bez trudu odnaleźć na ekspozytorach prasowych.

Polecamy się Państwa uwadze przy codziennych zakupach i zapraszamy do lektury!

Zdarzyło się

Zagłędamy do archiwum POLITYKI

30 lat temu, w 26. numerze z 1995 r., nasza reportażystka Barbara Pietkiewicz rozmawiała z Marią Dzedzic, lekarzem medycyny, o sprawach, które mimo upływu kolejnych dekad wciąż budzą w naszym kraju niepotrzebne emocje (rozmowa „Bara-bara”).

BARBARA PIETKIEWICZ: – Kiedy wyjaśniła pani swoim dzieciom, co to jest prezerwatywa?

MARIA DZIEDZIC: – Przed ich pójściem do szkoły. Potem już o to nie pytały. Wczesne uświadomienie jest łatwiejsze, bo dziecko przyjmuje wówczas wszystko w sposób naturalny, nic nie trzeba z tym kombinować. Na wczesną wyłożoną fizjologię można później łatwiej, w miarę rośnięcia dziecka, nakładać wyższe sprawy duchowe. (...)

Próbowaliśmy zapytać Owsiaaka, jakie były reakcje widzów na pokazywanie przez niego prezerwatywy w telewizji. Nawet mówić o tym nie chciał.

Nie jestem pewna, czy u nas telewizja to właściwe medium. **Ale to potęga. Czy mamy pozostać przy hasle „Bądź cnotliwy” i koniec?**

Wszystko się w życiu zdarza: absyntencja i wierność, gwałt i promiskuityzm. Ci, którzy wybierają danie niezdrowe, mają do tego prawo. Ale trzeba im przypominać, że taki wybór wiąże się z ryzykiem i że powinni się przed nim bronić.

Mają być moralni, cnotliwi i wierni.

Co ma do tego moralność? Czy przechodzenie przez pasy w niebezpiecznym miejscu jest moralne? Nie należy prezerwatywy demonizować. Ani straszyć, bić w wielkie bębny, straszyć śmiercią i HIV-em. Raczej przypominać, że gumka jest dla osób, które chcą i lubią ryzykować. To powinno być sednem sprawy.

Sprawa czysto techniczna?

Jeśli już mamy włączać do tego moralność, to należy uświadamiać, że niemoralne jest traktowanie partnera w sposób przedmiotowy, narażając go na ryzyko, jeśli są ku temu powody.

Czy edukatorzy seksu wyszkoleni przez Społeczny Komitet Zapobiegania AIDS, w którym pani się udziela, mówią o tym wszystkim dzieciom w szkole?

Uczą o rzeczach pięknych i ważnych – o budzeniu się seksualności, o mądrych wyborach i o ryzyku

właśnie dla siebie i partnera. Naszą akcją objęliśmy 60 szkół, prelekcji wysłuchało 8 tysięcy dzieci. Edukatorami są zwykle studenci pedagogiki i pedagodzy.

A co na to dyrektorzy szkół?

Mam od wielu listy z podziękowaniami.

A rodzice?

Zdarzyła się tylko raz interwencja kilkorga rodziców.

Zarzucali nam szerzenie demoralizacji. Staraliśmy się im wyjaśnić, że mamy zgoła odmienne cele.

Dzieci nie śmieją się, nie wstydzą, nie chichoczą?
Nie, bo traktuje się je poważnie.
Mówi się im i pokazuje, jak posługiwać się prezerwatywą?

Jeśli sobie tego życzą. Wyjaśnienia przyjmują naturalnie. W tym, co mówimy, nie ma miejsca

na wstyd, grzech, straszenie. Mówimy im o wyborze, którego mogą dokonać. Życiu z ryzykiem i bez.

Można tę akcję rozpocząć w szkole podstawowej? Z badań Zbigniewa Izdebskiego wynika, że tylko 8 proc. młodzieży przy pierwszym stosunku używa zabezpieczenia. A inicjację seksualną rozpoczyna się coraz wcześniej.

U nas to niemożliwe, choć robi się to już powszechnie w większości zachodnich krajów europejskich.



Pozwól jej

Krytykom zarzucającym, że jej teorie to tanie sztuczki, odpowiada: owszem, ale działają. Dzięki nim **Mel Robbins** stała się jedną z najpopularniejszych podkasterek motywacyjnych świata.

Przybij piątkę swojemu odbiciu w lustrze. Zabierz się do działania, odliczając od pięciu do jednego, pozwól innym: mieć własne zdanie na twój temat, nie zapraszać cię na swoje imprezy, jeść tacos przed studniówką, rzucić ci niechęć spojrzenie w tłumie, gdy idziesz za wolno. Pamiętaj, że jedna decyzja dzieli cię od lepszego życia. A jeśli nikt ci dziś tego nie powiedział, to mówię ci to ja: Kocham cię. Oto ekstrakt z nauk 56-letniej Amerykanki Mel Robbins, byłej prawniczki, która kiedyś tonęła w długach, a obecnie podkasterki, trenerki oraz przedsiębiorczyni, której głosu słuchają dziesiątki milionów ludzi na całym świecie.

Formy przekazu są różne – włączając publikowane dwa razy w tygodniu podkasty (każdy trwa minimum godzinę) i ich urywki latające po mediach społecznościowych (Mel ma 10 mln followersów na Instagramie i połowę tego na TikToku). Są też cytaty pisane marzycielskim fontem na tle zdjęć natury. Jest również forma pisana dłuższa, książkowa – w tym „Reguła 5 sekund. Masz wszystko, czego potrzebujesz, aby odmienić swoje życie”, „Nawyki przybijania piątki. Przejmij kontrolę nad swoim życiem dzięki jednemu prostemu nawykowi” oraz wydana w Polsce wiosną tego roku najsłynniejsza bodaj: „Teoria POZWÓL IM” (wydawnictwo Galaktyka).

W czasach, gdy coraz częściej sięgamy po wsparcie psychologiczno-mentalne, a sprawa wiarygodności i rzetelności terapeutów oraz regulacji w zawodzie jest gorąco dyskutowana (także na łamach POLITYKI), Mel Robbins oferuje jednocześnie serdeczne i szorstkie wsparcie, nie udając przy tym, że jest kimś więcej niż autorką, kumpelką, motywatorką. Nie uważa się za guru, nie chce zastępować fachowej pomocy medycznej czy psychiatrycznej. Często sięga po przykłady z własnego życia, nie ukrywa, że sama



Ola Salwa

– absolwentka psychologii, dziennikarka z 20-letnim stażem. Pisze o filmie, modzie i zjawiskach społecznych, konsultuje scenariusze, jest członkinią Europejskiej Akademii Filmowej.

TREND

musiała przerobić niektóre swoje lekcje kilkanaście razy. Krytykom zarzucającym jej teoriom uproszczenia i taniść odpowiada: no, ale to działa. Zresztą eksperci – psychologowie i terapeuci cytowani przez „The Guardian” czy „The New York Times” – przyznają, że Robbins dzieli się wiedzą w sposób odpowiedzialny i jej powiedzonka, w tym słynne „pozwól im”, mają wiele sensu.

Ale do brzegu: o co w tej teorii chodzi? O odpuście kontrolę – prawdziwej lub iluzorycznej – nad działaniami innych ludzi. Bliskich, średnio bliskich, dalekich – nie ma to większego znaczenia. Mel powtarza, że codziennie tracimy mnóstwo energii na to, aby inni ludzie mieli albo jakieś konkretne zdanie na nasz temat, albo zachowywali się w jakiś konkretny sposób. I po co? No właśnie. Mówiąc „pozwól im”, mamy poczuć się zwolnieni z bycia lubianymi, popularnymi, wiecznie przejętymi krzywymi spojrzeniami koleżanki z biurka obok lub pana w spożywczaku. Mamy się wsłuchać w siebie i swoje potrzeby – oczywiście z poszanowaniem granic koleżanki z biurka obok lub pana w spożywczaku – i żyć własnym życiem.

Stoickie, buddyjskie, zdroworozsądkowe podejście do życia. To jednak nie wszystko, bo Mel mówi, że samo „pozwolenie im” na niezależność to pierwszy krok, drugi brzmi: „pozwalam sobie”. Koleżanka nie zaprosiła na wspólny wypad? Następnym razem sama zadzwonię i zaoferuję wyjście, zamiast przeżywać katusze, oglądając zdjęcia na jej Instagramie, na których bardzo wyraźnie mnie nie ma. Jestem samotny po przeprowadzce do nowego miasta? Idę do kawiarni, do parku i wykonuję kolejne działania, żeby poznać nowych ludzi, zamiast gnść na sofie i oglądać seriale.

W odcinkach swojego podkastu Robbins powtarza jak mantrę „pozwól im” (niektórzy słuchacze wytatuowali sobie te słowa dla pamięci), niezależnie, czy opowiada o lepszym zarządzaniu finansami, gości ekspertkę od menopauzy czy zajmuje się tematem niedojrzałych rodziców. Najogólniej mówiąc, Mel naucza: weź swój los w swoje ręce i małymi krokami dojdź do życia, o jakim marzysz. 5-4-3-2-1, start. ■



Jabłuszka w płynnym szkle

TECHNO

Na konferencji deweloperów WWDC 9 czerwca 2025 r. firma Apple zaprezentowała nowe wersje systemów operacyjnych dla swoich urządzeń, które od tej pory będą miały zunifikowaną numerację (iOS 26, iPadOS 26, tvOS 26, watchOS 26 – od przyszłego roku po wydaniu, zamiast kolejnego numeru wersji). Nie tylko numerki będzie wspólne – MacBooki, iPhone’y, iPady i reszta zostaną wyposażone w nowy styl interfejsu graficznego, nazwany **Liquid Glass**, czyli płynne szkło. Cechują go minimalistyczne, półprzezroczyste ikony przypominające krople wody oraz dynamicznie zmieniające się, płynne kształty okienek i elementów interfejsu. Rzecz prezentuje się nowoczesnie i organicznie, ale niektórzy widzą w tym powrót do przeszłości. Szklane elementy miał np. Windows Vista (2007), choć używany w nim efekt Aero Glass był o wiele prymitywniejszy.

W pierwszych generacjach iPhone’ów i iPadów dominował tzw. skeuomorfizm, czyli odtwarzanie wyglądu i tekstury realnych przedmiotów – notes wyglądający jak prawdziwy, pokręta



do wprowadzania danych liczbowych. Wszystko po to, żeby ułatwić początkującym użytkownikom obsługę tych (wówczas rewolucyjnych) urządzeń. Zmiana nastąpiła w 2013 r., w iOS 7 firma zerwała z realizmem – pojawił się płaski, minimalistyczny design, jasne kolory i przezroczystości, które upraszczały interfejs i pozwalały skupić się na treści, dużo lepiej pasowały też do większej rozdzielczości ekranów. W wytycznych dla deweloperów Apple podaje trzy wartości przy tworzeniu interfejsu aplikacji: hierarchia, harmonia i spójność.

Czemu ma służyć Liquid Glass? Łatwemu dopasowywaniu kolorów do gustu użytkownika, rozwijaniu poczucia obcowania z „żywym” urządzeniem, ujednoliceniu doświadczenia między różnymi urządzeniami (telefon, komputer, zegarek, tablet). Prawdopodobnie ma też przygotować na epokę rzeczywistości rozszerzonej (choćby okulary Apple Vision Pro są na razie niszowym produktem), w której

treści muszą wtapiać się gładko w prawdziwy świat.

MICHAŁ R. WIŚNIEWSKI

Skreć językowy

SŁOWO

Jest słowo, które wraca przy okazji głosowań, choć nie jest wpisane bezpośrednio w Kodeks wyborczy. Potoczne i pejoratywne opisuje (według Wielkiego Słownika Języka Polskiego) celowe działanie powodujące, że „coś zaczyna być niezgodne z rzeczywistością, rozwija się w niewłaściwym kierunku lub przestaje się rozwijać”. Chodzi o elastyczny znaczeniowo czasownik „skreć”. Można skrećić w lewo lub w prawo, można podczas tego skrećiania skrećić nogę, a ktoś może skrećić to smartfonem i opublikowanym filmem wykrećić niezłe zasięgi. W ostatnich tygodniach o skrećaniu – które jest w języku jasnym echem „kręcenia” i „przekręć” – mówiono i pisano głównie w kontekstach wyborczych.

Widać to było głównie w komentarzach na platformie X: „Wystarczyło skrećić 184 796 głosów, by wygrał Nawrocki” albo „Aby skrećić wyniki wyborów wystarczyłoby, żeby w każdej komisji doszło do fałszerstwa tylko trzynastu głosów”. Dopóki nie ma twardych argumentów, takie gdybanie wydaje się osłabianiem wiary w proces wyborczy. Skąd się wzięło?

Ten skreć językowy sześć lat temu zaproponował Grzegorz Braun, kiedy po uzyskaniu niemal 12 proc. głosów przegrał z Aleksandrą Dulciewicz przedterminowe wybory na prezydenta Gdańska. W cytowanej przez „Rzeczpospolitą” wypowiedzi dla TV Republika oznajmił, że „wybory są skrećione”. Podchwycił to rok później Borys Budka, mówiąc o wyborach prezydenckich wygranych niewielką przewagą przez Andrzeja Dudę: „Jeśli nie będziemy wskazywać nieprawidłowości, to następne wybory będą jeszcze bardziej skrećione”. W tym roku wrócił w postaci ostrzeżeń ze strony PiS. Mateusz Morawiecki na konferencji w lutym ostrzegł:

„A jeśli będą próbowali oszukać, skrećić te wybory, to wniesiemy go na naszych rękach do Pałacu Prezydenckiego” (cytat za Tok FM). Może to znaczenie skrećiania wyprzedzi wkrótce w języku potocznym to związane ze skrętami („Blanty kręcę, po to mam ręce” – głosi klasyk Molesty), a może też się wypali.

BARTEK CHACIŃSKI

MÓWIĄ RYMY

I gdyby nie był śmiercią, tobym go zabił śrubokrętem. 37. raz gadam z tym wykrećem

Buka, 37, 2011 r.

Wykreć – wariat, idiota, szaleniec



PODRÓŻE

Zamiast zdjęcia z Big Benem **zwiedzanie Londynu z osobą w kryzysie bezdomności**. Zamiast rajskich plaż – lokalne slumsy. Coraz więcej organizatorów wycieczek zachęca turystów do spojrzenia na popularne atrakcje od nietypowej strony.

Wycieczki do prawdziwego życia

Gigantyczne tłumy na Santorini. Wszechobecne śmieci na plażach Azji. Emisje gazów cieplarnianych związane z lotami na długie dystanse. Rzeczywistość coraz mniej przypomina rajskie obrazy z folderów, a koszty turystyki dla środowiska i lokalnych społeczności powoli przedzierają się także do świadomości podróżnych. Booking.com przeprowadził ankietę, z której wynika, że aż 66 proc. z nich chce zostawić odwiedzone miejsca w lepszym stanie, niż je zastali, a 83 proc. zapewnia, że ważne są dla nich zrównoważone podróże.

Nic więc dziwnego, że powstają biura podróży i organizacje, które prowokują turystów, by zajrzeli za kuliszy pocztówkowych kadrów. Np. Telos – która określa się mianem „społeczności niosącej pokój” – oferuje wycieczki do „ludzi, rzeczywistości i kultur konfliktu albo po konflikcie”. Choćby do Irlandii, gdzie



Urszula Jabłońska
–reporterka, autorka książek: „Człowiek w przystępnej cenie. Reportaże z Tajlandii” oraz „Światy wzniesiemy nowe”.

organizuje spotkania z mieszkańcami zarówno północnej, jak i południowej części kraju oraz z aktywistami i edukatorami, którzy opowiadają turystom o tym, jak wyglądała droga do pokoju na północy. Albo na amerykańskie południe, żeby zrozumieć korzenie podziałów i polaryzacji na początku amerykańskiej historii, które do dziś mają wpływ na społeczeństwo w USA.

Takich organizacji jest więcej. W Bangkoku można wziąć udział w lekcji gotowania w największym slumsie miasta (to jego mieszkanki nauczą nas przyrządzać tajskie curry). Londyn można zwiedzić w towarzystwie przewodnika w kryzysie bezdomności, który zna ulice danej dzielnicy od zupełnie innej strony niż pracownicy agencji turystycznych. Dzielać się historiami, zarobi pieniądze i odzyska poczucie sprawczości (inicjatywę wspiera burmistrz). W ponad dwudziestu miastach Europy, takich jak Utrecht, Turyn czy Marsylia, można się zapisać na wycieczkę, którą prowadzą migranci. Podzieliła się swoimi przeżyciami i opowiedziała o historii mieszkania się kultur w mieście, w którym mieszkają. Dzięki temu turyści mogą zrozumieć, że Europa nie składa się z homogenicznych narodów (są także wycieczki na granice Grecji czy Włoch, których przekraczanie wciąż jest codziennością wielu ludzi w drodze).

Wprzeciwieństwie do „mrocznej turystyki” – kiedy podróżni chcą odwiedzić miejsca związane z ludobójstwami, morderstwami czy torturami, żeby przeżyć dreszczyk emocji – takie wyprawy mają cel edukacyjny i społeczny. Ich pierwowzorem były „toksyczne wycieczki”, które mają tradycję tak długą jak obywatelski ruch ekologiczny. Już w latach 90. organizacja CBE z Los Angeles obwoziła wszystkich zainteresowanych po południowej, fabrycznej części miasta, z dala od napisu Hollywood. Podczas trzygodzinnej wycieczki goście oglądali dymiące rafinerie, toksyczne fabryki i centra recyklingu wybudowane tuż obok szkół oraz osiedli. Dzięki tej inicjatywie udało się powstrzymać kolejne inwestycje. Niedługo później na podobne wycieczki zdecydowała się organizacja z Houston. Są popularne do dziś. Przewodnicy prowadzą turystów nie do Nasa Space Center, które jest jedną z głównych atrakcji miasta, tylko do jego wschodniej części, gdzie zakłady chemiczne i rafinerie zatrują powietrze i powodują choroby.

Inna organizacja w Oklahomie proponuje gościom zwiedzanie terenów Tar Creek, gdzie woda, powietrze oraz rośliny zostały trwale zanieczyszczone przez kopalnię cynku i ołowiu. Dziś na miejscu szumiących traw rozciąga się zatruty księżycowy krajobraz. Turyści mogą posłuchać opowieści członków rdzennych społeczności, które zostały przymusowo wysiedlone z tych terenów.

I chociaż z pozoru może wydawać się dziwne, że ludzie na wakacjach decydują się na takie nieprzyjemności, to przecież wizyta w Wenecji, Rzymie czy Mediolanie w szczycie sezonu jest równie niekomfortowa. Co więcej, to również toksyczna wycieczka, która pozwala doświadczyć skutków nadmiernej turystyki. ■

8 tys. roczników. Marketing winiarskiej Gruzji przemawia do wyobraźni. Ale udomowiona w kaukaskich lasach winorośl właśnie z Gruzji, oraz Armenii i Anatolii rozprzestrzeniła się na Grecję i całą Europę. Reszta jest historią.

Od wąsatego winiarza

A historia obchodziła się z gruzińskim winiarstwem raz lepiej, raz gorzej. Zabytki, które można podziwiać w Muzeum Narodowym w Tbilisi, na czele z glinianymi amforami kwewri, dowodzą niezwykłego bogactwa kultury wina w czasach prehistorycznych, gdy po zachodniej Europie chodziły białe niedźwiedzie. Uprawa winnej łązy rozkwitła dodatkowo po przyjęciu chrześcijaństwa w 326 r. n.e. Podupadła jednak po najazdach mongolskich i w okresie wojen z Persją i Turcją. Włączenie Gruzji do Imperium Rosyjskiego w 1801 r. zrazu przyniosło pozytywne skutki. Winiarze zyskali ogromny rynek zbytu, a wino gruzińskie przez dwa stulecia cieszyło się w Rosji wielką sławą. Kraj zeuropeizowano, winiarnie unowocześniono, pojawiły się wiodące do dziś marki, jak Tsinandali, białe wino wytrawne wyprodukowane po raz pierwszy w tak właśnie nazwanej posiadłości księcia Aleksandra Czawczawadzego.

Z czasem jednak radziecki pęd do uprzemysłowienia winiarstwa zaczął niszczyć gruzińską tradycję. Sadzono obce, importowane odmiany (choć z kolei czołowe szczepy gruzińskie – saperavi i rkatsiteli – promowano na potęgę w Mołdawii i Ukrainie), kwewri zastępowano

O
W
I
N
I

betonem i stalą, wina bursztynowe poszły w odstawkę. A potem Rosja zadała dwa niemal śmiertelne ciosy: w 1985 r. Gorbaczow nakazał ukrócić w ZSRR alkoholizm i Gruzja straciła połowę winnic. A w 2006 r. Putin nałożył na kaukaskie wina polityczne embargo i kraj stracił 80 proc. rynku.

Paradoksalnie od tego momentu rozpoczęła się złota era gruzińskiego winiarstwa. Stojąc na krawędzi upadku, producenci wzięli się ostro do roboty. Wyremontowali przetwórnice, zadbali o winnice, wyczyścili wina. Przede wszystkim jednak dokonali marketingowego majstersztyku przekonując cały świat, że oto Gruzja jest ostoją mikrowiniarstwa rodzinnego, naturalnego, nieinterwencyjnego i autentycznego, gdzie w cieniu tamaryszków wino wciąż robi się tymi samymi metodami, co 8 tys. lat temu. To nic, że Gruzja wytwarza więcej wina niż Grecja albo Austria, a 90 proc. produkcji to tanie półśladki z wielkich przemysłowych wytwórni. Ten towar gra ważną rolę ekonomiczną, ale wizerunkowo kładziemy nacisk na wąsatego winiarza (w godzinach wieczornych z szablą i chórem) na tle amfory i rdzennych gruzińskich odmian winorośli.



Wojciech Bońkowski

– od 2023 r. pierwszy polski Master of Wine. Chief Wine Officer w Studi Media, wydawcy pisma o winie „Ferment”.

W tej ostatniej sprawie trzeba Gruzji oddać, że jest bezkonkurencyjna. Zarejestrowanych do produkcji ma 525 unikatowych szczepów, a obok tych najpopularniejszych – saperavi, rkatsiteli, mtsvane, kisi, tsolikouri, krachuna, aleksandrouli – do łask przywraca się dziś dziwy takie, jak rdzawy aladasturi, pieprzny żgia, tajemniczy czitistwala i inne, równie czarnoksięsko brzmiące ciekawostki tonące do niedawna w pomroce dziejów. Razem z kwewri – podobne stosuje się od wieków w Armenii, Grecji, na Cyprze, w Hiszpanii i Portugalii, ale to Gruzja skutecznie narzuciła amforową narrację – tworzą one unikatowy kalejdoskop gruzińskiego wina.

I to działa. W 2024 r., gdy większość krajów winiarskich zmagala się z niskimi plonami i spadkiem sprzedaży, eksport z Gruzji skoczył o 24 proc. W przypadku zaś samej Polski – wzrósł kolejny rok z rzędu, tym razem o 12 proc. Napędza go ożywiony ruch turystyczny z naszego kraju, gruzińskie restauracje, silna wymiana handlowa również poprzez Ukrainę (Gruzini są tam właścicielami wielu biznesów, w tym winiarskich) i ogólnie – polsko-gruzińska przyjaźń.

Fascynują nas gruzińskie obyczaje i tradycje, legendarna gościnność, pyszna kuchnia, imponuje głęboko zakorzeniona kultura winiarska, z którą się ma do czynienia na każdym kroku. Dwieście lat temu uchodziliśmy za najlepsze do życia prowincje carskiej Rosji i dziś znowu potrafimy świetnie się dogadać – najlepiej przy winie. Oczywiście takim bursztynowym, z amfory. ■



Marani Tsinandali 2022, 39 zł (winanawidoku.pl)
Papari Valley 3 Qvevri Terraces Rkatsiteli 2023, 119 zł (dobrewino.pl)
Telavi Wine Cellar Satrapezo Saperavi 2019, 125 zł (winanawidoku.pl)
Burka's Wine Kisi, 139 zł (winnicemoldawii.pl)
Gotsa Tavkveri, 149,90 zł (darwina.pl)



24/7, czyli zapraszamy na stale aktualizowane strony **polityka.pl**, na nasze blogi i podcasty

Wojna wchodzi w nową fazę

Zaoignioną sytuację na Bliskim Wschodzie analizujemy na **polityka.pl** z różnych perspektyw. O uzbrojeniu wszystkich stron konfliktu pisze Marek Świerczyński: Izrael ma podrasowane samoloty, Iran rakiety balistyczne, USA bomby penetrujące, zdolne wbić się w ziemię i unicestwić instalacje nuklearne. Bomba, znana pod amerykańskim skrótem MOP, waży



niemal 13 ton, to potężna broń. Samolot, który ją przenosi, wygląda na niebie jak czarny piksel. Wojna toczona na dystans wchodzi właśnie w nową fazę.



Portret przywódcy Iranu

Kim jest Ali Chamenei, najwyższy przywódca Iranu, twórca systemu bezpieczeństwa, który właśnie się rozsypuje? Jemu poświęcamy pierwszy odcinek naszego nowego wideokastu „Portret polityka”.

Łukasz Wójcik, szef działu zagranicznego POLITYKI, przedstawia bohaterów i bohaterki kluczowych wydarzeń. To oni, ich charaktery i ambicje, sprawiają, że świat jest nieprzewidywalny, ciekawy, czasem też śmiertelnie groźny. Zapraszamy do słuchania i oglądania na naszych kanałach streamingowych.



Nowa szefowa PISF

W Polskim Instytucie Sztuki Filmowej kończy się etap bezkrólewia po sensacyjnej dymisji Karoliny Rozwód, ale nie kończą się zawirowania. Dyrektorką instytucji zostanie dotychczasowa p.o. Kamila Dorbach. Zjednała sobie młodych filmowców, ale wątpliwości są. „Moim zdaniem komisja konkursowa została ułożona według pewnego klucza, by nie dopuścić głosów krytycznych na temat trudnej sytuacji w PISF” – uważa Agnieszka Holland. Tę trudną sytuację przybliży z detalami Janusz Wróblewski.



Radom w słońcu Katalonii

Czerwiec ożywił śpiące od miesięcy lotnisko Warszawa-Radom. WizzAir wznowił wyprawy do Larnaki, Lot trzy razy w tygodniu lata do Rzymu, oferuje też wakacyjne rejsy do Albanii, Turcji i Grecji, do portfolio właśnie dołączyła Barcelona. Ojcowie chrzestni projektu, czyli politycy PiS, o sukcesie nie mogą jednak mówić: **lotnisko nie zarabia. Gęstsza siatka połączeń i starty w nocy mają to zmienić, ale biznesplan się nie spina. Kulisy zdradza Piotr Czarnyszewicz.**

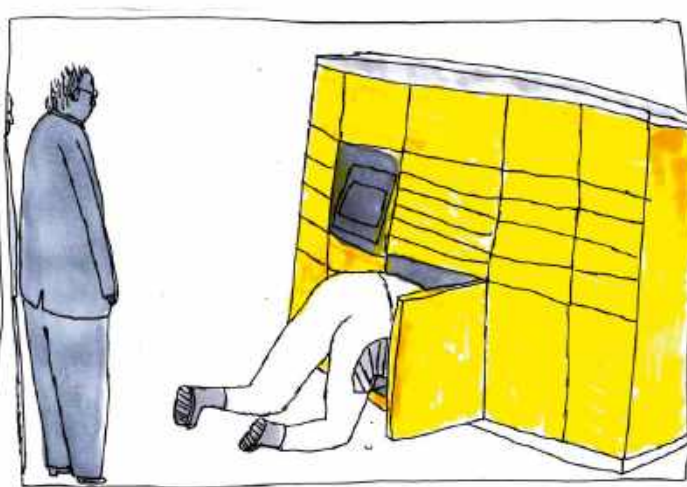


Gdy bliski chce odejść

W ramach cyklu POLITYKI „Odchodzić po ludzku” proponujemy tym razem niełatwą rozmowę podcastową o tym, co robić, gdy bliski chce odejść i prosi nas o pomoc. Jak reagować? Gdzie szukać wsparcia? Anna Jochim-Labuda, dyrektorka Puckiego Hospicjum, udziela nieoczywistych odpowiedzi. Motywy bliskich – osób starszych lub schorowanych – mogą być różne. Czasem to ból i osamotnienie, którym można zaradzić. Rozmowę prowadzi Joanna Cieśla.



G A L E R I A P O L I T Y K I



J A N K O Z A

CENTRUM MEDYCyny SPORTOWEJ

Klinika ortopedyczna

Szpital

operacje ortopedyczne ✦

Poradnia Medycyny Sportowej

dla dzieci, młodzieży i dorosłych:

Badania wstępne, okresowe i kontrolne ✦

Orzeczenia sportowo-lekarskie ✦

Pracownia prób wysiłkowych i wydolnościowych ✦

Poradnia Leczenia Bólu

Zabiegi interwencyjne:

blokady / nerolizy współczulne ✦

blokady / nerolizy nerwów obwodowych ✦

termolezja ✦

Poradnia Podologiczna

Konsultacje i zabiegi podologiczne ✦

Dietetyka

Dietetyka kliniczna ✦

Dietetyka sportowa ✦

Porady dla dzieci i dorosłych ✦

Rehabilitacja

✦ Rehabilitacja ortopedyczna:

✦ stawów rzepkowo-udowych

✦ stawów barkowych

✦ kręgosłupa

✦ stawów kolanowych

✦ kontuzji sportowych

✦ po zwichnięciach stawów

✦ urazów mięśni

✦ więzadeł

✦ po złamaniach

✦ Fizykoterapia

✦ Masaż leczniczy

✦ Diagnostyka funkcjonalna

✦ Rehabilitacja w uroginekologii

✦ Terapia przeciwobrzękowa

Rezonans Magnetyczny 3T

✦ Dwa aparaty przystosowane do badań sportowców
w zakresie ortopedii, neurologii i kardiologii

Tomografia Komputerowa

✦ Pełny zakres badań

Diagnostyka

✦ RTG, USG, EEG, EMG

CMS i Wracasz do gry!

Centrum Medycyny Sportowej to ośrodek leczniczo-rehabilitacyjny, specjalizujący się w leczeniu urazów ortopedycznych.
CMS wykorzystuje najnowocześniejsze technologie w diagnostyce, leczeniu i rehabilitacji.

CENTRUM MEDYCyny SPORTOWEJ - WARSZAWA ul. Wawelska 5

tel. 22 592 93 05 do 10

www.cms.waw.pl

Albatros travel



4,8
5



Angkor – imperium w głębi dżungli

Zapraszamy w niezwykłą podróż śladami dziedzictwa kulturowego Khmerów przez Tajlandię, Kambodżę i Wietnam.

Wycieczkę rozpoczniemy w tętniącym życiem Bangkoku zwiedzając Wielki Pałac Królewski i świątynię Wat Pho. Następnie przez pełen francuskiego uroku Battambang dotrzemy do imponującego kompleksu świątyni Angkor Wat i Angkor Thom. W Kambodży zwiedzimy także stolicę Phnom Penh oraz Pola Śmierci. W Wietnamie poznamy Ho Chi Minh (dawny Sajgon), popłyniemy przez deltę Mekongu, odwiedzimy pływający targ i udamy się do słynnych tuneli Cu Chi z czasów wojny wietnamskiej.

15 dni | Wyloty z Warszawy 07/10* 2025, 31/01*, 28/04, 29/09 2026

*możliwość przedłużenia na plaży w Phan Thiet – 4 dni

od **11.998,-**

Pociągiem przez Szwajcarię – alpejskie szczyty i jeziora

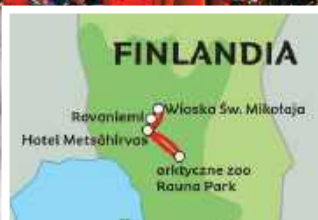
Program wycieczki: Dz. 1 Przelot do Zurychu. Przejazd pociągiem do Lucerny. Dz. 2 Wycieczka pociągiem i kolejką zębatą na górę Rigi, krótka wędrowka i rejs statkiem. Dz. 3 Zwiedzanie Lucerny i słynny drewniany most Kappellbrücke oraz wycieczka fakultatywna na szczyt Stanserhorn (dodatkowo płatna). Dz. 4 Rejs statkiem po jeziorze Czterech Kantonów i przejazd pociągiem Gotthard Panorama Express do kantonu Ticino. Dz. 5 Wycieczka po Bellinzona i Lugano. Czas do własnej dyspozycji. Dz. 6 Bellinzona – Zurych – Warszawa.

6 dni | Wylot z Warszawy 02/09 2025

8.698,-



5
5



Laponia i Św. Mikołaj

Jedyna i niepowtarzalna okazja do spotkania ze św. Mikołajem. Do tego zaprzęgi reniferów, zorza polarna i ośnieżone krajobrazy Laponii.

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot do Rovaniemi, spacer po mieście i poszukiwanie zorzy polarnej. Dz. 2 Wizyta w wiosce św. Mikołaja i zaprzęgi reniferów oraz zimowe aktywności na wycieczkach fakultatywnych: skutery śnieżne i psie zaprzęgi. Dz. 3 Rovaniemi. Wizyta w Ranua WildLife Park i powrót do domu.

3 dni | Wyloty z Warszawy 24/01 2026 | **5.998,-**

5
5

albatros.pl

Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.

rezerwacja +48 22 128 48 81

Kod reklamy: PL24

eprasa.pl 49b869005c

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty resjowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe